

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/513

1990



ADOL

• *La Culture* • *Revue mensuelle* •

A. TUSZYŃSKA: „**NIE JESTEM RASISTKĄ...**”

Z. HAUPT: **CYRK**

SMECZ: **Z UKOSA**

J. GŁOWACKI: **KWADRATURA KOŁA**

ULB ZACZYNA SIĘ REALIZOWAĆ

SPIS RZECZY

| | | |
|-----------------------------------|--|-----|
| Agata Tuszyńska: | „Nie jestem rasistką...” | 3 |
| Janusz Głowacki: | <i>Kwadratura koła</i> | 27 |
| Zygmunt Haupt: | <i>Cyrk (pierwszy dzień wojny)</i> | 30 |
| ULB ZACZYNA SIĘ REALIZOWAĆ | | |
| Bohdan Osadczuk: | <i>Zbliżenie polsko-ukraińskie</i> | 37 |
| Jerzy Giedroyc: | <i>Apel do uczestników konferencji polsko-ukraińskiej</i> | 38 |
| — | <i>Komunikat</i> | 40 |
| Miroslaw Czech: | <i>Zmiany wśród Ukraińców w Polsce</i> ... | 41 |
| Józef Darski: | <i>Kronika litewska, białoruska i ukraińska</i> | 43 |
| Zjazd Zw. Ukraińców w Polsce: | <i>Do społeczeństwa polskiego</i> | 47 |
| ARCHIWUM POLITYCZNE | | |
| Kamila Chylińska: | <i>Zjednoczenie widziane od wewnątrz</i> ... | 49 |
| KRAJ | | |
| Smecz: | <i>Z ukosa</i> | 60 |
| SPRAWY I TROSKI | | |
| Leszek Szaruga: | <i>Życie w luce</i> | 69 |
| Krystyna Laskowicz: | <i>Polskie archiwalia w Instytucie Hoovera</i> | 76 |
| Grzegorz Sowula: | <i>Przypisanie do ziemi</i> | 82 |
| SĄSIEDZI | | |
| Adam Kruczek: | <i>W sowieckiej prasie</i> | 86 |
| Grzegorz Ziętkiewicz: | <i>Kronika niemiecka</i> | 92 |
| Janusz Mondry: | <i>Na Zaolziu po 22 latach</i> | 96 |
| KRONIKA KULTURALNA | | |
| Andrzej Bułanda, | <i>Rozmowy o architekturze</i> | 101 |
| Jerzy Sołtan: | <i>Caravaggio: światło i cień</i> | 117 |
| Gustaw Herling-Grudziński: | <i>CI, CO ODESZLI</i> | 124 |
| Antoni Pospieszalski: | <i>Eileen Frances Garlińska</i> | 124 |
| POLEMIKI | | |
| Alajin Bəsançon: | <i>Adamowi Michnikowi w odpowiedzi</i> ... | 126 |
| KSIĄŻKI | | |
| Renata Gorczyńska: | <i>Rozmowa Mistrza Samuela ze śmiercią</i> | 129 |
| — | <i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> | 135 |
| O RELIGI BEZ NAMASZCZENIA | | |
| Antoni Pospieszalski: | <i>Opus Dei</i> | 137 |
| • | | |
| — | <i>Wydarzenia miesiąca, kroniki amerykańska, kanadyjska i szwedzka oraz Uchwała Rady Naczelnej NiD</i> | 145 |
| • | | |
| W. Gruszczyk, C. Kiszczak, | <i>Listy do Redakcji</i> | 155 |
| B. Mękarska-Kozłowska, | <i>Od Redakcji</i> | 159 |
| Jan F. Morelewski: | | |
| — | | |

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Czerwiec - Juin

1990

MISŁ

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

| | |
|--|-------------|
| A.T. (NY), Jackson Heights, NY (USA), po raz 11-ty — Dol. US 62,50 | F. 325,00 |
| Jerzy Duracz, Kungsangen (Szwecja) — w 15-tą rocznicę śmierci Anny Duracz | F. 300,00 |
| Karol Jabłoński, Etobicoke, ON (Kanada), po raz 22-gi Dol. US 10,00 | F. 52,00 |
| Prof. Karol J. Krótki, Edmonton, AB (Kanada), po raz 12-ty Kaz. J. Logay, Sarasota, FL (USA), po raz 15-ty — Dol. US 22,00 | F. 395,00 |
| M.I., Michigan (USA), po raz 6-ty — Dol. US 1.000,00 | F. 5.200,00 |
| Zbigniew Okołowicz, Millbrook, NY (USA), po raz 4-ty — Dol. US 53,00 | F. 276,00 |
| Pamięci mojej Ukochanej Matki, Zofii Ulman, w piątą rocznicę Jej śmierci — Syn (Skärholmen, Szwecja) | F. 500,00 |
| Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MB (Kanada), za mie- siące maj i czerwiec 1990 r., po Dol. US 100,00 po raz 49-ty i 50-ty — Dol. US 200,00 | F. 1.040,00 |
| K.S. Rasiej, Bogota, NJ (USA), po raz 13-ty — Dol. US 22,00 | F. 115,00 |
| E.L. Salamoński, St. Petersburg, FL (USA), po raz 18-ty — Dol. US 20,00 | F. 104,00 |
| Ewa Sułkowska-Bierezin (USA) — zamiast kwiatów na grób Rodziców — Dol. US 25,00 | F. 130,00 |
| Zamiast kwiatów na grób Marysi Szlezyngier, zmarłej 1 maja w Izraelu — Ela i Mundeł Mink | F. 300,00 |

DZIĘKUJEMY!

| | |
|--|-----------|
| Dr Zygmunt Stankiewicz, Sztokholm — zamiast kwiatów na grób prezydenta R.P., Kazimierza Sabbata — na pomoc dla walczących w Kraju „Żeby Polska była Polską” — Krs 100,00 | F. 95,00 |
| Dr Zygmunt Stankiewicz, Sztokholm — dziękując serdecznie Zarządowi RUP i wszystkim Przyjaciołom za pomoc w prowadzeniu Rady Uchodźstwa Polskiego w Szwecji oraz Ośrodka Polskich Organizacji Niepodległych w latach 1986-1990 — na Fundusz Premiera T. Mazowieckiego — Krs 200,00 | F. 190,00 |

Przepraszamy dr. Stankiewicza za ogłoszenie powyższych wpłat
z opóźnieniem.

Redakcja

Informujemy, że Instytut Literacki posiada
Telefax nr 33 i 39-62-57-52

„Nie jestem rasistką...”

„OKRÓTNI CHITLERZY”, „ZDRADZIECCY BOLSZEWICY” I „ŻYDOWSKI ŻĄD”

Czasy, kiedy dzieci wierzyły w krasnoludki i płakały nad losem Czerwonego Kapturka minęły, o tym wiedziałam. Nie przypuszczałam jednak, że tak bardzo, tak wszechstronnie i głęboko przenika dziecięcy świat codzienność, rzeczywistość, współczesność. (Czerwony kojarzy im się z całkiem realną bajką.) Że tak żywe są dla nich dorosłe, zdawałoby się, problemy. I nawet, kiedy zdecydowałam się porozmawiać z dziećmi o polityce, nie sądziłam, że ich poglądy są do tego stopnia ukształtowane, wyraziście, emocjonalnie określone, często bezwzględne.

Na przełomie marca i kwietnia tego roku w trzech warszawskich szkołach (na Woli, Ochocie i Grochowie) zadałam 235 młodym osobom w wieku od 10 do 15 lat dwa pytania: Niemcy. Rosjanie. Żydzi. Co o nich wiesz? Co o nich myślisz? Użytkany materiał publikuję z wielkimi skrótami, pomijając w tekście oryginalnym błędy ortograficzne, które niekiedy wręcz uniemożliwiają lekturę !!! Nie tylko z tego zresztą powodu już na pierwszy rzut oka widać, że mamy do czynienia z młodzieżą epoki telewizji i video.

I. „Okrotni Chitlerzy”

Wśród 135 czwartoklasistów (najmłodszy ankietowany) tylko czworo żywi do Niemców przyjazne uczucia, równie mało akcentuje ich bogactwo i wysoki poziom cywilizacji. Hitler lub „Chitler” to dla nich „największy morderca” i „złoczyńca”. Niemcy określani są w ponad połowie prac jako „narud podły”,

„szfaby”, „okrótni”, „rządni krwi”. Pojawia się rozróżnienie na Niemców lepszych i złych (utożsamiani z NRD). Przeważają opinie zdecydowanie negatywne, pełne zacięcia, mściwości i egzaltacji, z przykładami z drugiej wojny światowej. W jednej trzeciej prac przytaczane są informacje o zburzeniu berlińskiego „móru”, próbach zjednoczenia i konieczności obrony polskich granic. Blisko połowa ankietowanych boi się niemieckiej agresji i powtórzenia lat okupacji.

W klasach V i VI — Hitler, wojna, Oświęcim, obozy powtarzają się w 60 do 68 prac. W 100 % Niemcy budzą nieprzychylnie, w trzech czwartych wrogie uczucia. We wszystkich opiniach o próbach zjednoczenia Niemiec akcentowana jest obawa i lęk. Kilka osób podaje wiarę w szatana, jako powód morderczych instynktów niemieckiego narodu.

Ośmioklasiści starają się oddzielić przeszłość od terażniejszości, próbują tłumaczyć, usprawiedliwiać, nabierają dystansu do hitlerowskich czasów. W 80 % wypowiedzi pojawia się wszak poczucie zagrożenia i świadomość niebezpieczeństwa grożącego z Zachodu.

II. „Zdradzieccy bolszewicy”

Już dziesięćlatki oddzielają naród rosyjski („biedny”, „dobry”, „łagodny”) od władzy („kłamliwej”, „podstępnej”, „chytrej”, „złej”). Na 135 wypowiedzi — 8 razy pada nazwisko Stalina, 7 razy pojawia się Katyń (raz z przypisaniem go Żydom), 2 razy — Sybir i pakt Ribbentrop-Mołotow, kilka razy data 17 września. Powtarzają się zdania o agresji Rosji na Polskę w 39 roku i odebraniu licznych ziem (tu kilka wariantów — Litwa, Łotwa, Ukraina, niekiedy Estonia...) 50 % dzieci pisze o Rosjanach „nie gorsi od Niemców” — „okrótni”, „zdradzieccy”, „też źli”. Niesłusznie tak długo uważani „za przyjacieli”. W blisko jednej trzeciej prac powtarza się stwierdzenie — „komunizm jest przez nich”. Co do „pomocy” w czasie wojny opinie są podzielone i niezbyt jednoznaczne.

38 pięcioklasistów 4 razy wymienia Stalina, 2 razy Katyń. Kilkakrotnie wraca sprawa niepodległości Litwy (oceniana przychylnie). Wśród 30 uczniów VI klasy Katyń pojawia się w co drugiej wypowiedzi, Stalin w co trzeciej. Powtarzają się słowa — rozbiory, komunizm, bolszewicy. Są tylko dwie wyraźnie przychylnie Rosji opinie.

Ośmioklasiści używają sformułowania „podobno przyjaciele”. Naród „zdradziecki”, „chciwy”, „zacořany”. Zbrodnie Stalina (może większe niż Hitlera, ktoś się zastanawia), perspektywa lasu katyńskiego, wkroczenia do Polski kształtują wrogie sądy i

ostre sformułowania. Nienawiść do komunizmu utożsamiana jest na przemian z Rosjanami i Żydami. Wyrażana bywa niechęć do nauki rosyjskiego języka.

III. „Żydowski żąd”

45 % najmłodszych nic nie wie o Żydach. („Nie wiem nic, więc nic nie sądzę.”) Reszta określa ich mianem „narud historyczny i izraelski”, „mowią po chebrajsku”. Większość pisze o krzywdach Żydów podczas drugiej wojny — „mordowani, zabijani, tępieni, niszczeni, prześladowani, znieawidzeni przez Niemców”... Żadnej manifestacji złych uczuć.

12-latki wiedzą o tragedii wojennej narodu żydowskiego. Ale już oni wygłaszają kąśliwe uwagi o „żydowskim żądzie”. Na 38 jest już 8 zdecydowanie nieprzychylnych głosów. W szóstej klasie aż 1/4. Żydzi oskarżani są o komunizm, o kierowanie polskim narodem. 5-krotnie powtórzona jest uwaga o rządzie, na czele którego jakoby stoją, z silnym akcentem krzywdy polskości i swoistym poczuciem wyższości. Tu również wśród V i VII klasistów pojawiają się głosy potępiające antysemityzm („jest żeczą nie do przyjęcia”) i długie wypowiedzi będące rodzajem usprawiedliwienia winy tolerancji (dlaczego uważam, że są tacy sami jak inni i nie powinno się ich traktować inaczej).

Opinie wyraźnie radykalizują się z wiekiem i oprócz znacznie większego zasobu informacji, charakteryzują się uderzającą pewnością siebie. Rośnie ponadto poczucie narodowej przynależności w najgorszym znaczeniu tego słowa. Antysemityzm występuje tu w formie zaostrojonej, wyraźnej, nieskrywanej niechęci i pełnego wyższości poczucia dominacji (rasowej, moralnej, wszelakiej). I to nawet w opiniach pozornie przychylnych lub we fragmentach łaskawie zezwalających innym na równoprawne istnienie. „Nie jestem rasistką, ale...” Wyraźny jest podział na obrońców i absolutnie odrzucających „obcego”. Żydzi są „sprytni”, „przebiegli”, „mający głowę do interesów”. Zwykle „kanciarze”.

Już niedługo te dzieci przestaną być dziećmi. Za kilkanaście lat będą wpływać na losy tego kraju, będą kształtować świadomość innych, będą współtworzyć historię. Co sprawiło, że myślały właśnie tak? Skąd bierze początek, ich niechęć, nienawiść, nietolerancja dla innych? Gdzie są korzenie ich nacjonalizmu?

Może badanie społecznych nastrojów poprzez podpytywanie dzieci wyda się komuś działaniem podstępny. Ale jakże wiele mówi!

PS. Można by kwestionować łączenie w tej ankiecie właśnie tych trzech nacji, w obawie, iż kontekst sugeruje rodzaj odpowiedzi, kieruje w stronę uprzedzeń. Nie sądzę, by otrzymany obraz był jedynie wynikiem tego zestawienia.

Agata TUSZYŃSKA

18 kwietnia 1990, Warszawa

NIEMCY

O Niemcach myślę, że w czasie wojny byli szczęśliwi, bo zabijali oraz mordowali Żydów oraz Polaków.

Jadwiga, IV klasa

Ja sądzę, że Niemcy byli zachłanni. Chcieli podbić całą Europę, byli okrutni, bezlitośni, mordowali ludzi.

Zoja, IV klasa

Niemcy to brutale.

Tik, IV klasa

Dużo słyszałam o II wojnie światowej, ale nie wiem naprawdę, jacy są Niemcy.

Ala, IV klasa

Niemcy: sadyści, gbury, pasożyty, rzadko dobrzy, nieuczciwi.

Leo Guy, IV klasa

Niemcy zawsze wywoływali wojny. Nigdy nie byliśmy przy nich bezpieczni.

Nhoj, IV klasa

Niemcy to hitlerowcy, którzy chcą nam zabrać zachód Polski, a Polacy dają się robić w konia.

Tecumesh, IV klasa

1 września 1939 roku wybuchła II wojna światowa z Hitlerami i Polakami. Hitlerzy utworzyli grupy i nacierali na Polskę. Ludzie robili na złość Niemcom i śpiewali zakazane piosenki, np. „Warszawianka”, „Siekiera, motyka...” i wiele innych. Niemcy nacierali różnymi sposobami, np. czołgami, samolotami, samochodami. 9 maja 1945 roku skończyła się wojna.

Ania, IV klasa

Sądzę, że Niemcy byli mordercami, a Rosjanie trochę.

Arnold, IV klasa

Niemcy to kraj pracowity, tam ludzie żyją jak w raju.

Jowisz, IV klasa

Szkopy to coś gorszego od dzikich zwierząt. Sądzę, że nie powinien istnieć taki naród, a oni teraz jeszcze chcą się zjednoczyć.

Gawron, IV klasa

Niemcy to bardzo niezgodny kraj i często są wojny między Niemcami a innymi krajami. Niemcy zaatakowali nas wraz z Rosjanami pod wodzą Stalina.

Misio, IV klasa

Niemcy nigdy nie lubili Polaków, tylko prowadzili wojny. Graniczą z Polską na Odrze i Nysie Kłodzkiej. W ostatnich czasach chcą się zjednoczyć i dlatego pan premier Mazowiecki stara się o gwarancję nienaruszalności granicy na Odrze i Nysie. Niemcy w czasie II wojny światowej Żydów truli gazem i uważali że to pół-zwierzęta. Zaatakowali Polskę.

Kalwera, IV klasa

Niemcy mieszkają w NRD i NRF. Spowodowali dwie wojny światowe. Teraz chcą przejść przez granice Polski, co też może doprowadzić do wojny. Niemcy to naród szyderycy i niemili.

Rosjanka, IV klasa

O Niemcach myślę, że są niesprawiedliwi. Dziadek mojej koleżanki Danusi był w Niemczech i mówił, że na niektórych sklepach są kartki z napisem: „Polakom wstęp wzbroniony”. Oni uważają, że to Polacy wykupują im wszystko, a wcale tak nie jest.

Perełka, IV klasa

Ja nienawidzę Niemców. Dla mnie Niemcy są obrzydliwi, ponieważ nas zabijali i mordowali w czasie wojny.

a, IV klasa

Niemcy są naszymi sąsiadami. W czasie wojny byli okrutni, bez serca.

Wąż, IV klasa

Niemcy jest to naród żądny krwi i śmierci.

Kinderszczur, IV klasa

Niemcy — głupie szwaby.

AB, IV klasa

Niemcy są podchwytliwi ponieważ wykorzystują sytuację. Teraz mają się zjednoczyć, ale nie chcą oddać granicy, więc pan Tadeusz Mazowiecki zapowiedział, że albo dadzą granicę, albo dojdzie do wojny domowej, albo jeszcze gorzej. Ale że my nie możemy na nikim polegać, więc oni wykorzystują sytuację.

Championka, IV klasa

Uważam, że wcale nie trzeba nienawidzić Niemców, przecież to nie jest teraz czas wojny i co są winne niemieckie dzieci w XX wieku, że ich prapradziadkowie walczyli przeciw Polakom.

hig, IV klasa

Niemcy są naszymi wrogami. Powybijali w czasie wojny miliony Polaków a także Żydów.

X, IV klasa

Niemcy myślą tylko o podboju nowych ziem.

.Nhoj, IV klasa

Niemcy w czasie wojny wszystko niszczyli, nie widząc co niszczą i dlaczego. Byli bardzo brutalni w stosunku do ludzi — wrogów. Rozstrzelali dzieci i ich rodziców. Mieli obozy koncentracyjne, gdzie zabierali ludzi na pracę. W tej chwili Polska żyje z Niemcami w pokoju. Państwo podzielone jest na dwie części: zachodnie — normalne. Jest tam dużo ludzi dobrych i miłych. Niemcy jest to takie państwo, które często zmienia zdanie. Moim zdaniem jest państwem złośliwym i dokuczliwym. Chciałbym myśleć, że w sumie większość jest ludzi dobrych.

Zielony groszek, IV klasa

Niemcy to pracowici ludzie, trochę ich lubię.

Dolar, IV klasa

Niemcy — okrutni, nienormalni.

Olo, IV klasa

Niemcy — naród germański w zachodniej Europie, bardzo uprzemysłowiony, ma bardzo ambitnych wodzów. Istnieli od niepamiętnych czasów, prowadzili wojny z zachodnią Europą. W XX wieku brali udział w I i II wojnie światowej. Teraz chcą się zjednoczyć. Niemcy są pracowici, ambitni, porywcy i bojowi. Są mądrzy i kochają swoją ojczyznę.

Błękitny rekin, IV klasa

— Niemcy wypowiedzieli nam wojnę i strasznie nas męczyli. Raczej ich nie lubię dlatego, że byli dla nas okrutni.

Karolina, IV klasa

W czasie wojny Niemcy wywozili Polaków do lasu i żywych wrzucali do głębokich dołów, zakopywali ich żywcem. I my ciągle jeszcze pamiętamy tamte dni w lasach.

Paul, IV klasa

Niemcy mordowali ludzi, prowadzili z nami dużo wojen, za to ich nienawidzę.

Luiza, IV klasa

Polska się bardzo niepokoi zjednoczeniem Niemiec, gdyż wojny które z nimi stoczyliśmy trwały w czasie gdy Niemcy też byli zjednoczeni. Dlatego chcemy też mieć w sprawach granicy coś do powiedzenia. Do Niemców mam żal, gdyż po tym wszystkim co się działo podczas wojny, nawet teraz nie chcą dać nam głosu w sprawie granicy.

Patrycja, IV klasa

Hitler ze swoimi wojskami wkroczył na terytorium Polski 1 września 1939 roku. Wówczas powstały fabryki do zabijania Polaków i Żydów. Niemcy bardzo się nad ludnością znęcali. Około 3 milionów Żydów musieli opuścić kraj. Inni szli do Oświęcimia, Majdanka. Ludzie buntowali się często i śpiewali piosenki, takie jak „Siekiera, motyka”, „Warszawianka” i inne. Wieczorami na polanach zapalano ogniska, a Anglicy na spadochronach zrzucali jedzenie. Obecnie niemiecki naród chce się zjednoczyć. Długo trwają rozmowy na temat zostawienia granic Rzeczypospolitej. Zjednoczenie Niemiec mogłoby spowodować, iż Niemcy mogliby zabrać nam terytorium.

Aga, IV klasa

Nie lubię Niemców, ponieważ podobnie jak Rosja mordowali ludzi, zwłaszcza Żydów. Odznaczają się tym, że mają dobre firmy i produkują dobre rzeczy, np. gumki do ścierania.

Samotny wilk, IV klasa

Wiem, że Niemcy są mordercami. Słyszałam, że pewnego dnia w czasie II wojny światowej na wieś przyjechali Niemcy. Jeden Niemiec zaczął się bawić pistoletem, a w drugiej ręce miał cukierka. Nagle zawołał jedno dziecko i powiedział, że mu da cukierka. Kiedy dziecko podeszło, strzelił mu w otwarte usta, gdy matka to spostrzegła, pobiegła ratować dziecko i też została zabita.

Tecumesh, IV klasa

Niemcy chcą się zjednoczyć. Polska to wycieraczka — małutkie państwo otoczone z Zachodu Niemcami, ze Wschodu Związkiem Radzieckim, od Północy Morzem Bałtyckim, a od Południa górami i Austrią. Wrocław i Pomorze są podobno niemieckie.

Hot Dąg, IV klasa

Niemcy chcą się zjednoczyć. Są bogaci. Nie stoi się tam w kolejkach, są państwem demokratycznym, dlatego jest tam lepiej niż w Polsce. Wszystko można tam kupić w sklepach, aby tylko mieć pieniądze. Sądzę, że Niemcy nie są tak groźnym krajem, jak to się Polakom wydaje. Myślę, że jak się zjednoczą, to będą bardzo silnym państwem i chyba pomogą Polsce wyjść z kryzysu. Powinniśmy od nich dostać odszkodowanie.

Antoni, V klasa

Nie lubię Niemców ponieważ w czasie II wojny światowej bardzo gnębili naród polski. Obecnie w ich kraju dochodzi do bardzo wielu przemian. Nie chciałbym aby Niemcy się zjednoczyli, ponieważ może powtórzyć się historia z roku 1939. Nigdy nie wyemigruję do ich państwa.

Stoń, V klasa

Niemcy to Szwaby, choć niektórzy nie są źli. Do złych zaliczam Hitlera i Himmlera, a do dobrych np. moją koleżankę — Katrin. Myślę, że ci, którzy brali udział w II wojnie światowej są źli. Lecz młodsze pokolenie nie zachowało złych myśli.

Gucia, V klasa

Niemcy to silne państwo, w 1939 roku mniejszość niemiecka szerzyła dywersję na ziemiach polskich. Ich marzeniem jest parcie na wschód. Zapoczątkowali największą w świecie wojnę.

Sądzę, że niektórzy Niemcy na polskich terenach po zjednoczeniu NRF i NRD mogą być niebezpieczni. Pragną ono bowiem zabrać nam ziemie zachodnie. Także wykupywanie przez nich naszego przemysłu może uzależnić Polskę od Niemiec.

Uczeń, V klasa

Moim zdaniem Niemców w naszym państwie, Polsce, nie powinno być. Po tym co nam zrobili w latach 1939-45. Dokładnie nie wiem po co oni tu przyjechali, ale myślę, że po to aby tu „zerować”. Z opowiadań dziadka i babci, z filmów historycznych wiem, że okrutnie traktowali Polaków podczas wojny. Nie zważali na to czy mordują dzieci, kobiety (czasem ciężarne). Po prostu traktowali Polaków jak zwierzęta. Uważam, że są to mordercy, którym sprawia przyjemność mordowanie i znęcanie się nad ludźmi, którzy mordowali, ale może właśnie taki Niemiec, który mieszka w Polsce jest wnukiem, prawnukiem tego z czasów wojny, który tak się okrutnie znęcał nad Polakami. Na miejscu pana premiera takich bandytów jak Niemcy po prostu wywalilibym z Polski.

Litwa, dziewczynka, V klasa

Niemcy podczas II wojny światowej zabijali ludzi, gdyż chcieli się od nich dowiedzieć czegoś więcej o innych. W walkach Niemcy starali się wygrać lecz im się to nie udawało. Zawsze mieli coś niedobrego do Żydów. Myślę, że nie powinni tego robić, gdyż to też są ludzie.

n., V klasa

Niemcy są zachodnimi sąsiadami Polski. Wiele razy na nas napadali. Stanowią silny naród, niebezpieczny dla sąsiadów. Myślę, że powinni zapewnić Polskę o tym, że nie zaatakują jej granic.

Żaba, V klasa

Nie lubię Niemców ponieważ w czasie wojny byli okrutni dla Polaków. Mordowali nawet małe dzieci. Nie rozumiem ludzi, którzy teraz wyjeżdżają do RFN. Przecież rodziny niektórych z nich były zamęczone w obozach koncentracyjnych.

Nie lubię ich także dlatego, że zamordowali tatę mojego wujka. Jak dorosnę nigdy nie wyjadę z Polski.

Czterooka, V klasa

Niemcy są po prostu ludźmi okrutnymi i tyle.

Kasia, VI klasa

Niemcy produkują dużo samochodów, mają dobrze rozwiniętą mechanikę. Są tam bardzo fajne zabawki, lepsze niż w Polsce, ale jest tam drogo. Myślę, że tam jest dobrze. Prawie każdy mieszkaniec ma willę i świetny samochód.

Koala, VI klasa

Niemcy są krajem zaborczym. Są sąsiadem Polski. Prowadzili wiele wojen, m.in. z Polską. Walczyli o Pomorze Gdańskie, o Pomorze Zachodnie, Śląsk. Są krajem bardzo wojowniczym. W dzisiejszych czasach

wielu Niemców żyje w naszym kraju. Z moich obserwacji nie są mile widziani przez Polaków. Również i ja nie żywię do nich sympatii. Nie przeszkadza mi ich pobyt w Polsce, ale gdy słyszę ich język, przypominają mi się ich okrucieństwa: mordowanie niewinnych ludzi, polityka zaborcza, niepotrzebne wojny. Są Niemcy, którzy pragną pokoju w Europie i na świecie, ale są również i tacy, którzy chcą za wszelką cenę wojny. Następnej wojny. Obawiam się zjednoczenia Niemiec. Nie mam nic przeciwko temu, ale czuję strach, gdy się o tym mówi.

OZ, VI klasa

Niemcy już od czasów Bolesława Chrobrego nękali naród polski. Używali wobec nas wielkiej przemocy. Oszukiwali nas na każdym kroku. Zniszczyli nasz kraj i razem z ZSRR utrudniali Polsce odbicie się od dna w gospodarce. Myślę, że ten naród był i będzie okrutny.

LB, VI klasa

Niemcy są państwem potężnym, gdy się zjednoczą trudno będzie utrzymać granicę na Odrze i Nysie. Mogą też znowu zabrać nam Śląsk. Ale wtedy to my możemy żądać ziem aż poza Berlin.

mg, VI klasa

Niemcy jako naród są wojowniczy. Nie należy im wierzyć. Polska uwierzyła i co się stało wiemy. Dlatego i teraz Polska powinna zachować ostrożność w stosunku do Niemców. Mniejszość niemiecka w Polsce mi nie przeszkadza.

Anonim, VI klasa

Nasi sąsiedzi z zachodu — Niemcy — kojarzą mi się z ludźmi chytrymi i chciwymi. Mam do nich odrazę z powodu wywołania II wojny światowej. Nie lubię ich i chyba nigdy ich nie polubię. Wiem, że u nich w kraju jest dobrze, są bogaci, ale nie mam zamiaru im zazdrościć.

Ziuta, VI klasa

Niektórzy Niemcy wstydzą się swoich niegodnych czynów. Kiedyś np. próbowali mi na siłę wepchnąć czekolady!

Sowa, VI klasa

W Polsce jest wielu ludzi, którzy nie są narodowości polskiej. Mnie to nie przeszkadza, że są w naszym kraju, nie czuję do nich niechęci. Ale gdy pomyślę np. o Niemcach, wzbudza to we mnie pewną nienawiść. Podczas wojny mordowali Polaków, zakładali obozy śmierci. Wiem, że wielu Niemców nie ma z tym nic wspólnego i również potępia te zbrodnie, ale są i tacy, którzy to popierają. Mam nadzieję, że więcej jest tych pierwszych, ale mimo to nie potrafię się do Niemców przekonać.

ZOZ, VI klasa

Niemcy są silnym państwem. Polska przywiąże się do nich, a oni zostawią nas na lodzie i koniec. Nie trzeba im zbyt wiele wierzyć. Niemcy kumają się teraz ze wszystkimi państwami nawet odprawili mszę w celu pogodzenia Niemców z Polakami. O Niemcach myślę, że tak naprawdę to oni chcą nas oszukać.

Frankenstein, VI klasa

Niemcy — był to naród do niedawna zaborczy. Bitwy, wojny, groźne rządy itp. My, Polacy, poznaliśmy Niemców ze złej strony. Najpierw Krzyżacy, później hitlerowcy. Teraz toczą się rozmowy o naszej granicy i znowu jest to niesnaska z Niemcami. Osobiście nie lubię ich. Są jacyś inni. Nic mi się w nich nie podoba. Wydaje mi się, że są bardzo twardzi i nieugięci. Właściwie nie mam uprzedzeń do żadnych narodowości, lecz do nich nie mogę się przekonać. Są dumni, natarczywi, inni niż wszyscy. Wydaje się, że wszyscy tam rywalizują ze sobą.

ja, VI klasa

Niemcy nigdy nie żywili do nas żadnych przyjaznych uczuć. Od początku, od panowania Mieszka I żywili pretensje do naszych ziem. Nie mieli ku temu powodów. Polska nigdy nie była uciążliwym sąsiadem. Ale Niemcy zawsze patrzyli na bogactwo Polski z wielką niechęcią. Poza mniejszymi wypadami na nasze ziemie, bez przerwy organizowali najazdy, niszczyli przygraniczne wioski i miasta. W końcu, gdy Rzeczpospolita zaczęła słabnąć, do spółki z Austrią i Rosją wkroczyli na nasze ziemie, zabierając najbogatsze i odcinając Polskę od morza. Był to pierwszy rozbiór Polski. Po nim nastąpiły dwa następne. Kilka wieków później wielu Polaków zginęło w obozach zagłady w czasie II wojny światowej. Rozpoczęła się ona oczywiście na granicy polsko-niemieckiej. Był to koniec szczęśliwej Polski. Dlatego też bardzo mało faktów może bronić Niemców. Po prostu nie lubię ich. Nie mogę darować im tego co zrobili.

Jasio, VI klasa

Wśród Niemców i Rosjan są ludzie zarówno dobrzy jak i źli, a także głupi. Zajmowali wysokie stanowiska przeważnie źli, ale to się zmienia. Natomiast prostoduszni i dobrzy ludzie byli w większości oszukiwani.

Maverick, VI klasa

Niemcy to potęga. Od wielu lat próbują inwestować w nasz przemysł, ponieważ sądzą, że odzyskają swe dawne ziemie. Uważam, że naród ten jest wredny.

Tomasz, VIII klasa

Niemcy wsadzają nos w nie swoje sprawy (sprawa Śląska oczywiście). Ponadto po zakończeniu rozmów 2 plus 4 mogą być groźni. Wniosek: uzbroić się po zęby i zreformować naszą ludową partyzantkę.

Nelson, VIII klasa

Polska ze strony Niemców wielokrotnie była atakowana, dlatego należy sceptycznie patrzeć na przyjaźń tych obu narodów. Niemniej jednak nie należy mieć do Niemców wrogiego nastawienia. Stosunki z Niemcami powinny być dobre, ale nie bardzo przyjazne.

Teresa, VIII klasa

Niemcy to mądry, inteligentny naród, który potrafił wykorzystać powojenną sytuację. Dzisiaj jest jedną z największych potęg militarnych i gospodarczych świata. W RFN stworzona została prawdziwa gospodarka rynkowa, urządź kapitalistyczny, na który teraz na szczęście wolna i suwerenna Rzeczpospolita wkracza.

TIM, VIII klasa

Moim zdaniem jak świat światem Polak Niemcowi nie będzie bratem. Próbować jednak można.

Zez, VIII klasa

Niemcy. Ich religią jest protestantstwo. Już od najdawniejszych czasów prowadzili politykę zaborczą. Mają raczej negatywny stosunek do Polaków i Żydów. Duża ich ilość znalazła się na ziemiach polskich po włączeniu do Polski po II wojnie światowej Śląska, Pomorza i Mazur.

Uważam, że powinniśmy usunąć Niemców z naszych terenów. Stanowią oni swoiste zagrożenie dla Polaków. Mogą rozpocząć propagandę o rzekomym znęcaniu się na nich przez nasze władze, co spowoduje wkroczenie armii niemieckiej na nasze ziemie. Niemcy mają swoje państwo i mogą mieszkać w jego obrębie, a nie siać strach i zamęt w Polsce.

XYZ, VIII klasa

Niemcy i Rosjanie to oczywiście nasi bliscy sąsiedzi. Niemcy od wieków byli naszymi zaciętymi wrogami i wiele konfliktów zbrojnych powstało na sprawą Niemców. Wielu Polaków (zwłaszcza tych z tradycjami) nigdy nie uzna żadnego Niemca za swego przyjaciela i nigdy nie poda mu ręki. W tym momencie nieistotne są obecne stosunki polityczne z tym od dawna zniechęconym narodem. Niemcy zapewne również nigdy nie uznają nas za naród równy sobie i będą zawsze wyrażali się o Polakach z pogardą. Można tu przytoczyć nawet pewien fakt, z którym spotkać się można na wspólnych koloniach polsko-niemieckich, kiedy to już kilkusetletnie dzieci niezmiennie biegały za Polakami i krzyczały „małe polskie świnię”. To, że Niemcy są naszymi odwiecznymi wrogami uwidacznia się również teraz, kiedy chodzi o granicę na Odrze i Nysie. Niemcy nie chcą nam zagwarantować nienaruszalności tych granic, co grozi poważnym konfliktem zbrojnym między nami.

Iza, VII klasa

Dokładnie historii Niemiec nie znam, ale jak każdy wiem, że Niemcy uczestniczyli w rozbiorach i to oni rozpętali obie wojny. Uważam jednak, że zbyt dużo mówi się o Niemcach, że są oni TACY i JESZCZE INNI. Większość ludzi uważa każdego Niemca za gestapowca i oprawcę. Ale w rzeczywistości chyba tak nie jest. Nie chcę ich bronić, ale uważam że część Niemców nie żywi nienawiści do Polski. Wiem, że jest ruch faszystowski, ale temu winni są ci co nauczają w szkołach niemieckich i podają nieprawdziwe fakty w stosunku do nas. Uważam, że jakby zmienić kilka rzeczy i nie rozdrapywać starych ran, wszystko by może było OK.

Bez imienia, VIII klasa

ROSJANIE

Dawny władca Rosji nazywał się car. Stolicą Rosji jest Moskwa. Ich prezydentem jest Gorbaczow. Rosjanie są krajem okrutnym i złym z powodu wysyłania ludzi na Sybir.

Mrówka, IV klasa

Rosjanie — bogaci, sadyści, wyludniają wszystko od Polski, uważają się za mocarstwo.

Gucio Pasożyt, IV klasa

Nie podobają mi się Rosjanie, gdyż przez nich był u nas komunizm. Poza tym przez cały czas mieli na nas (i nie tylko na nas, ale i na Czechosłowację i NRD) wpływ. Dopiero teraz mieliśmy wolne wybory.

Ala, IV klasa

Rosjanie to naród duży i silny, dużo terenów zabrał Polsce. Stolicą Rosji jest Moskwa. Dużo Polaków wyjeżdża tam w celach handlowych. Rosjanie to w tej chwili biedny kraj, więc Polska nie może oczekiwać od nich pomocy.

Championka, IV klasa

Rosjanie — mają głupi język, bardzo nienawidzę ich za to, że chcieli zabrać Polsce ziemię.

Rex, IV klasa

Rosjan może i lubię, ponieważ pomagali nam pod koniec wojny. Ale nie lubię Stalina. On był wielkim mordercą.

A., IV klasa

Rosjanie razem z Niemcami napadli na Polskę, po czym zabrali nam Lwów i Wilno i do tej pory nie oddali.

X, IV klasa

Rosjanie to naród sąsiadujący z Polską. Do tej pory wojska radzieckie stacjonują w Polsce. W ten sposób ZSRR uniemożliwia napaść wojsk niemieckich na Polskę.

Karpfisz, IV klasa

Rosjanie to pracowity naród, ale ich nie lubię.

dolar, IV klasa

Rosjanie zabrali nam Lwów, Litwę, Ukrainę i Łotwę. Rosjanie uczestniczyli w rozbiorach Polski. Rosjanie jest to kraj bardzo niezgodny i złodziejski. Myślę, że oni są po prostu chciwi i mało im było swoich miast, to nam zabrali nasze.

Misio, IV klasa

Rosjanie pomogli nam w czasie wojny i dlatego uczymy się w V klasie rosyjskiego.

Kig, IV klasa

O Rosjanach wiem tyle, że mieszkają w dość biednym kraju. Kraj ten jest duży, ale słyszałam, że podobno część Związku Radzieckiego ma się zawalić z powodu jakichś kataklizmów.

Kot, IV klasa

Rosjanie — to durnie, które przyczyniły się do rozbiorów Polski. Czasami teraz wstawiają się za Polską, ale czasami nie.

G. Bush, IV klasa

Znam kilku Rosjan, na przykład pewną dziewczynkę, którą poznałam na wakacjach. Bardzo się polubiliśmy, a jej rodzina była całkiem sympatyczna. Uważam, że większość z nich jest bardzo miła.

Pchelka, IV klasa

Myślę, że Rosja nie jest dobrym krajem. Mordowali ludzi, przed zabiciem torturowali. Nie lubię Rosji.

Motył, IV klasa

Rosjanie to mocarstwo — wielka pułapka. Państwo to się rozpada. Są tam strajki, próby oderwania się wielu republik od Związku Radzieckiego. 1/3 ziemi Gruzji zatruta jest Czarnobyłem.

Hot Dog, IV klasa

Czerwoni to mordercy. Mordowali oficerów polskich. Są zacofani i skąpi.

Tecumesh, IV klasa

Rosja to bardzo duży kraj. Największy na świecie. Dużo Rosjan przyjeżdża do Polski na handel i wykupują dużo różnych rzeczy, np. lakiery, mydła.

Lis, IV klasa

Rosjanie są w stosunku do Polaków źli, nie lubią nas. U nich w sklepach wiele rzeczy sprzedaje się tylko za okazaniem dowodu osobistego.

Kaja, IV klasa

Rosjanie uczestniczyli w rozbiorach Polski i wcale nie pomagali nam w czasie II wojny, tylko dbali o własną skórę, a nas uczono, że to przyjaciele.

Rosjanie to naród komunistyczny. Stalin zagarnął około 90 narodów i wymordował więcej ludzi za nic niż Hitler w II wojnie światowej. Mordowali tym sposobem, że wywozili ludzi na Sybir, oblewali zimną wodą, a ludzie zamarzali na śmierć.

Kałwera, IV klasa

Rosjanie: zrujnowana gospodarka. Kraj bogaty, choć obywatele biedni.

Lila, IV klasa

Rosjanie weszli do Polski w 1939 roku. Stworzyli imperium. Zabrali dużą część Polski. Zamordowali polskich oficerów.

Nhoj, IV klasa

Rosja powinna zapłacić za krzywdę ludzką w Katyniu. Stalin zabił ponad 4 tysiące oficerów, a także mordował tych, którzy mu się nie podobali (także Rosjan).

Rak, IV klasa

Rosja jest biednym krajem i Gorbaczow stara się ją poprawić, choć wiele pieniędzy wydaje na czołgi pancerne. Litwa chce być niezależnym krajem, z czego Gorbaczow jest wściekły.

Patrycja, IV klasa

W Świnoujściu jest dzielnica, w której mieszkają Rosjanie. Są koszarzy, otoczone murem, siatką i szkłem potłuczonym na drobne kawałki. Na sklepkach są napisy rosyjskie. Ludzie są biedni. W wózku jeżdżą dzieci. W jednym — po dwa, do trzech. Z koszar wyjeżdżają samochody o rejestracji rosyjskiej. Idąc portem można zauważyć siatkę. Stoją tam rosyjskie, piękne statki.

Aga, IV klasa

Rosjanie zamordowali w Katyniu 15.000 polskich oficerów. Wyglądało to okropnie, rozkładające się ciała Polaków w rowach. W TV był wywiad z panem, który był świadkiem jednej takiej masakry.

Sucha Mucha, IV klasa

Rosjanie — naród słowiański, zamieszkuje centralne tereny ZSRR. Pierwsze ich księstwa ruskie powstały we wczesnym średniowieczu. Zostały one zniszczone przez Mongołów, a w następnych wiekach przez Litwinów. Po rozpadzie Wielkiego Księstwa Litewskiego tereny Rosji dostały się w ręce Królestwa Polskiego, a po osłabieniu Polski na nowo powstało państwo rosyjskie. Kolejno zdobywało nowe państwa, a wojska carskie niszczyły próby oporu, prowadziły rusyfikację. W 1917 roku powstała Rosja Radziecka. Państwa rosyjskiego już nie ma, jest Związek Radziecki, który obecnie się rozpada. Rosjanie mają pracowity naród, ale kłamliwą i złą władzę.

Błękitny rekin, IV klasa

Rosjanie są dupkami. Nie panują nad sytuacją w swoim kraju.

Nhoj, IV klasa

Rosjanie to mordercy z Gorbaczowem na czele. A jak Gorbaczow nie torturował jak inni, to sowiety się rozlatują. Precz z nimi i z hitlerowcami!

Tecumesh, IV klasa

Rosjanie jest to naród spokojny. W niektórych rejonach ZSRR panuje głód i biedota. Ich obozy dla zesłańców były bardzo okrutne.

Kinderszczur, IV klasa

Rosjanie to duże państwo. Mają dużo bogactw naturalnych. Mają piękny krajobraz, który niszczą, zatruwając siebie i Polskę.

Gucio P., IV klasa

W Rosji nie ma towarów w sklepie, gdy się pojawiają, są kolejki. Leki się kupuje na kartki. Dostają I proszek do prania na miesiąc. Mają duży teren, ale nie umieją nim władze rządzić. Są tam duże puszcze, w których nie można przejść, tak są gęste. Nad Zalewem Zagrzyńskim jest ośrodek wypoczynkowy dla Rosjan. Są tam tylko Rosjanie, którzy pracują w ambasadach. W Rosji jest pięknie tylko w hotelach. Rosjanie są bardzo biednym krajem, chociaż mają największy teren.

Ania, IV klasa

Rosjanie: sadyści, gbury, nieuczciwi, pasożyty, są nieliczne wyjątki potwierdzające regułę.

Leo Guy, IV klasa

Rosjanie — przeważnie komuniści.

Pirania, IV klasa

Rosjanie są bardzo dużym państwem, ale biednym. Nie pomagają Polsce, wręcz przeciwnie, ubiedniają Polskę i wypychają ją w kryzys. Wywożą z Polski kartofle ciężarówkami, zatruwają środowisko naturalne. Rosja wiele szkód nam wyrządziła, jak N.K.W.D.

Antoni, V klasa

Rosjanie to nasz wschodni sąsiad. Jest to bardzo liczny naród. Dużo ziemi zabrali Polsce. Od Rosji zależy wiele państw. Uważam, że Rosjanie powinni przyznać się do zbrodni, które popełnili. I powinni więcej wydawać na ludzi, a nie na wojsko i rakiety kosmiczne.

Żaba, V klasa

Rosjanie najpierw też zabijali i męczyli Polaków. Dopiero pod koniec wojny trochę nam pomogli. Myślę, że są okrutni tak samo jak Niemcy.

y, V klasa

Rosjanie są wschodnimi sąsiadami Polski. Graniczą z nami już od wielu tysięcy lat. W czasie rozbiorów Polski zabrali wschodnią jej część i gnębili. Zabraniali rozmawiać w ojczystym języku, kazali się uczyć rosyjskiego. Natomiast w czasie II wojny światowej pomagali Polsce walczyć z Niemcami.

Moim zdaniem to nie od Rosjan zależało czy nam pomagali czy nas gnębili, ale od carów i innych władców.

Jestem w V klasie i uczę się języka rosyjskiego i uważam, że początkowa historia Leningradu jest dosyć ciekawa. Lecz gdy pomyślę o rozbiorach Polski i gnębieniu Polaków, to odczuwam jakiś wstręt do Rosjan. Ale uważam, że powinniśmy sobie pomagać, bo gdyby sobie nikt nie pomagał, to by była ciągle wojna między różnymi państwami, nawet brat z bratem by walczył.

Olcia, V klasa

Sądzę, że dopóki Polska żyje w dobrych stosunkach z ZSRR, to mniejszość rosyjska w Polsce nie powinna nam zagrażać. Według mnie ZSRR niedługo się rozpadnie i podzieli na małe państwa nie zagrażające Polsce. Związki z Radzieckiemu zawdzięczamy socjalizm i złą sytuację gospodarczą.

Uczeń, V klasa

Rosjan trochę nie lubię, bo gdy byli cesarstwem, także znęcali się nad Polakami. Ale trochę ich lubię, ponieważ są bardzo pokojowo nastawieni do Polski. Najbardziej nie lubię tego okresu, kiedy żył Stalin. Zesłał on na Syberię bardzo dużo Polaków. Zachowywał się jak nienormalny.

Czterooka, V klasa

Pod zaborami Rosji są Litwa i Armenia. Nie lubię Rosjan tak jak i Niemców. Nienawidzę również ich języka.

Maja, V klasa

Rosjan także nie lubię. Chociaż w czasie II wojny światowej byli naszymi sprzymierzeńcami. Niedawno był program o Katyniu. Rosjanie także zamordowali wielu polskich oficerów i chcieli zataić to przed nami. Rosjanie wcale nie byli lepsi od Niemców. W czasie I wojny światowej wystali wielu Polaków na Syberię. Tam nasi rodacy pomarli z przepracowania, głodu i zimna. Przywódca rosyjski — Stalin znęcał się nad naszym narodem. Dopiero od kilku lat ujawnia się prawdziwa historia męczarni Polaków na ziemi rosyjskiej. Teraz również i w tym kraju dochodzi do wielu przemian.

Słoń, V klasa

Rosjanie. Od małego w domu słyszałam, że są źli. W telewizji, w radiu zawsze mówiono o nich jako o przyjaciółach narodu. Moim zdaniem Rosjanie to po prostu ludzie, źli czy dobrzy, ale ludzie. Jest to naród z gatunku „wór bez dna”. Prawie każdy gdy mówi o Rosjanach, to mówi o nich prawie same najgorsze rzeczy. „To nam zabrali, tamto też. A temu to zrobili tak, a tamtemu tak”. A ja myślę — czy to ich wina, że mieli takiego, a nie innego człowieka przy władzy? Powiecie pewnie, że tak, bo to oni go wybrali. Ale przecież wszyscy wiemy, że wtedy i jeszcze czasami teraz rząd sam wybiera siebie, a „ludzie prości” w tych sprawach się nie wypowiadają. Rosjanie nie są winni, ale ich władza jest winna. Właściwie gdy mówimy o nich, to myślimy o tej władzy. Ja lubię Rosjan.

ja, VI klasa

Rosjanie są dobrymi sąsiadami Polski, ale także ludźmi okrutnymi. Tu przychodzi na myśl Katyń, gdzie tysiące Polaków zostało zabitych. Już kilka razy w Polsce był Gorbaczow. Przyjeżdżał w „odwiedziny”, w „pokojuowych” zamiarach. I po co tuszowanie ich okrucieństw? Po co to wszystko? Kiedy po przyjeździe do Rosji mówi się coś innego niż to, co się widziało i słyszało? A te książki rosyjskie! Dzieci rosyjskie widzą w ogóle inne mapy, niezgodne z prawdą. Na nich największy obszar ma Rosja. Dlaczego? Myślę, że dlatego, bo chcą, żeby dzieci podziwiali swoich przodków, jako ludzi walecznych.

Kasia, VI klasa

Rosjanie są narodem wrednym. W Polsce mieszka ich więcej niż w innych państwach. W polskich szkołach uczy się języka rosyjskiego. A czy w Rosji uczy się polskiej mowy? Nie! Moim zdaniem Litwa dobrze zrobiła, że się oderwała od Rosji, inni powinni też to zrobić.

mg, VI klasa

Rosjanie nie chcieli nam umożliwić poprawy gospodarki i również przez długi czas nekali nasze państwo i zabrali nam dużo wspaniałych ziem, np. Litwę i Ukrainę. Nigdy nie mieli do nas przyjaznych stosunków, choć niby tak głosili przyjaźń polsko-radziecką. Byliśmy w pewnym stopniu u nich w niewoli, czego przykładem może być to, że musimy się uczyć rosyjskiego.

Sowa, VI klasa

Rosjanie to naród biedny, tam ludzie biednie żyją i gdyby Polska była dalej socjalistyczna, na pewno by tak było jak w ZSRR. Różne republiki będą się od nich odrywały, a to też o czymś świadczy.

Anonim, VI klasa

Rosjanie również nie wzbudzają we mnie sympatii. Gdy o nich myślę przypomina mi się straszna zbrodnia w Katyniu. Albo teraz sprawa z Litwą. Nie rozumiem dlaczego nie chcą, aby była samodzielną. Są tak wielkim państwem, że na pewno nie straciliby na tym, a uszczęśliwiliby wielu ludzi.

ZOZ, VI klasa

Rosjanie cały czas aż do zdelegalizowania „Solidarności” nękali nas. Zabrali nam wiele ziem, Litwę, Ukrainę. Musieliśmy uczyć się języka rosyjskiego, co było tylko stratą czasu. Nigdy nie mówili nam prawdy, czego dowodem Katyń, a nawet Czarnobyl. Utrudniali Polakom rozwój gospodarki. Nigdy w telewizji czy w radiu nie można było powiedzieć złego słowa o Rosjanach. Wprowadzili bezsensowne święto — 1 maja, na które zmuszano ludzi do uczestnictwa w nim. Myślę, że naród rosyjski zrobił Polsce wiele krzywd i wyrządził wiele zła.

LB, VI klasa

Rosjanie — zbrodnie rosyjskie. Katyń. Uczenie się tego języka — ohyda! Dopiero teraz odkrywane są na terenie państwa rosyjskiego ciała zabitych przez nich Polaków, ciarki przechodzą po plecach! I jeszcze oni śmia mówić, że to nie oni. Rozbiory Polski — oni też brali w tym udział. Druga wojna światowa — napad Rosjan, zsyłanie na Syberię. I teraz Litwa; gdy się od nich odłączyła — wysyłają komandosów, by zajęli taki czy inny budynek. Gdy siadam na ławce na lekcję rosyjskiego, myślę o tym wszystkim i ... już nie mam słów!

dg, VI klasa

Rosjanie. Co było, to było, ale o Rosjanach nie można źle powiedzieć. Zawsze współżyli z nami o wiele lepiej niż Niemcy. Owszem, był okres wypaczeń, ale teraz miejmy nadzieję, iż wszystko się ustakuje i znów będziemy żyć jak przyjaciele. W końcu to też Słowianie. Mnie oni nie przeszkadzają i uważam, że to dobrzy ludzie.

AS, VIII klasa

Przez Rosjan, komunistów zostaliśmy sprzedani wschodowi. Wprowadzili oni do naszego kraju błędny system socjalistyczny, doprowadzając do załamania się polskiej gospodarki. Dopiero w 1989 roku Polska wyrwała się z zależności od Związku Radzieckiego i wkroczyła na drogę demokracji. Winni powinni zostać ukarani. Precz z komuną! Litwini, Estończycy, Łotysze powinni odzyskać niepodległość.

TIM, VIII klasa

Bardzo duża część Polaków jest uprzedzona do Rosjan. Czy słusznie? Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Myślę, że Rosjanin Rosjaninowi nierówny. Najbardziej zawsze denerwowało mnie to, że naród ten nazywaliśmy przyjaciółmi. Zawsze się na nich wzorowaliśmy.

Pestka, VIII klasa

Uważam, że to co zrobił Hitler i Stalin jest już przeszłością i nie powinno wpływać na stosunki we współczesnym świecie. Wielu osobom Rosjanie kojarzą się z jakimś głupkami, ale w rzeczywistości tak nie jest. W ZSRR — jak w każdym kraju — są ludzie źli i dobrzy i nie można winić całego narodu za postępowanie tych złych.

Bez imienia, VIII klasa

Polska jest w ścisłym układzie z Rosją pod względem gospodarczym i militarnym. Polska jest krajem słabym i fakt, że w naszej ojczyźnie jest wielka potęga militarna Rosjan może tylko cieszyć, ponieważ czasy są niepewne i nie wiadomo, co może się stać w związku ze zjednoczeniem Niemiec.

Tomasz, VIII klasa

Rosjanie od najdawniejszych czasów są „sprzymierzeńcami” Polski. „Pomagali” nam czyniąc kolejne rozbiory Polski, twierdząc iż to uratuje nasz kraj od upadku. Przez wiele lat narzucali nam system gospodarczy i ustroj polityczny naszego kraju. Jestem przeciwna mniejszości radzieckiej w Polsce. Jak Niemcy mają oni swój kraj, w obrębie którego powinni przebywać. Nasza polityka nie musi być ściśle związana ze Związkiem Radzieckim. Tak jak obywatele polscy ubiegają się oni o miejsce w rządzie, co jest według mnie głupotą. Dlaczego niby los Polski miałby zależeć od innych?

XYZ, VIII klasa

Polacy z reguły nie lubią Rosjan zamieszkałych w Polsce, gdyż każdego z nich odbiera się jako komunistę wywożącego wszystko do ZSRR. Na nasz stosunek do Rosjan ma wpływ także historia.

SOS, VIII klasa

Rosjanie. Tak jak i Niemcy. Kacap kacapowi nie jest równy. Część Polaków jest niejako uprzedzona do Rosjan, jako wytworu ze wszech miar złego komunizmu. Lecz czego można chcieć od żyjącego uczciwie człowieka, w tym przypadku Rosjanina? Niech ma takie prawa jak i inni obywatele kraju, w którym żyje (obowiązki też).

PAT, VIII klasa

Jeśli chodzi o Rosjan to są oni uważani za naszych przyjaciół i gości się ich u nas z całą paradą i uwielbieniem. Według mnie jest to naród, który zawsze i wszędzie szuka własnej korzyści, a Polsce nigdy dobrze nie życzył. Nie wiem, może się mylę, jednak nie czuję do tego narodu najmniejszej nawet sympatii.

Iza, VIII klasa

ŻYDZI

Ja nic nie mam do Żydów.

A., IV klasa

Żydzi w czasie wojny mieli bardzo duże kłopoty, bo Niemcy ich zabijali, zdzierali z nich skórę i robili sobie z niej buty. Sądzą, że w ogóle nie powinno być tej wojny, bo zginęło w niej bardzo wielu ludzi.

Majsterklepka, IV klasa

Żydów lubię — umieją prowadzić interesy.

Karolina, IV klasa

Żydzi: bogobojni, uczciwi, bojaźliwi, łagodni.

Leo Guy, IV klasa

Żydzi jest to naród miły, serdeczny i niewinny. Tylko niektórzy są tacy jak Polacy.

Żydzi mieszkają na całym świecie. Podczas wojny ukrywali się pod spalonymi domami, bo Niemcy ich zabijali. Obecnie wielu Żydów to aktorzy, mechanicy, inżynierowie.

Rosjanka, IV klasa

Żydzi są bardzo mądrzy i dlatego Niemcy ich nienawdzili i rozstrzeliwali.

G. Bush, IV klasa

O Żydach myślę, że byli i może jeszcze są poszkodowani przez wojnę.

Jadwiga, IV klasa

Żydzi — zamordowani
cwaniaczki
chytrosy

Gucio pasożyt, IV klasa

Żydzi to ludzie spokojni. I może dlatego przez Niemców-wojowników nienawidzeni.

misio, IV klasa

Stolicą Żydów jest Jerozolima. Żydzi byli bardzo męczeni w czasie wojny. Byli bardzo wytrwali. Pomagali nam walczyć. Są narodem biednym.

Aga, IV klasa

Żydzi to naród wędrowny. Jest jednym z najstarszych narodów. Teraz walczą w Palestynie o swój naród, ale mordują Arabów bez żadnego powodu.

Kalwera, IV klasa

Żydzi to plemię, którego nie lubię. Hitler nie lubił Żydów, bo ich mordował, a miał kochankę Żydówkę. Żydzi to plaga.

Tecumesh, IV klasa

Żydzi mają wielką kulturę i wielką religię, którą szanują. W Jerozolimie urodził się Jezus i wychował się. Uważam, że Żydzi są dobrzy i nic takiego nie robią, tak jak wielu ludzi sądzi. Mają własny świat, który w nich trwa.

Patrycja, IV klasa

Żydzi w Katyniu wybili około 15.000 ludzi.

Niemcy mordowali Żydów w Treblinkach i robili z nich proch.

Rokus, IV klasa

Żydzi byli dla nas trochę dobrzy, trochę źli. Mają bardzo śmieszne prawa. Na przykład na cmentarz kto chce wejść, musi mieć kapelusz.
d, IV klasa

Żydzi — noszą bardzo długie brody, aż do ziemi, wszędzie chodzili w czapkach. Mówią po hebrajsku. Ich stolicą jest Jerozolima.

Pirania, IV klasa

Żydzi to starzy ludzie, którym zawsze działo się źle. Zawsze byli potępiani. W Warszawie jest cmentarz żydowski i przychodzą tam przede wszystkim starzy ludzie.

n, V klasa

Żydzi mają własną kulturę i obyczaje. Teraz najwięcej Żydów mieszka w Izraelu. Żydzi w czasie II wojny światowej byli strasznie prześladowani przez Niemców. Podziwiam tych Polaków, którzy nie bali się kryć Żydów.

Czterooka, V klasa

Żydzi moim zdaniem są podstępni i cwani. Dużo ludzi nie lubi Żydów.

y, V klasa

Ojczyzną Żydów jest Izrael. Ale są rozprzestrzeni po całym świecie. W Polsce przed wojną było ich aż 3,5 miliona. Żydzi są z natury zdolni do interesów. Dlatego wielu z nich zajmuje się handlem. Wielu ludzi ich nie lubi. Polacy „szczyją” się tym, że w 1968 roku wypędzili większość Żydów. Sądzę, że Żydzi są mądrym narodem. Świadczą o tym nazwiska wielu sławnych ludzi, np. Einstein.

uczeń, V klasa

Żydzi przywędrowali do Polski z Izraela. Przed wojną było ich w Polsce bardzo dużo. W czasie wojny wielu wymordowali Niemcy. W naszych czasach są mniej widoczni, ale podobno kilka osób z rządu to Żydzi. Żydzi są bardzo gadatliwi. Dobrze handlują.

Żaba, V klasa

Wielu ludzi prześladowuje Żydów. Jest to zupełnie bezpodstawne. Po tym, co spotkało ich w naszej ojczyźnie, nie mamy prawa ich obrażać. Gdy Hitler mordował Żydów, gdy zabijał nawet niemowlęta, uzależiliśmy się nad strasznym losem tego narodu. A teraz wielu Polaków prześladowuje Żydów. Jest to obrzydliwe. Ten kto ich prześladowuje, jest lotrem bez czci i honoru. Zbrodnie popełnione na Żydach były okrutne. Uważam, że należy ich teraz, po tych strasznych latach, traktować jak ludzi, którzy przeżyli największe chyba na świecie okrucieństwa.

Jasio, VI klasa

O Żydach myślę (a nawet prawie wiem), że są to tacy sami ludzie jak my. Uważam, że inna narodowość, język i mowa nie różnią ich od normalnych ludzi.

Kasia, VI klasa

Żydzi. Bardzo mnie interesuje ten naród. Ich historia, religia, tradycje. Czuję do nich wielką sympatię. To oni byli kozłami ofiarnymi dla Niemców.

ZOZ, VI klasa

O Żydach dobrej ani złej opinii nie mam. Słyszałem o nich mało. Wiem, że byli w czasie wojny tępieni przez Niemców. Stanowią duży procent ludności w Polsce.

Rudy, VI klasa

Żydzi. Każdy chyba zna ich tragiczny los w czasie wojny. Ja osobiście nie mam nic przeciw nim, a raczej chciałabym wstawić się za nimi. Bardzo interesuje mnie ich religia. Chciałabym pojechać do Palestyny.

Ziuta, VI klasa

O Żydach wiem mało, ale wiem, że fajnych samochodów nie mają.

Koala, VI klasa

Żydzi są najniezwyklejszym narodem na ziemi. Nie mają swojego państwa, a podczas wojny „dzięki” bredniom Hitlera zostali wytępieni w dużym stopniu.

Maverick, VI klasa

Żydzi mają dobrze, choć nie zawsze i nie w każdym państwie. Mieszkają także w Polsce. Prawie cały nasz rząd to Żydzi: Mazowiecki, Kuroń. Nie mam nic do nich.

Frankenstein, VI klasa

Żydzi są tolerowani przez Polaków. Nie żywię do nich urazy, chociaż nie potrafie zrozumieć ich religii. To wszystko jest bardzo dziwne.

OZ, VI klasa

Żydzi do Polski wprowadzili komunizm. W czasie wojny byli bardzo nękanymi przez Niemców. Polacy ukrywali ich w domach, narażając swoje własne życie. Za to co dla nich zrobiliśmy nie okazali nam zbyt wielkiej wdzięczności. Zabrali mnóstwo rzeczy z Polski. Potem tacy ludzie jak Urban zajmowali w Polsce wysokie stanowiska.

LB, VI klasa

Żydzi to naród dobry i spokojny. Był w dawnych czasach pomocny. Chodzili po ulicach i zawsze sprzedawali taniej niż w sklepach, a nawet można się było z nimi targować. I nie wiem dlaczego Żydów wymordowano. Są nam życzliwi, powinno się ich znów wprowadzić do Polski.

mg, VI klasa

Żydzi. Teraz już mało o nich słyszymy. W czasie wojny byli okrutnie mordowani za narodowość. Jest mi ich żal. Powinni być uważani na równych prawach z innymi. Przetrwali, mimo że Niemcy chcieli, by stało się inaczej. Myślę, że można brać z nich przykład.

ja, VI klasa

Żydzi to naród przedsiębiorczy. Niemcy chcieli ich wytepić. Żydów nie powinno być dużo, ale jak są to się nie odróżniają, dobrze robią interesy.

Anonim, VI klasa

Nie jestem nazistką i absolutnie nie żywię wrogich uczuć w stosunku do Żydów. Naród jak każdy inny. Osobiście nie spotkałam się z ludźmi, którzy by wywyższali się ponad rasę żydowską. Jednak mój stosunek (do tej pory nawet ciepły) do Żydów uległ pewnej zmianie, gdy ojciec opowiedział mi pewne zdarzenie z okresu okupacji, a raczej przytoczył słowa pewnego Żyda. Żyd ten z pogardą patrząc na mojego ojca mawiał: „Co każdy krzaczek będzie wisiał Polaczek”. Nie sądzę jednak, aby na podstawie zachowania jednostki można było wyciągnąć wnioski dotyczące wszystkich Żydów. Dlatego też nie jestem do nich uprzedzona.

Iza, VIII klasa

Mniejszość żydowska jest w Polsce w małym procencie. Nie zagraża nam, więc może żyć i umierać w naszym kraju.

Piotr, VIII klasa

Mówi się, że Żydzi nie posiadają swojego kraju i dlatego rozsiani są po całym świecie. W rzeczywistości jednak oni mają Izrael, a opuszczają kraj rodzinny, gdyż poszukują w innych państwach okazji do wzbogacenia się. Jednak sądzę, że ludzi pragnących bogactw spotkać można wszędzie. Istnieją tacy również w innych państwach.

Pająk, VIII klasa

Żydzi całkowicie opanowali nasz kraj. W rządzie — zaczynając od Mazowieckiego, a kończąc na rzeczniczce — wszyscy są Żydami. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby oni żyli sobie w Polsce, ale mam ogromne zastrzeżenia do tego, że oni rządzą naszym krajem.

Alex, VIII klasa

Ludność żydowska nigdy nie była tolerowana przez pewne warstwy społeczne, gdyż szybko bogaciła się. Ale co tu dużo mówić — gospodarka polska w 20-leciu międzywojennym trzymała się przede wszystkim na kapitale bankierów i przemysłowców żydowskich. Żydzi zrobili bardzo wiele dla spraw Polski. Dlatego sądzę, że ta narodowość powinna znaczyć najwięcej dla Polaków.

AS, VIII klasa

Żydzi powinni być zrehabilitowani za krzywdy doznane z rąk polskich władz (wtedy komunistycznych).

TIM, VIII klasa

Żydzi. Już od wielu wieków zamieszkują tereny naszego kraju, znajdując tu oparcie i pomoc ludzi. Rozumiem, że nasze losy ściśle się ze sobą wiążą i to już od wielu wieków. Zgadzam się na pobyt ich tutaj, nie mam nic przeciw ich obyczajom, religii, obrzędom, ale nie powinni rządzić naszym krajem. Faktu, że Polska została oddana w ręce mniejszości żydowskiej, nigdy „Solidarności” nie daruję!

XYZ, VIII klasa

Do Żydów wielu ludzi czuje nienawiść. Nie rozumiem dlaczego. Czy dlatego, że potrafią zorganizować coś lepiej niż inni?

Pestka, VIII klasa

Żydzi to naród znany z naciągania i kantowania w własnym interesie. Jedyną zaletą Żydów jest ich umiejętność „robienia” pieniędzy. Moim zdaniem w naszym rządzie mamy Żydów.

SOS, VIII klasa

W Polsce nastawienie do Żydów bywa wrogie. Wielu ludzi jest antysemitami. Uważają, że Żydzi to cwaniacy, bo zbijają pieniądze i zajmują wysokie stanowiska. Ja uważam, że nie można mieć wrogiego nastawienia do żadnego narodu i trzeba wszystkim mniejszościom zapewnić rozwój kultury, religii, języka.

Teresa, VIII klasa

W Polsce znajduje się dosyć dużo Żydów, i to od około 400 lat. W naszym kraju zawsze było dużo ludzi, którzy traktowali Żydów jak wszystkich innych, równych sobie. Znajdowała się też grupa ludzi, przeważnie niewykształconych, o wąskich horyzontach myślowych, którzy szkanowali Żydów. Wydaje mi się, że dlatego, ponieważ naród ten miał zawsze wielu ludzi wykształconych, zaradnych, pomysłowych i umiejących robić duże pieniądze. Takie złe podejście do nich brało się zazwyczaj z zazdrości. Większość banków i przedsiębiorstw przedwojennej Rzeczypospolitej i teraz na całym świecie należało i należy do Żydów. Myślę, że powinniśmy utrzymywać dobre stosunki z Żydami. Uważam, że należy szanować wszystkich. Nikogo nie wolno poniżać. Wszyscy są ludźmi i wobec Boga są równi. I miejmy nadzieję, że w przyszłej zjednoczonej Europie nie będzie żadnych nieporozumień na tle etnicznym.

Magnolia, VIII klasa

W Polsce przed wojną Żydów było bardzo dużo. Prowadzili sklepy i wykonywali różne prace „czyste”. Swoje dzieci ustawiali wysoko. W czasie wojny byli maltretowani, ale mimo tego i teraz jest ich w Polsce wielu, także wysoko się ustawiają i — moim zdaniem — próbują Polskę uczynić krajem żydowskim. Szczególnie w ostatnich latach ta mniejszość narodowa zwiększyła się. Ankiety tego nie wykazują, ale ludzie starsi, znający mowę żydowską i ich wygląd, rozpoznają Żydów bez problemu. Teraz cały polski rząd — oprócz Syryjczyka — jest żydowski. Mnie się to nie podoba.

Tomasz, VIII klasa

Kwadratura koła

Pewien utalentowany pisarz z Europy Wschodniej poskarżył mi się niedawno, że totalitaryzm zniszczył go dwa razy. Najpierw wsadzając go do więzienia i zmuszając do emigracji, następnie rozpadając się w momencie, kiedy pisarz ten zakończył powieść poświęconą totalitaryzmowi dogłębnej analizie. Rzecz prosta, w związku z *głasnością* i *pieriestrojką*, Vaclavem Havlem i Berlińskim Murem książka ta został odrzucona przez wszystkie wydawnictwa, jako znakomita, ale zupełnie nieaktualna.

— Już nie chodzi nawet o pieniądze, tylko o czym ja mam właściwie pisać? O rozwodzie Donalda Trumpa? — pisarz zamyslił się ponuro.

Brzmi to zabawnie, ale nie dla wszystkich. Czuję coraz wyraźniej, że to wspaniałe trzęsienie Ziemi, jakie odbywa się teraz na Wschodzie, stawia mnie jako pisarza emigracyjnego w nieco delikatnej sytuacji.

No bo rzeczywiście, wyjechałem z Polski nie żeby się wzbogacić, tylko w związku ze stanem wojennym generała Jaruzelskiego. Przesadnie się nie wzbogaciłem, po stanie wojennym nie ma już śladu, generał Jaruzelski został liberałem, to na co właściwie czekam?

Ludzie, którzy parę lat temu martwili się na łamach polskiej prasy, że wysługują się imperialistom, teraz zakładają gorączkowo prywatne przedsiębiorstwa i jeśli czymś się martwią to tym, że ich firmy nie znajdują się w notowaniach giełdowych Wall Street. Moja zatrzymana przez cenzurę „Moc truchleje” drukowana jest w *Literaturze* i wychodzi w „Czytelniku”. Polska Telewizja zamiast wystąpień ministra spraw wewnętrznych, nadała msze święte przeplatane serialem „Policjanci z Miami”. Oficerowie SB rzucają się na szyję przechodniom błagając ich o przebaczenie, a z kieszeni dyskretnie wystają im biblie.

PZPR rozwiązało się, przy czym dla uczczenia tego faktu delegaci na ostatni zjazd odśpiewali Międzynarodówkę, a ja

jestem w Nowym Jorku i nie mogę się ich nawet zapytać, kogo mieli na myśli śpiewając: „Wyklęty powstań ludu Ziemi” i „Bóg to jest nasz ostatni”.

Na dodatek „Kopciuch”, sztuka o dziewczętach wystawianych w poprawczaku bajkę o Kopciuszku i będąca metaforą totalitaryzmu, jest obecnie grana w 16 teatrach w ZSSR. Co więcej, zostałem zaproszony na premierę. I pojechałem.

Czyli o co mi chodzi? Czy o to, że już nie mam mieszkania w Warszawie... ale prawdę mówiąc tutaj też nie mam.

A może nie potrafię już żyć bez otwartych całą noc koreańskich sklepów z malinami? Albo przywiązałem się do swojego kulawego angielskiego i mój wyrafinowany polski przestał mnie bawić. Może szkoda mi tych ośmiu lat, w czasie których robiłem co mogłem, aby odzwycząić się od Polski i przyzwycząić się do Ameryki, odzwycząić od cenzury politycznej i przyzwycząić do komercyjnej. A jak mi się już zaczęło wreszcie składać, to teraz mam wracać?

Na dodatek cenzurę polityczną w Polsce zlikwidowano, a komercyjnej jeszcze nie wprowadzono.

A może ja już nigdzie nie należę, tylko unoszę się gdzieś pośrodku?

A może nie mogę już żyć bez Broadwayu? Ale prawdę mówiąc sztuki Arthura Millera czy Tennessee Williamsa łatwiej jest teraz zobaczyć w Moskwie niż w Nowym Jorku.

Parę tygodni temu zobaczyłem „Kopciucha” w Moskwie. Przedstawienie zaczęło się od tego, że na scenę wszedł mężczyzna z aparatem i zaczął robić zdjęcia publiczności. W Moskwie takie pasje fotograficzne kojarzą się nie z turystami z Tokio, tylko z KGB. Pomysł reżysera wydał mi się zabawny i roześmiałem się. Jako jedyny. Widzowie zaczęli przyglądać mi się ze zdziwieniem. Wreszcie usłyszałem: *Eto inostranec*.

Ludzie pokiwali ze zrozumieniem głowami i przestali zwracać na mnie uwagę, a ja straciłem ochotę do śmiechu.

„Kopciucha” napisałem jako kafkowską komedię, równie śmieszna co straszna. Ale Kafka był przez wiele lat zakazany w ZSSR jako pisarz zbyt realistyczny.

W Moskwie wprowadzono już system wielopartyjny ale wygląda na to, że jest zbyt wcześnie, żeby więzienia i KGB śmie szyły rosyjską publiczność.

Ostatnio przyszła mi do głowy buntownicza myśl, że może w ogóle nigdzie nie muszę należeć, tylko tak sobie żyć, trochę tu, trochę tam. Ale zaraz zawstydzilem się. Bo na takie myślenie może sobie pozwolić obywatel jakiegoś eleganckiego kraju, na przykład Francuz. A Polakowi co prawie od 200 lat bez przerwy jest bity i gwałcony, po prostu nie wypada.

Nie będę ukrywał, że bardzo mi przyjemnie, że to właśnie

mój skromny kraj jako pierwszy komunizm pogrzyżył, tyle że ja akurat byłem wtedy dość daleko.

Nie żeby mnie w Nowym Jorku ktoś specjalnie rozpieszczęł albo siłą zatrzymywał... może właśnie dlatego uparłem się, żeby tu być. Z dzikiej próżności albo z dzikiego masochizmu.

Tak czy inaczej przyzwyczailem się. Adoptowałem bezdomnego kota i wprawilem sobie ochronne kraty w oknach. I patrzę przez nie na mojego dozorcę, powyginanego od reumatyzmu emigranta z Malty, który zawsze kiedy pada deszcz zadziera głowę do góry, uśmiechając się radośnie.

Zapytałem go kiedyś, dlaczego tak lubi deszcz. Odpowiedział, że deszczu nienawidzi, bo mu nogi puchną. Ale na Malcie latami czekał na kroplę z nieba i się nie doczekał. I ziemia zmarniała, on też, i musiał wyemigrować. Wybrał Nowy Jork, bo tu pada cały rok.

Od powrotu z Rosji chodzi za mną prościutka melodyjka z leningradzkiego przedstawienia „Kopciucha” w teatrze Leninowskiego Komsomolu. Widownia oddzielona była od sceny żelazną kratą. Dziewczeta z zakładu poprawczego szarpały się z nią, mocowały, próbowały ją wyłamać. Śpiewały przy tym bardzo ładną piosenkę o ślepej miłości do Ameryki i o beznadziejnym marzeniu, że tam się kiedyś znajdują. Wszyscy na sali plakali. Ja nie. Ja tej piosenki nie napisałem. Dopisał ją za mnie rosyjski pisarz. Ale ja za to do Ameryki uciekłem. Napisałem nawet o tym sztukę. Nazywa się „Polowanie na karaluchy”; też jest tragicomedią. Jest to sztuka o parze polskich emigrantów spędzających bezsenną noc w otoczeniu karaluchów w biednym mieszkanku na dole Manhattanu.

Dwa lata temu „Karaluchy” nie mogły być wystawione w Polsce, ponieważ cenzorzy uznali, że jest to sztuka antypolska. Nie zdziwiłbym się, gdyby teraz „Karaluchy” wywołały oburzenie byłych cenzorów jako sztukę paskudnie antyamerykańska.

Kiedy wróciłem z Moskwy, w Nowym Jorku padało. Z walizkami w rękach wpadłem na roześmianego dozorcę. Wymieniliśmy uściski dłoni. Jego ręka wydała mi się jeszcze bardziej opuchnięta niż miesiąc temu. Dlaczego ten człowiek nie wróci na Maltę? Mógłby wyleczyć się z reumatyzmu. Pracował w Ameryce przez trzydzieści lat. Z amerykańskiej emerytury mógłby tam żyć luksusowo przez następnych trzydzieści.

— Dlaczego pan nie wróci? — zapytałem.

— Myślałem o tym — machnął ręką — ale tam w ogóle nie pada.

Janusz GŁOWACKI

Cyrk

PIERWSZY DZIEŃ WOJNY

Zostałem wysłany do x-tego ułanów jako oficer łącznikowy. To było w nocy, koło pierwszej, zanim znalazłem miejsce postoju dowódcy, w środku miasteczka.

Na schodach, w przejściach, stali, siedzieli, leżeli żołnierze. W pokoju, przy stole oświetlonym naftową lampą siedział oficer, któremu zameldowałem się służbiście: „Panie rotmistrzu, podporucznik... oficer łącznikowy” — i ze zgrozą skonstatowałem, że jest to pułkownik, właśnie dowódca x-tego ułanów i byłem zmartwiony swoją pomyłką w tytułowaniu go. Siedziałem tam do świtu, kombinując rozmaite *ad rem*, jakie miałbym do zameldowania, żeby mieć sposobność naprawienia popełnionej gafy i wsadzić przy tej okazji to „Panie Pułkowniku...”

To, a także nerwy pierwszej nocy wojny nie pozwoliły mi spać tej nocy.

Myślę — wojna. To jest wojna! Wojna...

Właściwie to tak siedziałem obwieszony i pozapinany ekwipunkiem, hełm stalowy kiwał mi się na głowie ciężarem przygniatającym, pułkownik siedział osowiały nad tymi mapami, inni oficerowie pocztu spali siedząc, oparci na łokciach lub czołem o stół, wyglądało to trochę jak poczekalnia na dworcu kolejowym w nocy, pułkownik jedynie nie spał — albo tak jakby nie spał.

Na zewnątrz trzask motocykli. Wyszedłem. W nikłym świetle gwiazd słyszę — „...pierwszy pluton do walki pieszej!...”, wzdłuż ścian domów stoją kolumnienki ułanów — bagnety na broń — znikają w nocy, tylko podkute buty o kamienie drogi. Poszedł wypad drugiego szwadronu.

Wracam do wnętrza.

Pułkownik siedzi nad tymi mapami.

Naprzeciw niego stanął mały człowieczek w cywilnym ubraniu i monotonnym głosem klarował i przedstawiał pułkownikowi

jakąś sprawę, której tamten zdawało się uważnie słuchał, ale właściwie nie słuchał tylko patrzył w te mapy i czerwone światło lampy jarzyło się tam i ten człowieczek w cywilnym ubraniu tłumaczył coś, z czego ledwie rozumiałem, że chodzi o to, że tu ma być teren walki, a znów tych pieniędzy nie chce brać i żeby pułkownik — a w kącie przy łącznicy telefonicznej siedział telefonista, taki blondynek o puciułowatej twarzy, ze słuchawkami na uszach i klik! klik! wtykał i wyszarpywał wtyczki łącznicy i klap! klap! spadały klapki i czasem wołał w muszlę mikrofonu: „Demon! Demon! czemu się nie zgłaszacie? Demon! — Tygrys! — i znów — Demon! — i wydawało się że noc ta wlece się w nieskończoność i ile razy ocykałem się, to pułkownik siedział nad tymi mapami i słuchał uważnie jak ten cywil klarował o tych sześciu tysiącach złotych, a telefonista klik! klik! manewrował wtyczkami i wzywał Demona, Tygrysa i Smoka. Co za zbieg okoliczności — myślę, właśnie te elementy i szyfr na dzisiaj, kiedy te demony i smoki wędrują za mną.

Tuż przed wybuchem wojny ktoś powiedział przy obiedzie (staliśmy po wsiach na kwaterach — cała zmobilizowana brygada), że do sąsiedniego miasteczka przyjechał cyrk. Znalazło się kilku amatorów, ktoś poprosił majora o wóz i pojechaliśmy tak całą paczką — bardzo przyjemnie jest czasem tak chodzić paczką, trochę zatracą się w takim *team*'ie własną osobowość i w rewanzu nabywa się cechy *standard* i *l'esprit de corps* i uwalnia to od siebie samego, dodaje pewności siebie i nonszalan-
cji — *uniform* i *team*.

Namiot cyrkowy w zapadającym mroku jarzył się przez płótno światłem jak chiński lampion. Festyny żarówek kolorowych rozwieszały się między wiszącymi ciężko w bezwietrzu flagami, przed cyrkiem kurz wzbijał się deptany tłumem nóg, przez megafon wytaczała się muzyka i zagłuszał ją czasem turkot agregatora wytwarzającego prąd elektryczny i unosił się w powietrzu słodkawy smród menażerii.

Wewnątrz oślepiało światło reflektorów i ogłuszał gwar tłumu.

Do cyrku dorosłym chodzi się bardzo rzadko i od razu zapomniany w dzieciństwie dreszcz budzi się — jak to było w dzieciństwie kiedy cyrk był niesamowitym zdarzeniem w kręgu codziennego świata. Widowisko cyrkowe jest jedyne w swoim rodzaju.

Na zewnątrz zrobił się ruch. Wyszedłem przez korytarz na próg i tu stali żołnierze i ambulans z wymalowanym krzyżem i ktoś z tego ambulansu powiedział mi: „Zostawię tutaj — już nie żyje...” i wyciągnęli nosze, na których leżał ułan — i to był pierwszy zabity tej wojny, jakiego widziałem. Ten sanitariusz mówił: „...jak dostali do spieszania i szli rowem — to jednemu

wypalił karabin, przewieszony lufą do przodu i tu dostał..." i pokazywał na obandażowaną białą kulę, którą była głowa zabitego w miejsce gdzie jest *arbor vitae*.

Dziwnie mi się zrobiło — pierwszy zabity i to własną kulą! Nosze leżały na ziemi, na kocu żółte w świetle latarki ręce, i te ręce zaczęły wykonywać grzebiący, agonalny ruch, szarpać ten koc. Zdenerwowany krzychałem na sanitariusza: „zabierać go, chcecie tu żywego zostawić — zabrać!” i wsunęli te nosze do ambulansu, zawarczał motor i ambulans potoczył się w czarną czeluść nocy.

Wróciłem do pokoju i pułkownik siedział nad mapami, mały człowiek w cywili nieskończenie klarował o tych sześciu tysiącach złotych Państwowego Urzędu Ziemińskiego, telefonista miał oczy czerwone z niewyspania i mówił tam — „Dziwołąg — ty kurwa twoja mać — Dziwołąg! sprawdź uziemienie — Dziwołąg! pokwitujcie odbiór zaraz potem...”

Te Potwory, Demony, Smoki, Tygrysy, Dziwołagi były w cyrku na samym końcu. Naprzód typowa, normalna sztampa cyrkowa. Błazny i kłowni policzkowali się z głośnym klap! po twarzach i wywracali kozły, bat mastra klaskał, kiedy ciężki palfrey z woltyżerką w trykocie (trykot woltyżerki fałdował się tam gdzie wstydlive miejsca aktu i to było, kiedy byłem dzieckiem, bardziej podniecające niż sama nagość by była), rodzina akrobatów po każdej figurze składała ukłon, unisono, z charakterystycznym wzniesieniem i zaakcentowaniem palców wskazującej dłoni, zamknięcie, okrągłość i skończoność arcydzieła pokazu, wszyscy z tym martwym, sztucznym uśmiechem na twarzy, przez który przebija zatroskanie i napięta uwaga ludzi cyrku, do której daleko tremie aktorów scenicznych w jej wyrazie. To samo zatroskanie, ta napięta uwaga, trwoga o efekt jest na twarzach wszystkich — kłownów u wejścia na zasypaną trocinami arenę, posługaczy i atendantów, dyrektorów i poskramiaczy, dobosza kiedy wybija werbel wpółobrócony, kiedy pod kopułą cyrku na trapezie, rozhuśtanym, jak ryby w akwarium krążą i wymijają się cienie linoskoczków.

Słoń wspina się przednimi pniami nog na kolorowy, skośny graniastościan.

I znów woltyżerka na palfreyu, i głucho tętnią kopyta w trocinach lub czasem ostro o drewniany parapet areny i „Hopla!...”

Potwory były na samym końcu repertuaru.

W drzwiach zrobił się ruch, drugi szwadron, który robił wypad dostawia jeńca.

To był pierwszy Niemiec. Wachmistrz, młody chłopak, o

twarży bladej ze zdenerwowania. Stał wyprostowany, tylko mu się mundur pofałdował, kiedy dłonie przyciskał do szwów spodni. Miał kurtkę koloru feldgrau, z oszyciem naramienników i kołnierza i numerem pułkowym, na prawej piersi, ponad kieszenią skrzydła orła i w szponach swastyka w laurce. Kurtka feldgrau, z tandetnej namiastki wełny, wolstra, także ciemniejsze zielonobure spodnie. Materiał zachowuje niezmiennie fałdy w zgięciach łokci, barków i kolan. Sprzączki oksydowane na oliwkowy kolor. Nogi mu drżą w krótkich butach, kieszenie ma nieporządnie porozpinane, przeszukiwali go.

Ułan który go przyprowadził jest o pół głowy wyższy, ma karabin z nasadzonym bagnetem przewieszony przez łokieć „po żandarmsku”. Okap hełmu rzuca cień na jego kamienną ze zmęczenia twarz. Na stole leży hełm szarego koloru, po drugiej stronie ma wymalowany trójkolorowy znak Reichu, po drugiej orła, parabellum (pustą pochwę Niemiec ma na pasie). Z wypatroszonej torby podoficerskiej wysypują się na stół kartonowe pudełka z zapasową amunicją do pistoletu, czekolada w solidnym, jaskrawym opakowaniu, mapa, kompas. Z kieszeni wybrane papiery — list, pułkownik trzyma ten list w palcach, patrzy na Niemca. Termos. Jeszcze maska przeciwgazowa Niemca.

Niemiec stoi wyprostowany. My wszyscy wokół, pobudzeni, ciekawi patrzemy na niego.

Niemiec jest przystojny ale niesympatyczną biało-różowoblondynową przystojnością wagnerowskich bohaterów z Nibelungów — mruga w świetle lampy białymi rzęsami i patrzy tylko w pułkownika. Pułkownik bardzo poprawną, austriacką niemczyzną pyta się skąd jest.

— *Fünfzehn Kradbatallion von Baden...* — przetyka ślinę i mówi gardłowym głosem Niemiec.

To jest jeden z potworów cyrkowych! Wychynął właśnie na arenę wysypaną trocinami.

Jest cisza tylko klik! Łącznicy — telefonista mówi do mikrofonu — „Smok — tu Demon! — Smok!” i znów klik wtyczek.

Tu Demon...

Cyrk był trzeciorzędnym wędrownym cyrkiem, z banalnymi wozami pomalowanymi w wypełzłe, jaskrawe kolory, z wielkimi napisami: CYRK, firaneczkami w oknach, z kilkoma nędznymi zwierzętami w śmierdzących klatkach, nawet skóra starego słonia wydawała się zniszczona i wytarta jak skóra starej walizy, umęczone i posmarowane twarze kłownów i ich najtrywialniejsze jarmarczne numery, wystające przez skórę obojczyki woltżyerki i przybrukany trykot akrobatów.

Na zakończenie jednak był numer, finał, doskonale zrobiony i pokazany.

Jeszcze był pokaz akrobatycznej jazdy na rowerach, banalne i prymitywne sztuczki, muzyka zagrała tusz i nagle z czeluści wyjścia na arenę zaczęły wyjeżdżać na rowerach, welo-cypedach, bocyklach, trycyklach, na karykaturach kół, na kołach elipsowatych, na fantastycznych kombinacjach kół, na obręczach opisujących jakieś ewolenty i evolventy i epicykle, potwory, maskary, kłowny, pierrot, motyle, stwory, niedźwiedzie, małpy, ptaki, owady, żyrafy, co tylko teratologia ma w zapasie, jakieś fantazje jak z obrazów Breugla lub Kuszenia Świętego Antoniego, harpie, ludzie-żołądki i ludzie-lichtarze, węże, lamparty i zupełne fantazje do niczego niepodobne i ten tłum strzyg i dziwołagów krążył obłądną karuzelą, *merry-go-round*, wiram, malstroemem absurdu pod kaskadami światła, jakby świat z Alicji w Krainie Czarów wypełnił nagle wnętrze namiotu prowincjonalnego cyrku.

Potem wróciliśmy na kwatery, a rano obudził mnie adiutant dywizjonu i wołał do mnie: Przyszło „Wykonać 390”! Pomóż mi na miłość boską, telefonuj po bateriach!

Kiedy wyrzałem na dwór, późny księżyc wschodził i w jego bladym świetle widziałem jak przyszedł wyczekiwany pułk piechoty Młyńca i po marszu każdy padał tam gdzie stał i rynek wyglądał jak pobojowisko, leżące ciała, hełmy, karabiny, spali po śmiertelnym marszu.

Co dzień wstawało to samo słońce w różowych obłokach poranka. Z szarego mroku gałęzi maskujących wylaniały się działa ciężko wryte lemieszami w ziemię. Wilgoć lśniła na złotych, usmolonych łuskach wystrzelonych pocisków. Kanonierzy obsługi zawinięci w koce mokre od rosy budzili się pod nawoływaniem działonowych.

W działonie grubogłosego kaprała Ogórka, w czwartym działonie rozmowy i konszachty trwały zresztą całą noc.

Gdzieś z tyłu zajechała kuchnia z kawą i od razu wszystkie głowy skierowały się w tamtą stronę. Chudy, wysoki kucharz z obwiązaną ręką rozlewał kawę w obłokach pary i dzwoniąc warzącą o menażki zezował w stronę błękitnego nieba Krzczowa.

Buchnął w tej stronie wystrzał armatni i zaszumił pocisk. Potężne baach! między świerkami i za chwilę nowy wystrzał i nowa detonacja prawie o jednym czasie. Patrzą za obsługą, która przylepiła się do wyrzuconego piachu z dołów. Obok ciemnieje masa jaszczą.

Artyleria nieprzyjacielska strzela nieregularnie. Górzysty teren wciąga jedne pociski w głębokie parowy, inne wykwitają na stokach i rozwlekają dymy w wilgoci poranka.

Potem cisza. Dowódca drugiego plutonu zdjął koszulę, przechylił tors nad małym szkiełkiem lusterka i porozrzucił koło siebie, głoąc się, niebieskie papierki z opakowania Gillette.

Znow nie spałem tej nocy i nie wiem czy się kiedy wyśpię.

Jedną piaszczystą drogą ciągnęły trzy kolumny wozów. Bokami drogi ludzie. Zagnane trwogą gromady kobiet, dzieci, niosły swój dobytek w walizach, tobołkach, na wozach, taczkach, na zgiętych plecach. Szli z nogami owiniętymi szmatami, boso, kobiety w pantoflach z wykreconymi obcasami. Kolumna utykała co chwilę. Widać czołg, Vickers, na środku drogi.

Na jego wieżach, zapyleni po włosy siedzą i wiszą ci których litościwa załoga nie spędziła. Usmoleni żołnierze z czołgów, z twarzami i rękami czarnymi od oliwy, grzebią się przy urwanej gasienicy.

Wleczę się Żydówka i dźwiga na plecach ciało, otyłe i bezwładne kilkunastoletniego chłopca, oczywistego i tępego matolka-idioty. Żydówka ugina się pod tym ciężarem, jak gdyby chciała do dla świata tego uratować.

Obok biwakują przy dymiących gałęziach więźniowie z ciężkiego więzienia w Wiśniczu. Zostali wypuszczeni kiedy niemieckie pociski zapaliły dach nad ich głowami i zrzuciwszy więzienne ubrania wędrują tak w tych gaciach przez pół Polski. Obok w rowie, przechylony karkołomnie pali się samochód ciężarowy.

Już nie drogą, ale czystym polem wleczę się cyrk wędrowny. Ten cyrk! Jaskrawe litery reklam na wozach, porwane firaneczki w oknach bud cyrkowych, wiszące w nieładzie płótna namiotów, pomarszczone jak skóra na słońcu prowadzonym obok.

Więc już stanowimy jedną całość! My i potwory, i dziwołagi! Łączymy się w jedną feerię teratologiczną Krainy Czarów...

Nalot! Zza postrzępionej piły sosnowego lasu wypływają w jednostajnym rzeźnieniu silników podłużne „olowki” Dornierów. Na drodze powstaje panika. Ci którzy wlekli się dotychczas zmęczonym krokiem albo przysiedli na szkarach drogi znaleźli nagle utracone siły. Ludzkie postacie rozsypują się po polu, biegną we wszystkich kierunkach.

Pierwszy klucz bombowców jest już nad drogą. Za nim następna trójka i znowu i znowu! Widać odrywające się od kadłubów czarne punkty bomb. Chwila oczekiwania, zapierającego dech w piersiach i nagle przetacza się grzmot salwy pierwszych bomb. Po obu stronach drogi i na niej rosną wulkany i gejzery wyrzuconej ziemi i pyłu. Kwik straszny koni, tarzających się w wyrzuconych kiszkach, dusząca woń trotylu, trzask wozów na jeżdżących na siebie i nad wszystkim górujące dudniące rżenie motorów...

Wszyscy byli już śmiertelnie pomęczeni wielu niedospianymi nocami.

Zostawiłem baterię na skraju spalonej wsi i szedłem w poszukiwaniu miejsca na biwak. Wieś była spalona do szczytu. Starostowie w wydziałach powiatowych propagowali i premiowali dachy z blachy cynkowej i teraz te dachy, powykęcane i cynobrowe i zakopcone leżały dokładnie na ziemi. W niebo sterczały jedynie kominy i czarne, opalone od strony pożaru drzewa i wyglądały jak formistyczne dekoracje teatralne.

Szedłem na przelaj przez jakieś ugory, czerwony czerep słońca zapadał się za linię horyzontu. Nagle poczułem się szalenie samotny, bateria na szosie znikła mi z pola widzenia i nie słyszałem głosów ludzi. Tylko swąd spalenizny zdawał się jeszcze ciągle unosić w powietrzu.

Na tym polu natknąłem się na nich. Para uciekinierów, chłopów. On był rostry, o zapadniętych z nieszczęścia policzkach, ona przystojna, o surowej, niewesołej twarzy. Oboje byli zgięci pod jakimiś tam tobołami z dobytkiem, zabranym naprędce i niesionym tak donikąd.

Musiałem ostro na nich krzyknąć, tak niemile niespodziewane wydało im się spotkanie ze mną. Musiałem sobie w zmęczonych myślach uprzytomnić mój wygląd, z brudem i zarostem wielu dni na twarzy, w nasuniętym niemieckim hełmie szturmowym, jakie nosiła nasza brygada i z kolekcją ręcznych granatów uwieszonych na pasie.

Stali już i czekali na moje zbliżenie się. Odpowiadają na pytania. Skąd idą, dokąd, co to za przysiółek tam w kępie drzew? Odpowiadają razem oboje, w zachowaniu się mężczyzny jest cała nieprzyjaźń połączona z pewną dozą jakby uniżoności, wiadomo jest wojna, nie można sobie pozwolić na cień niezadowolonia wobec człowieka uzbrojonego, od którego kaprysu zależy czy będą mogli spokojnie pójść w swoją nędzną, beznadziejną drogę. Kobieta za to jest bezapelacyjnie wroga, jakby cała jej nienawiść za to co się dzieje była skierowana we mnie.

Chciałbym jej powiedzieć że wszyscy jesteśmy już potworami. Że przekroczyliśmy taflę magicznego zwierciadła Krainy Czarów. Że to co się z nami dzieć teraz będzie to będzie karykaturalne odbicie tego świata który był, że tylko będziemy malpować stare ruchy, ale serca nam przewędrowały z lewej na prawą stronę, że to co było miłością już nie wróci, że będzie nienawiścią, że jesteśmy już w odwróconym świecie potworów...

Zygmunt HAUPT

ULB zaczyna się realizować

Zbliżenie polsko-ukraińskie

Nareszcie doszło do spotkania przedstawicieli demokracji polskiej i ukraińskiej. Konferencja parlamentarzystów obydwu narodów w Jablonnej ma znaczenie historyczne. Dotychczas dzieło nawiązania niezależnego dialogu polsko-ukraińskiego było przez długie dziesięciolecia niemalże wyłącznie sprawą obydwu emigracji. Polityka rozpoczęta przez Marszałka Piłsudskiego i atamana Petlurę i niecznie porzucona przez ich potomków znalazła po spustoszeniach drugiej wojny światowej i okresu powojennego zwolenników konieczności podjęcia nowej próby zbliżenia na wychodźstwie, głównie dzięki wysiłkom niezapomnianej trójki Łobodowskiego, Mieroszewskiego, Stempowskiego pod egidą redaktora *Kultury* Jerzego Giedroycia. Do tego grona doszłowało kilku publicystów i pisarzy ukraińskich, oczywiście też na emigracji. Oficjalna przyjaźń krzewiona przez komunistów w naszych krajach była tak nieuczciwa i zakłamana, że wciąż jeszcze straszy swoim nierzeczywistym widmem.

Z czasem ta zrazu paryska orka na ugorze znalazła wielu naśladowców w Ameryce, Kanadzie, Anglii i Niemczech. Stała się tematem specjalnych konferencji naukowych, ankiet i wywiadów. Stąd przeniosła się w okresie powstawania opozycji i prasy podziemnej w Polsce na wschód, a z czasem przekroczyła wbrew sowieckim ukazom i restrykcjom kordony na Bugu i Sanie, znajdując zwolenników we Lwowie i Kijowie. Ale dopóki istniała asymetria między Polską i Ukrainą w sensie ogromnej rozpiętości w nasileniu i zasięgu ruchów opozycyjnych, podjęcie wspólnych kroków w kierunku ustalenia nowych dróg ku porozumieniu natrafiało na trudności. Dopiero teraz, po całkowitym obaleniu rządów komunistycznych w Polsce i częściowym w zachodnich regionach Ukrainy, nadeszła pierwsza szansa podjęcia autentycznych wysiłków organizacyjnych.

Narada parlamentarzystów obojga narodów odbyła się w

siedemdziesiątą rocznicę sojuszu polsko-ukraińskiego, podpisanego w Warszawie w 1920 roku. Debaty były niezwykle intensywne, otwarte i szczerze. Ważne też, że polscy i ukraińscy politycy, z których wielu przeszło przez łagry i więzienia Gulagu i Bezpieki, poznali się wzajemnie, odczuli w bezpośrednich rozmowach stopień zaangażowania i różniary widoków na przyszłą współpracę. Wspólny komunikat w lakonicznej ale chyba wyraźnej formie nie jest w stanie oddać wszystkich elementów i odcieni, zawartych w wielu wypowiedziach uczestników spotkania. Byłoby dobrze, gdyby organizatorzy konferencji w możliwie jak najszerszy sposób pozbiali te głosy i przedstawili je naszym społeczeństwom w postaci drukowanej.

Spotkanie to było również na czasie dlatego, iż na fali upojenia sukcesami młodej demokracji wyrasta nowa groźba oglądania własnego pępka narodowego, przeglądania prawdziwych lub wydumanych cnót narodowych we własnym wyłącznym lusterku i niedostrzegania bliższych i dalszych sąsiadów. Uczestnicy konferencji warszawskiej nie ulegli na szczęście podobnym tendencjom narodowego izolacjonizmu, przeciwnie, reprezentowali otwarte głowy i serca, gotowość i umiejętność wysłuchiwania odmiennych poglądów i argumentów. Słowem przy prostokątnym a nie okrągłym stole w Jabłonnej panował duch wzajemnej tolerancji, jakżeż nam potrzebny w tych historycznych czasach wielkich przemian ale i groźnych niebezpieczeństw.

Bohdan OSADCZUK

Jabłonna, 6 maja 1990

Poniżej drukujemy apel redaktora *Kultury* Jerzego Giedroycia do uczestników konferencji, odczytany po polsku i po ukraińsku na przyjęciu z udziałem premiera Mazowieckiego i wielu ministrów z jego gabinetu, wieczorem 4 maja w pałacu w Jabłonnej oraz końcowy komunikat ogłoszony po zakończeniu spotkania.

APEL DO UCZESTNIKÓW KONFERENCJI POLSKO-UKRAIŃSKIEJ

27 kwietnia 1990 r.

Dzisiejszy Zjazd prawdziwych reprezentantów społeczeństwa ukraińskiego i polskiego jest milowym krokiem w realizacji wizji Juliusza Mieroszewskiego o ULB, ale to jest dopiero początek trudnej drogi do uzyskania przez nasze narody pełnej suwerenności i niepodległości.

Przed wszystkim trzeba zacząć od zasadniczych stwierdzeń:

- 1) obecne nasze granice są ustalone definitywnie;
- 2) niezależna Ukraina leży w interesie Polski i dlatego trzeba zapomnieć, względnie odłożyć na dalszą przyszłość — do chwili, kiedy nasze narody i państwa okrzepną — wszystkie koncepcje federacyjne;

- 3) Ukraina należy do kręgu kultury zachodniej, więc już dziś należy dążyć, aby w Narodach Zjednoczonych przedstawicielstwo Ukrainy reprezentowało interesy ukraińskie i nie było jedynie przybudówką Związku Sowieckiego; komunistyczna partia ukraińska — wzorem krajów bałtyckich — powinna wystąpić z KPZS, zaś Ukraina — tak zresztą jak i Polska — powinny wystąpić z RWPG; należy się domagać, by audycje ukraińskie zostały wydzielone z Radia Liberty i włączone do Radia Wolna Europa.

Polska jest w tej szczęśliwej sytuacji, że w pewnym sensie może być w wielu dziedzinach Piemontem ukraińskim, co będzie tym łatwiejsze, że w Polsce jest dość duża mniejszość ukraińska. Powinno się zatem wprowadzić w Polskim Radiu i Telewizji religijne programy prawosławne i greckokatolickie; należy umocnić i rozbudować katedry ukrainistyki na uniwersytetach polskich; rozbudować szkolnictwo ukraińskie i współpracę kulturalną. Jest niedopuszczalne, że po śmierci Józefa Łobodowskiego nie ma dziś właściwie dobrych tłumaczy z ukraińskiego i na ukraiński. Powinno powstać w Polsce wydawnictwo ukraińskie, dotowane przez Ministerstwo Kultury, które wydawałoby książki nie mogące się ukazać na Ukrainie ze względów cenzuralnych.

Trzeba również już dziś myśleć długofalowo, by w przyszłości nie zostać zaskoczonym i wykształcić kadry specjalistów, którzy by opracowali, jak mają wyglądać np. współpraca gospodarcza i kulturalna; autonomia kulturalna i religijna Pałaków na Ukrainie; ochrona zabytków, które przecież wchodzą w skład naszej wspólnej historii; studia i publikacje w zakresie historii najnowszej stosunków polsko-ukraińskich. Jest to historia krwawa, ale przede wszystkim zakłamaną, która jest tylko pożywką dla nastrojów szowinistycznych obu stron. Jedyną drogą do znormalizowania naszych stosunków jest powiedzenie sobie całej prawdy — do końca.

Problemów jest więc bez liku i wymieniałem te niewątpliwie częściowo. Robię to jednak celowo, gdyż jest rzeczą ważną, by Zjazd Panów nie okazał się jedynie manifestacją i rejestrem dobrych chęci, ale by Panowie postarali się położyć podwaliny dalszej konkretnej współpracy.

I jeszcze jedna sprawa: niepodległość Litwy. Jesteśmy świadkami jak ten naród został przez Zachód cynicznie sprzedany

Gorbaczowowi. Jest to nowe Monachium i kontynuacja polityki Roosevelta. Litwa szuka u nas pomocy — stąd apele do Lwowa i do Polski. Jestem przekonany, że zrobicie wszystko, by im pomóc i by do tej pomocy wciągnąć wszystkie postępowe koła rosyjskie, które na szczęście narastają. Walczymy bowiem z komunizmem i imperializmem sowieckim, a nie z narodem rosyjskim.

Jerzy GIEDROYC

KOMUNIKAT

W dniach 4-5 maja 1990 roku w Jabłonnej koło Warszawy odbyło się spotkanie parlamentarzystów Polski i Ukrainy, poświęcone wzajemnym stosunkom polsko-ukraińskim.

W spotkaniu tym z jednej i drugiej strony wypowiedziano słowa prawdy o wzajemnych błędach i krzywdach na przestrzeni całej historii, a szczególnie w XX wieku. Po obu stronach wyrażono żal z powodu krzywd sobie nawzajem wyrządzonych. Podkreślono wiele wspólnych powiązań, które zbliżają oba narody.

W dyskusji zwrócono uwagę na niezbędną potrzebę powołania wspólnych zespołów badawczych, które po udostępnieniu archiwów podejmą próbę obiektywnej oceny naszej historii. Podkreślono potrzebę przełamania wszystkich negatywnych stereotypów, przeglądu podręczników szkolnych w części dotyczącej stosunków polsko-ukraińskich i usunięcia wszystkich przeszkód w sferze politycznej i gospodarczej, które uniemożliwiają porozumienie między Polakami i Ukraińcami.

W spotkaniu po stronie ukraińskiej udział wzięli: Wiaczesław Czornowil, Ihor Derkacz, Iwan Dracz, Bohdan Horyń, Mychajło Horyń, Serhij Łyłyk, Dmytro Pawlyczko, Myrosław Popowycz, Mychajło Sz wajka, Orest Włoch.

Po stronie polskiej: Bogumiła Berdychowska, Zbigniew Bujak, Ryszard Ganowicz, Bronisław Geremek, Aleksander Hall, Jerzy Jachnowicz, Zbigniew Janas, Jerzy Jastrzębowski, Andrzej Krawczyk, Zofia Kuratowska, Jacek Kuroń, Barbara Labuda, Jan Lityński, Aleksander Małachowski, Adam Michnik, Włodzimierz Mokry, Jan Musiał, Andrzej Okrzesik, Janusz Onyszkiewicz, Jan Rokita, Franciszek Sak, Bohdan Skaradziński, Andrzej Stelmachowski, Anna Szymańska, Andrzej Wielowieyski, Henryk Wujec, Jerzy Wuttke.

Zmiany wśród Ukraińców w Polsce

Proces destalinizacji życia społecznego i politycznego w Polsce nie ominął mniejszości narodowych. W prasie, po latach milczenia, ukazało się wiele publikacji na ich temat, w obecnym Sejmie utworzono Komisję Mniejszości Narodowych i Grup Etnicznych, zlikwidowano podporządkowanie towarzystw mniejszościowych MSW, uznano oficjalnie istnienie mniejszości niemieckiej. Same mniejszości również uaktywniły się. Widoczne jest to w szczególności wśród najliczniejszych, Białorusinów i Ukraińców. Pierwsi utworzyli jedyną jak dotychczas narodowościową partię polityczną — Białoruskie Zjednoczenie Demokratyczne, drudzy utworzyli i tworzą nadal szereg nowych organizacji społecznych i kulturalnych, a wśród nich: Ukraińskie Bractwo Chrześcijańskie św. Włodzimierza, Związek Ukraińskiej Młodzieży Niezależnej, Towarzystwo *Ukraińskiej Narodnyj Dim* w Przemyślu, Fundację św. Włodzimierza, Komitet Łemkowski, Obywatelski Krąg Łemków oraz powstające dopiero Ukraińskie Towarzystwo Lekarskie, Ukraińskie Bractwo Prawosławne i Zjednoczenie Łemków. Na Zjeździe Nadzwyczajnym przeprowadzonym 24-25 lutego 1990 roku przekształcono monopolistyczne od lat 80-tych Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne na Związek Ukraińców w Polsce. W ten sposób zamknięto 34-letnią historię tej największej organizacji mniejszości ukraińskiej. Powołana ona została do życia podczas „odwilży” 1956 roku i podporządkowana MSW. Władze pragnęły tym samym ściśle reglamentować formy działalności kulturalnej, społecznej i oświatowej Ukraińców, kanalizować ich aktywność polityczną. Realizowano te cele z całą stanowczością, jednakże dzięki wysiłkowi i oddanej pracy szeregu działaczy UTSK wykonało ogromną pracę dla zachowania tożsamości narodowej, nauki języka ojczystego, rozwoju działalności kulturalnej, chociaż ograniczonej w praktyce do ruchu amatorskich zespołów artystycznych. Ten pozytywny dorobek UTSK stanowił podstawę decyzji, podjętej przez uczestników „okrągłego stołu” społeczności ukraińskiej, o przekształceniu Towarzystwa w nową, autentyczną organizację, a nie jego rozwiązaniu czy też tworzeniu innej, konkurencyjnej struktury. „Okrągły stół” przeprowadzony 16-17 grudnia 1989 roku oraz 20-21 stycznia 1990 roku zebrał przedstawicieli wszystkich środowisk ukraińskich, w tym również Kościoła greckokatolickiego i prawosławnego. Wypracowano na nim formułę „jedności w różnorodności”, która stała się podstawową platformą dyskusji na Zjeździe Nadzwyczajnym. Wzięli w nim udział nie tylko delegaci UTSK, lecz również przedstawiciele wszystkich organizacji i środowisk ukraińskich, w tym biskup greckokatolicki, Jan Marty-

niak, i prawosławny dziekan warszawski, ks. Anatol Szydłowski. Na Zjeździe licznie reprezentowani byli przedstawiciele władz, m.in. minister Jacek Kuroń, przewodniczący Komisji Mniejszości Narodowych poseł Jerzy Wuttke, poseł Włodzimierz Mokry, wiceministrowie kultury i edukacji narodowej, a także reprezentanci organizacji z Ukrainy, w tym Ruchu na rzecz przebudowy. Przybyli także delegaci organizacji z diaspory ukraińskiej w Czechosłowacji, Rumunii, Francji, RFN, USA.

W dyskusji zjazdowej omówiono szereg najistotniejszych problemów dla Ukraińców w Polsce, z których na pierwszym miejscu postawiono sprawę osądzenia przez Sejm deportacyjnej akcji „Wisła” z 1947 roku oraz likwidacji jej następstw prawnych, materialnych i moralnych. Podkreślono konieczność naprawienia złego stanu szkolnictwa ukraińskiego, ruchu amatorskich zespołów artystycznych, spełnienia postulatu utworzenia muzeum ukraińskiego, teatru, instytutu naukowego, zaprzestania antyukraińskiej kampanii propagandowej, dostępu do radia i telewizji. Zaakcentowano postulat zagwarantowania ukraińskiego przedstawicielstwa w Sejmie oraz w organach samorządu terytorialnego. Sprawy te ujęto w dwa posłania do Sejmu, a w deklaracji programowej, programie działania i postaniach do Ukrainy i diaspory ukraińskiej podkreślono jedność z całym narodem ukraińskim i jego dążeniem do odbudowy niepodległego życia.

Powstanie Związku Ukraińców w Polsce stanowi niewątpliwie przełom w życiu tej mniejszości. Formuła „jedność w różnorodności” jest bezspornie przejawem rozwagi politycznej, biorąc pod uwagę rozproszenie Ukraińców i fakt, że w istniejących warunkach niezbędny jest silny ośrodek centralny, koordynujący działalność kulturalną, oświatową i społeczną oraz występujący do władz państwowych w imieniu całej społeczności. We wszystkich deklaracjach stwierdzono, że chociaż ZUP jest organizacją najliczniejszą, to jednakże inne organizacje powinny zachować swe własne oblicze i znać pełne poparcie dla rozwoju swojej działalności.

I jeszcze jedna istotna zmiana. Kierowanie sprawami Ukraińców w Polsce wzięła w swoje ręce inteligencja. Dotychczas dość skutecznie eliminowano ją od wpływu na legalne życie organizacyjne. Przewodniczącym Związku został wybrany Jerzy Rejt z Warszawy, z zawodu weterynarz. Na jego zastępców wybrano profesora Feliksa Kozaka z Uniwersytetu Warszawskiego, przewodniczącego powstałego w lutym 1990 roku Polskiego Towarzystwa Ukrainistycznego, oraz Mirosława Werbowego, długoletniego redaktora naczelnego tygodnika *Nasze Słowo*. W skład 11-osobowego Zarządu Głównego weszli m.in. profesor Michał Łesiów z Lublina oraz docent Stefan Zabrowarny ze Szczecina, natomiast do 36-osobowej Rady Głównej wybrano także doktora Włodzimierza Mokrego. Pozwała to, jak sądzę, patrzeć z optymizmem na przyszłość mniejszości ukraińskiej i jej rolę w całokształcie stosunków polsko-ukraińskich. Jak powiedział na Zjeździe minister Jacek Kuroń:

„Przyjaźń bądź nienawiść pomiędzy Polakami i Ukraińcami wyznaczy przyszłość naszej części Europy”. W swoich deklaracjach ZUP dał wyraz temu, że pragnie działać na rzecz przyjaźni.

Miroslaw CZECH

Kronika litewska, białoruska i ukraińska

12 kwietnia Litwa, Łotwa i Estonia podpisały umowę o powołaniu Bałtyckiego Wspólnego Rynku.

21-22 kwietnia odbył się II zjazd Sajudisu. Dyskutowano, czy ruch ma się przekształcić w partię polityczną, czy też zachować dotychczasową formę. Uchwalono, że osoby piastujące stanowiska państwowe nie mogą pełnić kierowniczych funkcji w ruchu. Vytautas Landsbergis ustąpił ze stanowiska przewodniczącego Sajudisu. W czerwcu ma zebrać się Sejm Sajudisu i dokonać nowych wyborów. Na razie Sajudis zachowuje formułę ruchu.

18 kwietnia rozpoczęła się blokada gospodarcza Litwy; zaczęto od wstrzymania dostaw ropy naftowej i obniżenia dostaw gazu do 15%, a następnie wstrzymano wszystkie dostawy. Litwa potrzebuje 5 mln dolarów dziennie na zakup paliwa. Łotwa i Estonia odmówiły udziału w blokadzie Litwy; współpracę obiecały również nowe Sowiety Leningradu, Moskwy, Lwowa. Surowców Litwie wystarczy maksimum do końca maja. Już pojawiło się bezrobocie; Moskwa liczy, że doprowadzi ono do starć i wówczas USA otrzyma upragniony pretekst umożliwiający uznanie interwencji Armii Sowieckiej za niezbędną „w interesie ludzkości i humanizmu”, podobnie jak to już miało miejsce w Azerbejdżanie.

Od 2 maja wprowadzono ograniczenia spożycia miesięcznego niektórych produktów żywnościowych: 2 kg cukru, 1 kg makaronu, 2 młki, 250 gram margaryny na osobę. Wstrzymano też dostawy żywności dla baz sowieckich na Litwie.

20 kwietnia Armia Sowiecka dokonała desantu na drukarnię KC KLM, pobito straż Sajudisu, która chroniła budynek i usiłowała stawić opór; posła Z. Vaiszville musiano odwieźć do szpitala.

Prezydent Bush po miesięcznym zastanawianiu się i po spotkaniu z Fr. Mitterrandem oświadczył, że „nic nie uczyni w sprawie Litwy i wyjaśnił: „decyzje, które podjąłem, cieszą się silnym poparciem Amerykanów, a więc tych ludzi, dla których pracuję. Ja działam w interesie tego narodu”. W kilka dni później (1.05.90) sekretarz Departamentu Stanu J. Baker wyjaśnił, że chodzi o zniszczenie 40 tys. sowieckich czołgów w ramach traktatu o redukcji broni

konwencjonalnych i zredukowanie o 50% arsenału broni strategicznych. Koszt operacji ma więc zapłacić Litwa.

Prezydent Landsbergis nazwał postępowanie państw zachodnich drugim Monachium. Potwierdzając słuszność tych słów, F. Mitterrand i H. Kohl wystosowali doń 26 kwietnia list, apelując, żeby Litwa „celem zapewnienia rozmów wstrzymała czasowo działanie decyzji, przyjętych przez parlament” i podjęła negocjacje z Moskwą, jak bowiem wiadomo, na przeszkodzie do rozmów z ustępliwym i wyrozumiałym Gorbaczowem stoi uparty Litwin, a mógłby przecież „nie komplikować” demokratycznie wybranemu prezydentowi ZSSR demokratyzacji Europy Wschodniej. Prasa zachodnia interpretuje postępowanie Kohla jako próbę handlu wymiennego — sprzedaż Litwy za NRD — natomiast trudno dociec, jakie motywy kierowały prez. Mitterrandem. Możliwe, że po prostu uważał, że nie może pojawić się pod koniec maja w Moskwie bez tradycyjnego подарunku.

Na propozycję prezydenta Landsbergisa, by podjął się mediacji między Litwą a Moskwą, Mitterrand odmówił. Nic dziwnego, przecież ZSSR nie reprezentuje już dziś, jego zdaniem, „zdobyczego imperializmu”. Prasa zachodnia i moskiewska próbują zdyskredytować Prezydenta Litwy, wskazując na innych przywódców litewskich, dziwnym trafem komunistów, którzy są „rozsądniejsi” i „mniej dziewiętnastowieczni”, tj. bardziej skorzy do słuchania poleceń Moskwy. Landsbergis powiedział, iż Litwa gotowa jest zawiesić niektóre ustawy przyjęte po ogłoszeniu deklaracji i czasowo nie uchylać nowych, ale zawieszenie bądź odwołanie deklaracji potwierdzającej niepodległość nie wchodzi w grę.

26 kwietnia w Moskwie dokonał samospalenia 52-letni Stanislovas Žemajtis, aby „zaprotestować przeciwko okupowaniu swego kraju”. 30 kwietnia w Wilnie żegnało zmarłego 100 tys. osób, w tym Prezydent Litwy. „Chcemy wierzyć, że ta ofiara roztopi grubą warstwę tłuszczu na sumieniach panów Busha, Mitterranda i Kohla i innych polityków zachodnich” powiedział nad trumną A. Terleckas. Žemajtisa pochowano 2 kwietnia w Kownie.

Do akcji włączył się najprawdopodobniej Watykan, gdyż kardynał Śladkeviczius stwierdził, że Deklaracja 11 marca była wydana zbyt pośpiesznie i wzywając do kompromisu z Moskwą, skrytykował „nadmierną pewność” w realizacji programu niepodległości. Litwa ma prawo do samodzielnego państwa — mówił kardynał — ale nie powinno być ono przywracane zbyt gwałtownie, możemy jeszcze poczekać, gdy zajdzie potrzeba, okażemy cierpliwość i dłużej. Kard. Śladkeviczius wyraził przekonanie, że Gorbaczow dąży do zachowania pokoju oraz przyznał, że Litwa oczekuje, choć jeszcze nie teraz, wizyty Papieża.

Po bezowocnej wizycie w Norwegii premier Litwy Kazimiera Prunskiene, mimo zniechęcającej akcji Kanady i Departamentu Stanu USA, udała się za ocean. 30 kwietnia przybyła do Ottawy, następnie do USA. 3 maja G. Bush zdecydował się spotkać z K. Prun-

skie. K. Prunskie stwierdziła, że Litwa nie zawiesi deklaracji niepodległości, ale może zawiesić niektóre ustawy, pod warunkiem otrzymania od Zachodu gwarancji swej niepodległości i integralności terytorialnej, chociażby w postaci uznania Litwy przez USA i inne państwa zachodnie.

W Krakowie powstał z inicjatywy „Solidarności” UJ Komitet Pomocy Litwie. Górnicy wyrazili gotowość dostarczenia Litwie węgla. Na liczne apele o uznanie Litwy premier T. Mazowiecki odpowiedział, że się zastanowi. Proces zastanawiania się trwa już kilka tygodni. Prezydent Landsbergis w wywiadzie dla RWE podkreślił, że Litwa cieszy się z poparcia Polaków i „Solidarności”, i dyplomatycznie zaznaczył, iż rządowi T. Mazowieckiego „widocznie coś przeszkadza” w uznaniu Litwy.

Białorusini w Polsce utworzyli Białoruskie Zjednoczenie Demokratyczne (Białystok, 10.02.1990). Przewodniczącym Rady Naczelnej BZD wybrano pisarza Sokrata Janowicza. Nowa partia zapowiada, że weźmie udział w majowych wyborach.

W rejonie zagrożonym skutkami katastrofy czarnobylskiej mieszka 3 mln Białorusinów i Ukraińców; skażona jest przede wszystkim *oblast'* homelska i pół *oblasti* zytomierskiej. W rocznicę katastrofy czarnobylskiej doszło w Homlu do powszechnego strajku protestacyjnego. 9 kwietnia rząd Ukrainy Sowieckiej zaapelował o pomoc międzynarodową przy usuwaniu skutków katastrofy.

22 kwietnia ukraińscy ekolodzy zorganizowali masowy wiec protestacyjny w Kijowie; żądano m.in. postawienia pod sąd odpowiedzialnych za Czarnobyl, odchodzącego przewodniczącego Sowietu Ukrainy i byłego ministra zdrowia. Po mityngu ruszył przez centrum Kijowa 70-tys. pochód, przed którym milicja musiała chronić pomnik Lenina.

Prolitewskie manifestacje odbyły się 31 marca i 1 kwietnia w Kijowie, Lwowie, Czerniowcach, Krzywym Rogu, Woroszyłowgradzie (Ługańsku), Winnicy, Chmielniku (Proskurowie), Doniecku, Równem, Łucku, Tarnopolu, Stanisławowie, Charkowie; w Połtawie zorganizowano akcję petycyjną.

Plenum KPU zaproponowało rozszerzenie uprawnień Republiki i ukraińskiej kompartii przy równoczesnym pozostaniu w składzie ZSSR i KPZS.

Blok Demokratyczny wprowadził do parlamentu Republiki 107 posłów spośród 129 kandydatów, których pozwolono mu zarejestrować (na ogólną liczbę 450 deputowanych). Jednocześnie odbywały się wybory do sowietów lokalnych. W wielu sowietach miejskich i okręgowych (*oblasti*) Ukrainy Zachodniej Blok Demokratyczny uzyskał bezwzględną większość. Sowiet Tarnopola podjął uchwałę o niedopuszczalności wtrącania się kompartii w jego działalność.

Przewodniczącym sowietu *oblasti* lwowskiej wybrano W. Czar-

nowoła, a jego zastępcą Iwana Hela, działacza grekokatolickiego. Sowiet Tarnopola wybrał burmistrzem W. Nehodę. Na ratuszu lwowskim wywieszono ukraińską flagę narodową, podobnie postąpiono w Tarnopolu, Sokalu, Stryju, Kołomyi, Czerwonohradzie.

Rząd republikański natychmiast podporządkował sobie wszystkie drukarnie i ośrodki radiowo-telewizyjne, wyjmując je z gestii rad okręgowych.

Na krajowej konferencji ukraińskich grup socjaldemokratycznych (23-25.03) w Kijowie postanowiono utworzyć Socjaldemokratyczną Partię Ukrainy.

W dniu 29-30 kwietnia odbył się w Kijowie zjazd Ukraińskiego Związku Helsińskiego. Podjęto decyzję o rozwiązaniu UZH i utworzeniu Ukraińskiej Partii Republikańskiej, Przewodniczącym UPR wybrano Łewka Łukianenkę, jego zastępcami zostali Hr. Hrebenuik i Stepan Chmara. Powołano 75-osobową Radę UPR, która z kolei powołała 7-osobowy sekretariat partii.

Ukraińska Liga Ludowo-Demokratyczna, która dotychczas wchodziła do UZH na prawach członka kolektywnego, oświadczyła, że wyda polecenie swoim zwolennikom, by wstąpili do nowej partii, o ile ta w programie uwzględni następujące punkty: utworzenie państwa ukraińskiego — spadkobiercy Ukraińskiej Republiki Ludowej — UNR i uznanie rządu UNR na wychodźstwie za jego przedstawiciela, wprowadzenie systemu wielopartyjnego, demokracji parlamentarnej, gospodarki rynkowej, pociągnięcie do odpowiedzialności sądowej członków kompartii winnych zbrodni przeciw Ukrainie, powołanie na okres przejściowy (do nowych wyborów) rządu koalicyjnego, wprowadzenie własnego pieniądza, armii i policji narodowej oraz utworzenie Wschodniego Wspólnego Rynku.

W dniach 7-8 kwietnia odbył się we Lwowie zjazd założycielski Stowarzyszenia „Państwowa Niepodległość Ukrainy”. Przewodniczącym wybrano Iwana Kandybę, a w skład Rady Stowarzyszenia weszli między innymi: Petro Dużyj, redaktor przedwojennego pisma OUN *Idea i Czyn*, Anatolij Docenko, przedstawiciel UZH w Moskwie, Anatolij Łupynis, redaktor *Czerkaskich Wisti*, które stały się organem Stowarzyszenia oraz Zinowij Krasiwskij.

Z UZH usunięto P. Kampowa (31.03.90), dotychczasowego zastępcę przewodniczącego UZH Zakarpacia, za głoszenie tezy o istnieniu odrębnego od ukraińskiego narodu rusińskiego i żądanie wobec tego przyłączenia Rusi Zakarpackiej do Czechosłowacji, w skład której wchodziła w latach 1918-1939. Nie wiemy, na ile ruch rusiński jest silny.

Żywiotowo odradza się Ukraińska Autokefaliczna Cerkiew Prawosławna; ma ona już trzech biskupów: tarnopolsko-buczackiego, stanisławowsko-kołomyjskiego i wołyńsko-halicckiego. Cerkiew autokefaliczna nieprzypadkowo powstaje na terenie, gdzie grekokatolicy żądają zwrotu parafii i budynków sakralnych. Celem uniknięcia konfliktu z Ukraińcami prawosławnymi wstrzymano na razie na rok

przekazanie zespołu Świętego Jura we Lwowie Ukraińskiej Cerkwi Katolickiej. Położono kamień węgielny pod Sobór katedralny UACP we Lwowie.

Rosyjska Cerkiew Prawosławna poszła na pewne ustępstwa i stworzyła egzarchat Ukrainy, który przyjął nazwę Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej. Od 8 lutego ma ona własny 5-osobowy Synod. UCP ma posługiwać się również językiem ukraińskim. Sporne sprawy między prawosławnymi i katolikami ma rozstrzygnąć komisja składająca się z przedstawicieli RCP, UCP, Watykanu i UCK.

2 kwietnia w konsulacie polskim w Kijowie spotkali się przedstawiciele Ruchu i SDRP (PZPR).

Na zjeździe Ukraińskiego Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego postanowiono przekształcić je w Zjednoczenie Ukraińców w Polsce (25.02.90). Przewodniczącym wybrano prof. Stepana Kozaka.

Józef DARSKI

Do społeczeństwa polskiego

Przeżywamy burzliwy okres w życiu społecznym i politycznym Polski. Dzięki procesom destalinizacji zapoczątkowanym w sierpniu 1980 roku, niezwykłym wydarzeniom roku 1989, społeczeństwo polskie odzyskuje podmiotowość. Wybrany przez naród parlamentarny sposób przechodzenia od ustroju totalitarnego do ustroju demokratycznego okazał się drogą najszlachetniejszą, przynoszącą nie tylko korzyści krajowi i bezpieczny charakter dokonywanych przemian, lecz także uznanie opinii światowej. Z autentyczną sympatią i uwagą przemiany te przyjmowane są na Ukrainie.

Społeczność ukraińska wita te procesy z ogromną nadzieją. Bowiem właśnie w ustroju demokracji parlamentarnej upatrujemy szanse na zrealizowanie naszych praw wynikających ze statusu mniejszości narodowej. Praw wyływających z faktu, iż jesteśmy obywatelami Rzeczypospolitej Polskiej.

Powojenny system totalitarny szczególnie dramatycznie zazna-
czył się na naszych losach. Przeważająca większość Ukraińców zamieszkałych w nowych, powojennych granicach państwa polskiego została poddana dwukrotnej akcji przesiedleńczej: pierwszej w latach 1945-1946 i drugiej w 1947 roku. W wyniku drugiej wysiedlono około 150 tysięcy Ukraińców z ziemi ojczystej w Polsce południowo-wschodniej na ziemie północne i zachodnie. Celem akcji było pozbawienie nas tożsamości narodowej, a środkiem — polityka represyjna państwa stosowana wobec nas przez ponad czterdzieści lat. Dzięki przywiązaniu do kultury narodowej i uporowi w jej kultywowaniu wytrwaliśmy.

Obecnie stoimy przed szeregiem problemów do rozwiązania w dziedzinie kulturalnej, oświatowej i społecznej. Nadal nie nastąpiła prawna likwidacja skutków akcji „Wisła”, zadośćuczynienie za jej następstwa, normalizacja naszego statusu prawnego, w tym również zagwarantowanie prawa do posiadania własnej reprezentacji parlamentarnej. Jesteśmy przekonani, że w procesie dokonujących się przemian sprawy te znajdą pozytywne rozwiązanie, a w społeczeństwie polskim znajdziemy zrozumienie i poparcie.

Nasze dzieje przeplecione są tysiącnymi niemi wspólnych losów, dziedziczymy po części ten sam dorobek kulturowy. Przez kilka stuleci Polacy i Ukraińcy byli obywatelami jednego państwa. W naszej przeszłości wiele było konfliktów, wykluczających się racji, krzywd. Dramatycznym cieniem na naszych stosunkach położyły się wydarzenia z okresu wojny polsko-ukraińskiej 1918-1919 roku, okresu międzywojennego oraz okresu II wojny światowej. Dlatego też w imieniu naszej społeczności, ciężko doświadczonej w ich wyniku, opowiadamy się za pełnym wyjaśnieniem przyczyn i przebiegu tych wydarzeń, powiedzenia o nich prawdy z obu stron. Bowiemy jedynie w ten sposób możemy doprowadzić do normalizacji stosunków polsko-ukraińskich i ukraińsko-polskich.

Proces destalinizacji rozpoczął się również na Ukrainie. Budowane są zręby demokratycznych norm życia społecznego i politycznego. Odradza się kultura narodowa. Ukraina jest krajem zamieszkiwanym przez wiele mniejszości narodowych, w tym również przez mniejszość polską. W okresie powojennym jej status, realizacja praw były wysoce niezadowolające. Dzięki procesowi demokratyzacji sytuacja ta ulega zmianie. Nadzieją napawa fakt, że ukraiński ruch demokratyczny za jedną z naczelnych zasad uznał harmonijny rozwój wszystkich społeczności narodowych w państwie ukraińskim. W pełni solidaryzujemy się z tym dążeniem.

Ukraińcy i Polacy stoją dziś w obliczu ważnych wydarzeń w swoich dziejach. Otwierają się nieznane dotąd perspektywy i możliwości. My, zgromadzeni na Zjeździe Ukraińców w Polsce przedstawiciele społeczności ukraińskiej wyrażamy przekonanie, że w obojmych interesie naszych narodów leży wykorzystanie tych możliwości, bowiem nasz status, jak również status mniejszości polskiej na Ukrainie zależy także od ich urzeczywistnienia. Tragedią byłoby, gdyby we wzajemnych stosunkach przeważały uprzedzenia, nieufność, resentymenty czy też złe pojęty interes własnej strony.

Polska i Ukraina są ważnymi składnikami procesów integracyjnych w Europie. Społeczność ukraińska w Polsce oraz społeczność polska na Ukrainie powinny stać się istotnym czynnikiem kształtowania się nowego ładu i dobrosąsiedzkich stosunków w naszej części Europy.

ZJAZD ZWIĄZKU UKRAIŃCÓW
W POLSCE

Warszawa, 25.02.1990 r.

Zjednoczenie widziane od wewnątrz

Parę tygodni temu w zachodnioniemieckiej transmisji telewizyjnej ze słynnego tu kabaretu literackiego taka scena:

Dwóch dziennikarzy układa przy maszynie, niby na gorąco, sprawozdanie z dnia, w którym padł mur berliński. Co napiszą zdanie, pyta jeden drugiego:

— Czy tydzień temu mogłeś to sobie wyobrazić?

W odpowiedzi okrzyk:

— Istny szal, istny szal!

Znów dwie linie, i znów to samo, i tak w kółko.

I tyle wyszło z dialogu.

Na pozór niewiele w tym kabaretowym skrócie przerysowania. Tak było naprawdę wtedy, w listopadzie. Tak właśnie, skrótowo i wykrzyknikowo, z nadmiaru wrażeń nieporadnie, lecz za to wiarygodnie, komunikowali swoje nastroje przypadkowym rozmówcom ludzie — setki tysięcy, miliony ludzi — z tamtej strony żelaznej kurtyny przy pierwszych swoich wypadach na Zachód. Dla większości było to pierwsze przejście od istnienia muru, dla młodych i najmłodszych — pierwsze w życiu.

Ale teraz (teksty kabaretowe bywają okrutne) słowa te, w miarę powtarzania ich w odstępie minut, potem sekund, brzmią komicznie, zmieniają się w zwykły refren, za chwilę w slogan. Oto pokazane — *live* — powszechnienie słów, stopniowo blendających, a w końcu gorzkich. Wiadomo bowiem z perspektywy kilku miesięcy, że nie wszystko jest tak piękne, wzniosłe i radosne, jak zdawać się mogło w pierwszych dniach. Skądinąd fakt, że tamten zbiorowy nastrój tak szybko posłużył za temat satyrze, świadczy o tym, iż minął czas euforii, a nastał czas myślenia.

18 marca odbyły się w NRD pierwsze wolne wybory. Oto najważniejsze wyniki:

Najwięcej głosów zdobyła CDU (40,91%)¹. Trzy konserwatywne ugrupowania, a więc właśnie CDU, DSU i „Przełom Demokratyczny”, utworzyły razem tzw. Alians na rzecz Niemiec, na który padło w sumie 48,65% głosów. Na SPD głosowało tylko 21,84% wyborców, wbrew prognozom, zapowiadającym jej zwycięstwo. Była SED (partia komunistyczna), przemianowana na Partię Demokratycznego Socjalizmu, uzyskała 16,33% głosów. 5,26% wyborców oddało głosy Związkowi Wolnych Demokratów (obejmującemu partię Liberalno-Demokratyczną i FDP), 2,90% — Sojuszowi 90 (w skład którego wchodzi Nowe Forum, Demokracja Teraz i Inicjatywa w obronie pokoju i praw człowieka, 2,19% — Demokratycznej Partii Chłopskiej, a 1,96% — Partii Zielonych, połączonej z Niezależnym Związkiem Kobiet. Trzeba podkreślić, że za rządów Honeckera CDU, Partia Liberalno-Demokratyczna i Partia Chłopska działały w wspólnym bloku z SED. Do obecnych wyborów przystąpiły pod hasłem „samoodnowienia się”, wysuwając kandydatów bądź nowych, bądź też w okresie monopolu SED nieaktywnych.

Najważniejsze obserwacje: kampanią wyborczą zawładnęli bez reszty przywódcy głównych partii w RFN (z wyjątkiem Zielonych)². Publiczność nie miała nawet okazji poznać dokładniej własnych polityków, poruszających się w cieniu „wielkich braci”. Ci zaś przenosili na NRD własną walkę wyborczą. W tym roku bowiem mają miejsce w RFN wybory do kilku *Land'ów*, a w grudniu do Bundestagu.

Wybory stały się plebiscytem za zjednoczeniem Niemiec, równoznacznym dla tamtejszego społeczeństwa z szybką pomocą gospodarczą. Głosowano w gruncie rzeczy na partie rządzące w RFN, zawiadujące budżetem państwowym, a wśród nich najczęściej na najsilniejszą — CDU.

Wreszcie ugrupowania, które faktycznie złamały monopol komunistyczny (np. Sojusz 90), zostały zepchnięte na daleki plan.

A jednak trzeba retrospektywy, by naprawdę dotknąć najnowszych spraw niemieckich. Spróbuję więc przypomnieć, „jak

1. Mowa jest o partiach w NRD. CDU (Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna), SPD (Socjaldemokratyczna Partia Niemiec) i FDP (Partia Wolnych Demokratów), która przystąpiła do wyborów razem z LDP (Partia Liberalno-Demokratyczna) — to odpowiedniki partii o tych samych nazwach w Republice Federalnej. DSU (Niemiecka Unia Społeczna) odpowiada bawarskiej CSU (Unia Chrześcijańsko-Społeczna). Wymienione partie w NRD są teoretycznie samodzielne.

2. Zieloni opowiadają się nadal za dwupaństwowością.

to było", co się tu działo między jesienią a wiosną czyli w okresie między euforią a refleksją.

Euforia listopadowa, jak już pisałam, była autentyczna i z początku niewątpliwie obustronna. Wolna część narodu podejmowała część dotąd ujarzmioną. Spotkania przyjaciół, rodzin przez lata odciętych. Otworzyły się ramiona, nagle zbliżenia, powszechna fraternizacja, „fundy” w knajpach i kawiarniach, przyjmowanie na noclegi nieznanym, spontaniczne przysługi transportowe: naprawa czy holowanie do granicy zdezelowanych trabantów. Gesty powtarzające się, niezliczone, serdeczne odruchy pomocy. I oczywiście niekończące się wzajemne pytania...

A jednak *nie* nocne rodaków rozmowy...

Gdyż widoczna już wtedy perspektywa zjednoczenia objawiła się Niemcom zniechęca. Wcale nie jako upragniony efekt jakichkolwiek wspólnych działań — lecz jako nieprzewidziana szansa. W Republice Federalnej nikt nie usiłuje nawet udawać, że było inaczej. Przecież właściwie od początku panowała tu ogólna zgoda na podział kraju, w tych ramach społeczeństwo osadziło się wygodnie, bez śladów *Weltschmerz*'u, a przynajmniej do zeszłego lata nie przypuszczał niemal nikt, że obecne pokolenia dożyją jedności.

Sprawy potoczyły się inaczej w NRD, gdzie opór przeciw systemowi zaczął przejawiać się w formach załączkowych jeszcze przed wielu laty. I właśnie o zmianę systemu chodziło w tamtejszej rewolucji. Opcja zjednoczeniowa wystąpiła wtórnie, niesiona przez inne siły i inne motywy.

Napęd rewolucyjny w NRD wyrósł z konfrontacji między jej wewnętrznym paraliżem a zmianami w Sowietach, w Polsce, na Węgrzech. Przypomnijmy tylko wydarzenia decydujące: od wizyty Gorbaczowa na 40-lecie NRD i masowych ucieczek — po otwarcie granicy węgiersko-austriackiej; od riposty demonstrantów („my zostaniemy tutaj”) — po upadek Honeckera, a potem Krenza; od zorganizowania przez opozycję „okrągłego stołu” z funkcją doradczą — po wejście jego uczestników do rządu. Modrowa; od rozwiązania aparatu bezpieczeństwa, najważniejszego w tym okresie zwycięstwa opozycji — po przygotowanie wolnych wyborów. Widać wyraźnie: perspektywa zjednoczenia wynikała ze skutecznego ataku na ustrój, ze splotu okoliczności zewnętrznych i wewnętrznych. Była rezultatem *konstelacji*, a nie spełnieniem tęsknoty narodowej.

Przed wyborami nadzieja, że wraz z klęską systemu osłabi się ruch wyjeżdżających z NRD zawiodła z kretesem. Obustronne apele i perswazje, że NRD się wykrwawia, a w RFN wyczerpują się możliwości aż tak masowej integracji, nie odnosiły skutku. Od stycznia do końca marca opuściło NRD przeszło 150 tysięcy osób. Do tej pory nie chodziło przy wyjazdach

o krok w nieznaną. Potężnym impulsem były ułatwienia materialne w RFN : początkowe zakwaterowanie, zasiłki dla bezrobotnych, cała gama świadczeń pieniężnych i niskoprocentowe kredyty. Wraz z rosnącym napływem przesiedleńców pogarszały się nawet techniczne warunki ich przyjmowania, mały ich szanse zatrudnienia i znalezienia mieszkań. Toteż rząd Kohla postanowił skreślić od 1 lipca owe świadczenia specjalne.

Nic w tym dziwnego, że oglądana co wieczór w telewizji przepaść materialna między dwoma państwami niemieckimi od lat już drażni poszkodowanych. Społeczeństwa, choćby najbardziej umęczone, nie wyjeżdżają w całości. Za to tym łatwiej ulegają frustracjom „porównawczym”, a przecież w NRD porównania należą do losu narodowego. Prawda, przystosowywanie się do warunków postępowo tam głódziej niż gdzie indziej. Kto mógł, ten uciekał po pracy we względnie przyjemne zacisze domowe, z dala od publicznego drylu, od podsłuchujących czy obserwujących funkcjonariuszy „Stasi” (system inwigilacyjny został bowiem doprowadzony do doskonałości), szukając jako takiej satysfakcji w jako takim własnym dorobku materialnym. A jednak patrzącemu z zewnątrz wydawało się najczęściej, że główny podział w społeczeństwie przebiega między tymi, co wyjechać mogli a tymi, co nie mogli.

Ruch protestu politycznego i społecznego w NRD stanął w poprzek owego podziału. Jego przesłanie „zostać i zmieniać”, jego hasło „naród to my” podjęły dziesiątki, potem setki tysięcy ludzi, ruszając w każdy poniedziałek przez ulice wielkich miast. Złamali oni komunistyczny monopol władzy, domagali się demokratyzacji NRD o własnych siłach, ale nie nakreślili wyraźnego programu na dłuższą metę. Wprawdzie przy „okrągłym stole” uczestnicy tego ruchu okazali się konkretni i konsekwentni w działaniu, lecz wtedy już większości społeczeństwa śpieszyło się bardzo do obiecywanej pomocy materialnej z dostatniego Zachodu. „Sojusz 90” wraz ze swoimi peryferiami został oceniony przez wyborców jako ruch utopijny, zdolny do obalenia i oczyszczenia, ale niezdolny do wprowadzenia w NRD gospodarki rynkowej.

Jednak ruch ów przewodniczył, jak wyżej, pierwszej anty-systemowej fazi demonstracji. Fazę tę otaczała aura sympatii i podziwu w obu częściach Niemiec i poza Niemcami. Mówiono i pisano wtedy: „nie było nigdy w historii, wliczając rok 1848, takich tłumów protestujących ludzi na ulicach miast niemieckich”. Gdy jednak reżim upadł i na ulicach stało się już bezpiecznie, tłumom tym zastąpiły drogę inne. W dwa tygodnie zmienił się na oczach obraz poniedziałkowych demonstracji. Oto

1. Stasi — skrót od *Staatssicherheit* (Urząd bezpieczeństwa).

nagle sceneria patriotycznego akcesu. Oto nowe transparenty „Jesteśmy jednym narodem”, „Niemcy jedyną ojczyzną” — i lasy sztandarów Republiki Federalnej. Podnosi się ton i rośnie wśród nowych tłumów gotowość do agresji wobec demonstrantów z innych niż one kręgów. W atmosferze napastliwości, zaczepności, w postawie zagrożenie: biada każdemu, kto myśli nie tak, jak my! — podejrzany patos w okrzykach, potem *Deutschland, Deutschland über alles...* Gdy wreszcie zaczęli się pokazywać na pobrzeżach, a potem wciskać w tłum, nasłani z RFN lub miejscowi Republikanie⁴ z właściwym sobie sztafazem, z ulotkami o znanej treści i z mapami ze znaną datą — stawało się jasne, że kierownictwo demonstracji przejęły nowe siły, inspirowane przez czystej krwi nacjonalizm, przebrany tylko w szaty szlachetnego patriotyzmu.

Czy ta zmiana w charakterze poniedziałkowych demonstracji odpowiadała rozwarstwieniu opinii wśród ludności? Byłoby to zbyt proste. Wprawdzie znany jest dobrze, chociażby z nagonki antypolskiej, lub z ekscesów przeciw uczniom i studentom cudzoziemskim, potencjał szowinizmu i ksenofobii w NRD, kto wie czy nie bardziej jadowity niż w Republice Federalnej (a wzrastający w ogóle, jak się okazuje również w innych społeczeństwach post-totalitarnych). Jednak powyższy opis nie charakteryzuje trwałych właściwości jakiegoś określonego odłamu opinii. Stara się raczej uchwycić chwiejność nastrojów i wciąż możliwe, w obu zresztą częściach kraju, gwałtowne wzbieranie wrogich uczuć w stosunku do ludzi w tej lub innej sytuacji uważanych za przeciwników.

Główne podziały w poglądach na zjednoczenie przebiegają jednak głębiej, poza doraźnymi wstrząsami. Widzieliśmy, że obietnica szybkiej jedności uzyskała w wyborach najszerszą akceptację. Ale zarówno wśród wyborców bloku zwycięskiego, jak i wśród całej reszty występują różne opinie na temat trybu i tempa procesów zjednoczeniowych. Można z grubsza wyróżnić kilka zasadniczych stanowisk: jedni zamówiliby termin jedności najchętniej na przedwczoraj, wierząc naiwnie, że wystarczy formalna uchwała, by nazajutrz zrównały się poziomy życia po obu stronach Łaby. Drudzy, bardziej świadomi trudności, żądają procedury oględnej, rozważanej w szczegółach. Inni wreszcie, pragnąc wnieść do nowej sytuacji dorobek myślowy i emocjonalny opozycji, przestrzegają przed ograniczeniem zasady samostanowienia i lekceważeniem podmiotowości NRD⁵. Popierani przez wielką część inteligencji w obu państwach, twierdzą, że ta część kraju powinna wnieść w nowy twór, jakim będą zjednoczone

4 W NRD partia Republikanów nie jest zalegalizowana.

5. Prezydent Weizsäcker wypowiada się stale w tym duchu.

Niemcy, wartości własne, a więc uniwersalne tradycje kultury, rozwiniętej na tych terenach, czy dorobek północnoniemieckiego protestantyzmu. Według tych opinii niekomunistyczna już NRD nie posiada legitymacji jako odrębne państwo, niemniej ludzi tamtejszych nie wolno pozbawiać własnej ich tożsamości. Chcą się oni bowiem z drugą częścią Niemiec połączyć, lecz nie chcą się dać „połknąć”.

Oczywiście nie chodzi tylko o tożsamość kulturową, ale o powszednie, codzienne troski. Gdy ulotniła się euforia jesienna, zaczęto bać się od razu „połknięcia” przez markę zachodnią. Istotnie kwitło spekulacyjne wykupywanie towarów przez posiadaczy zachodniej waluty. Od tego czasu wypadki rozwijały się skokowo, przed mieszkańcami NRD otworzyła się perspektywa zmiany systemu gospodarczego w ścisłym współdziałaniu z Republiką Federalną. Ale kiedy, za pomocą jakich mechanizmów i jak się to na razie odbije na losie obywateli? „*Nur Kohl bringt Koble*” (tylko Kohl przyniesie forszę) — z tą nadzieją rzuciły się miliony do urn wyborczych. Jednak nadzieja nie rozwiewa lęków. Pod obuchem pytania „jak to będzie” żyje społeczeństwo NRD od miesiący.

Co się stanie z oszczędnościami w markach wschodnich, gdy wejdzie w obieg marka zachodnia... Jak zachowają się płace, czy obiecany kurs jednego do jednego zostanie dotrzymany⁶... Czy zachodni inwestorzy nie potraktują NRD jako rezerwuaru taniej siły roboczej, czy nie przekształcą jej w gospodarczą *Hinterland* Republiki Federalnej... Ilu pracowników znajdzie się na bruku wskutek prywatyzacji przedsiębiorstw i konkurencyjnego wyścigu o opłacalność produkcji... Czy nie podskoczą czynsze, niezmiernie tu dotąd niskie, warunek jako takiej równowagi w skromnych budżetach rodzinnych... A siła nabywcza emerytur przy nowym poziomie cen, a sieć żłobków i przedszkoli bardziej tu gęsta niż po stronie zachodniej, a ważność tutejszych dyplomów... A zagrożenie ze strony właścicieli, którzy przyjeżdżają z RFN chcąc tu odzyskać swoje grunty i domy, kiedyś upaństwowione i od długich lat użytkowane czy zamieszkałe przez tutejszych ludzi...

Niektóre sprawy, jak widzimy, podobne do polskich — z tym, że Polska zdana jest na siebie. Ale nic dziwnego, że miarą porównawczą dla mieszkańców NRD nie są inne kraje bloku, lecz zasczna i syta Republika Federalna.

6. Kilka dni temu Centralna Rada Bankowa w RFN zaproponowała przeliczeniowy dwóch marek wschodnich za markę zachodnią. Spotkało się to z ostrymi protestami polityków i ludności w NRD, oznaczałoby bowiem obniżenie płac i emerytur do połowy. Sprawa będzie dopiero przedmiotem pertraktacji, lecz zapowiada już długotrwałe napięcia.

A na Zachodzie?

Najpierw kilka najogólniejszych informacji. Rząd Kohla zapowiada unię gospodarczą, walutową i socjalną z NRD. Wejście w obieg marki zachodniej na tamtych terenach miałyby nastąpić już w miesiącach letnich. Jeśli idzie o kierunek rozwoju, faworyzuje się przewagę średnich i małych przedsiębiorstw (preferencja, być może, już w jakiejś mierze zagrożona). Inicjatywa w zakresie przemysłu (tzn. szanowania względnie modernizacji starych i zakładania nowych przedsiębiorstw) oraz w zakresie handlu i budownictwa należeć ma do kapitału prywatnego, inwestycje w katastrofalnie zaniedbaną w NRD infrastrukturę i w ochronę środowiska — do rządu RFN. Czeką się obecnie na wprowadzenie przez rząd NRD (nieukonstytuowany w chwili, gdy piszę) ramowych warunków prawnych dla wolnorynkowej gospodarki społecznej, właściwej Republice Federalnej.

Zaczyna się zatem nie mająca chyba precedensu w historii operacja gospodarczo-ustawodawczo-społeczna, polegająca na stopniowym scalaniu się dwóch diametralnie różnych systemów, wraz z przejściem przez partnera silniejszego wewnętrznych, ale także zagranicznych zobowiązań partnera słabszego. Jeśli idzie o rozmiar trudności tej gigantycznej operacji, porównują ją niektórzy z reformą walutową Erharda z r. 1948. Inni twierdzą, że jest nieporównanie bardziej skomplikowana, ponieważ wtedy organizowano wszystko od zera, gdy teraz trzeba w dużej części kraju zburzyć stary porządek i uruchomić dopiero mechanizmy, zdadne do wntegrowania w ogólnoniemiecki organizm gospodarczy. Dodam, że zupełnie odmienna jest również sytuacja psychologiczna.

Jak się to wszystko uda, ile wymaga czasu, na jakie natrafi przeszkody, ile będzie kosztowało, z jakich środków ma być finansowane, czy państwo nie odwoła się np. do pomocy tutejszego społeczeństwa — na te pytania, mimo, że ekspertyzy są w toku od kilku miesięcy, a w prognozach wymienia się wciąż inne, ale zawsze krótkie terminy — nikt nie potrafi dziś odpowiedzieć. „Wiem, że jeszcze nie wiem” — to wspólny motyw setek publikacji.

Co na to społeczeństwo w RFN? Jakże panują względnie przeważają nastroje w obliczu tylu i tak wielkich niewiadomych? Co można już wiedzieć na pewno?

Na pewno ożywiła się przedsiębiorczość gospodarcza. W powietrzu — przeczucie *boom'u*. Wielkie banki zachodniemieckie założyły filie na całym terenie NRD. Inwestorzy stoją — jak się to mówi — w „dolkach startowych”, niektórzy już wystartowali. Volkswagen przygotowuje produkcję w Saksonii i zapowiada 250 tysięcy samochodów rocznie. Angażują się Opel, Daimler-Benz, Siemens, Neckermann, jedno z największych

tu biur podróży, ogłasza katalog z tanimi ofertami turystycznymi specjalnie dla mieszkańców NRD. Ruszają się wydawcy: Springer np. chciałby przejąć kolportaż gazet i czasopism zachodniemieckich w NRD, jak również zorganizować wymianę reklam między dwoma państwami w gazetach i w telewizji. Kontakty z tamtejszymi przedsiębiorstwami handlowymi nawiązują od miesięcy firmy kolońskie. Otwierają się na nowo pewne tradycyjne szlaki gospodarcze, zniszczone przez podział kraju. Tak np. Hamburg uważa za fakt niezmiernie dla siebie korzystny połączenie się z zapleczem po drugiej stronie Łaby. Kassel, miasto położone na dawnym trakcie handlowym między Hamburgiem a wschodnimi Niemcami, liczy na odzyskanie swojej dawnej roli. To tylko przypadkowe przykłady spośród setek innych.

A jednak na razie nic nie wskazuje na to, by podniecenie panujące w ośrodkach decyzji gospodarczych miało się udzielić masie tutejszych obywateli. Nastroj wzajemnych objęć i tańców na ulicy nie może oczywiście trwać miesiącami, ale rzecz w tym, że listopadowa aura gościnności wobec rodaków ze wschodu ulotniła się już w grudniu, gdy mieszkańcy stref przygranicznych po tej stronie zaczęli się krzywić i zdrowo narzekać na chaos drogowy czy tłok na ulicach i w sklepach. Co tu dopiero mówić o stosunku do przybyszów na stałe, których wtedy, po otwarciu granicy, witano jeszcze z radością, a dziś widzi się w nich tylko konkurentów do pracy, mieszkań i świadczeń społecznych idących w miliardy. Od czasu jesiennych uniesień publiczność dokumentuje się coraz dokładniej i przewiduje, że budżetowe obciążenia państwa „uderzą po kieszeni” obywateli. Minimalna część ludności (około 10%), jak wynika z badań opinii, wypowiada się z tego powodu wprost przeciw zjednoczeniu, ale dwie trzecie uważają, że proces postępuje stanowczo zbyt szybko, narażając na szwank równowagę gospodarczą i dobrobyt w Republice Federalnej. Od połowy do dwóch trzecich ankietowanych osób nie zgadza się na ponoszenie ofiar materialnych w imię zjednoczenia. Tytuł artykułu, analizującego jedną z takich ankiet, w poczytnym tygodniku: „Jedność? tak, ale proszę tanio”!

Pytałam wiele osób czynnych zawodowo, czy w swoich środowiskach pracy dosłuchały się jakiegoś nowego tonu, czy przemknęła gdzieś jakaś iskra emocji... Odpowiedzi negatywne. Przy tym im kto młodszy, tym trudniej akceptuje w ogóle potrzebę jedności: „Urodziłem (—am) się w podzielonych Niemczech, ale nie mam do tego wszystkiego żadnego stosunku” — to prawie stereotypowa wypowiedź. Można natomiast zaobserwować pewną postawę „realnego fatalizmu”, jak określił to jeden z moich rozmówców. Ponieważ zjednoczenie przyjdzie na pewno,

więc zaczyna się przymierzanie własnych szans życiowych do różnych wariantów nieprzewidywalnego jeszcze w szczegółach procesu: pociąg za chwilę rusza, do którego wagonu mam wskoczyć? Boję się uogólnień zbyt kategorycznych, że jednak żadne symptomy odurzenia narodowego nie przenikają na zewnątrz — to pewne.

Natomiast prawdziwy trans ogarnął klasę polityczną, względnie jej część, przede wszystkim więc partie rządzące CDU i CSU. Impet, z jakim kanclerz Kohl i jego najbliżsi doradcy rzucili się do wysiugu z czasem, odpowiada zresztą znanym od dawna tendencjom prawego skrzydła CDU, bawarskiej CSU i kierownictw organizacji przesiedleńczych. Przy tym pośpiechu, inaczej mówiąc interes wyborczy, góruje nad analizą rzeczową. Błysnęła nawet iluzja święta narodowego na koniec roku, kanclerstwo zjednoczonych Niemiec zdawało się tuż, tuż, ale potem najniecierplwsi nawet zaniechali tego pomysłu. Od początku i bezustannie trwa „dodawanie gazu”. W pewnym momencie puszczono w świat pogłoskę o ostatecznym chaosie w NRD i niewypłacalności państwa już dziś, już jutro, byle tylko trzymać tempo. Pod takim znakiem przebiegała też kampania wyborcza. Uczestniczyły w niej — o czym była mowa wyżej — wszystkie tutejsze partie (poza Zielonymi), także SPD, i to przy udziale pierwszego garnituru — ale właśnie CDU i CSU nacierały ławą, masowo, metodą buldożerów (jak nazwano to w Holandii), bez oglądania się na pozory i posługując się wciąż argumentem, że to one i tylko one zawiadują potrzebami dla sanowania NRD funduszami. Równocześnie toczy się spór o konstytucyjną podstawę połączenia obu państw, chodzi o wybór między dwoma artykułami Ustawy Zasadniczej RFN. Teoretycznie ma o tym zdecydować NRD, ale nacisk z Bonn, żeby wybrać drogę szybszą, nie ustaje. Gdy przypomnę sobie początkowe zalecenia wszystkich tutejszych partii, łącznie z CDU, by postępować oględnie i z umiarem, by nie urażać poczucia niezależności wśród obywateli NRD, koniecznego warunku samostanowienia — tamte czasy wydają mi się sięgać epoki kamienia łupanego.

Krótko tylko — fakty są znane z prasy codziennej — o metodzie zaskoczeń, stosowanej przez kanclerza Kohla wobec sojuszników i sąsiadów. Zwykle działo się tak, że Kohl puł naprzód, a zaraz potem Genscher gdzieś jechał, żeby gasić pożary. Tak było zarówno z planem kanclerza w dziesięciu punktach, jak z przedziwnym faktem, że o propozycji unii walutowej z NRD nie została uprzednio poinformowana Wspólnota Europejska. Szczyt zaskoczeniowej eskalacji stanowiły jednak niezliczone zygzaki w sprawie polsko-niemieckiej. Kolejne wersje kanclerza wprawiały w osłupienie i oburzenie nie tylko zagranicę, a na tutejszym terenie (o czym wie się powszechnie)

koalicyjnego partnera i opozycję — ale, co warto podkreślić, szereg polityków w samej CDU i naprawdę szeroką opinię aż po najbardziej prywatną.

O lękach europejskich przed gospodarczą dominacją zjednoczonego państwa niemieckiego⁷ i jej możliwymi reperkusjami politycznymi mówi się tu i pisze od dłuższego czasu. Ta samowiedza jest znakiem pozytywnym. Mało kto spośród światlejszych i w przybliżeniu chociaż zorientowanych zapomina, że wbrew wizytom i rewizytom międzypaństwowym i wbrew dyplomatycznemu wygładzaniu fal po kolejnych burzach, dynamika obecnego rozwoju uruchamia własne prawa i programuje z natury rzeczy sytuacje konfliktowe, tak zresztą w kierunku zachodnim jak wschodnim. Prasa sygnalizuje np. niepewność krajów wschodnioeuropejskich, czy przyrzeczona im przez Republikę Federalną pomoc gospodarcza ma istotnie szanse realizacji w spodziewanym wymiarze wobec ogromnych nakładów finansowych na rzecz NRD. Czy dach Wspólnoty Europejskiej, i ten na razie zachodni, i ten przyszły, rozszerzony na wschód, stanie się rzeczywiście naturalnym regulatorem gospodarczych i politycznych funkcji zjednoczonych Niemiec — z takim znakiem zapytania przyjdzie żyć jeszcze długo Europejczykom, a wśród nich samym Niemcom.

Nie mogę relacjonować szczegółowo tutejszej polemiki międzypartyjnej na temat mechanizmów zjednoczeniowych. Ponieważ sądzę, że kierunek działań rządu jakoś się na tle tego skrótu zarysował, pozostaje do określenia z grubsza stanowisko opozycji. Rozumiem przy tym opozycję szerszej, niżby to wynikało ze sztywnych podziałów, gdyż głosy krytyczne, niekiedy niezmiernie ostre, podnoszą się także wewnątrz partii rządzących. A zatem tak pojmowana opozycja solidaryzuje się z tym nurtem w NRD, który odrzuca dyktat z zewnątrz, broni podmiotowości tamtejszego społeczeństwa i akcentuje konieczność jego samodzielnej roli w toku szczególnie skomplikowanej, post-totalitarnej demokratyzacji; sprzeciwia się rozsiewaniu po tamtej stronie złudzeń, że w procesie gospodarczego scalania się dwóch państw niemieckich stopa życiowa w NRD podniesie się szybko; domaga się jednocześnie, by pośpiech przy podejmowaniu kolejnych decyzji nie zakłócał równowagi społecznej. Opozycja przestrzega wyraźnie przed priorytetami interesów wyborczych i rozkręcaniem hurra-narodowej koniunktury psychologicznej i wreszcie żąda bardzo uparcie, by deklarowana współzależność niemieckiego procesu zjednoczeniowego i procesu integracji europejskiej nie pozostała formalnie odbębnianym zaklęciem.

7. Tak np. w ankiecie francuskiego tygodnika *L'Express* 58% czytelników wyraziło obawę przed niemiecką dominacją gospodarczą w Europie.

W tekście tym położyłam przede wszystkim nacisk na wewnątrz-społeczne czynniki nowej sytuacji w Niemczech. Wyłonił się z tego pewien kontrast, a może nawet paradoks. Przywódcy polityczni z partii rządzących usiłują za wszelką cenę przyspieszać procesy zjednoczeniowe, mieniąc się wyrazicielami uczuć patriotycznych ogółu, a większości społeczeństwa wydaje się chodzić o co innego. W NRD zagłuszanie buntu antysystemowego przez nurt nacjonalistyczny nie odzwierciedlało powszechnych nastrojów, lecz „uwzniośliło”, na pozór przynajmniej, dążenia zmęczonej codzienną mitręgą ludności do znośniejszej egzystencji. W Republice Federalnej dydaktyczno-narodowa propaganda pewnej części *establishment*'u wywiera wpływ na niektóre organy prasowe lub na imprezy czy enuncjacje publiczne — gdy tymczasem przeważającą część obywateli absorbuje społeczno-gospodarczy rachunek zysków i strat, wynikający ze zjednoczenia. Czy jednak tak zostanie, czy w okresie nadchodzących bez wątpienia, choć nierównych w obu częściach Niemiec trudności nie odezwią się pogłosy nacjonalizmu — nie da się jeszcze przewidzieć. W każdym razie trzeba będzie sztuki rządzenia bardzo wysokiej próby, by przyjął się tu na dobre „patriotyzm oświecony”, wolny od zaściankowych ograniczeń.

Nie jest to frazes, że w Niemczech moralny, intelektualny ale także uczuciowy opór przeciwko groźbom starych i nowych nacjonalizmów zatoczył szerokie kręgi. W obliczu historii swego kraju ludzie z tych kręgów uznali ów opór za niemiecki obowiązek narodowy. *Oder-Neisse-Linie* — by sięgnąć do nabrzmiałego tu ostatnio przykładu — jest dla nich nie tylko sprawą polską, lecz w równej mierze sprawą niemiecką. Wielu z tych ludzi odnosiło się zawsze z dystansem do idei zjednoczonego państwa niemieckiego, bojąc się, by nie przyprowadziło ze sobą starych duchów.

Kamila CHYLIŃSKA

4 kwietnia 1990

Z ukosa

A więc w końcu jesteśmy wolni, lub prawie wolni. To „prawie” przybiera różne figury, czasami zanika, a czasami puchnie. Wczoraj, kiedy jak zwykle cierpiałem na bezsenność i gdy jak zawsze punktualnie o świcie rozpoczęły swój przeraźliwy koncert ptaki, zobaczyłem nagle, że mój brak snu jest już prawie wolny, że wolny jest ból głowy i nawet zastępy Służby Bezpieczeństwa przeprawiają się na mój brzeg pod dowództwem Krzysztofa Kozłowskiego, który przypatruje się tej przeprawie z fajką wetkniętą w półośmiech. Bliscy mu ludzie jednak wiedzą, ile za tym się kryje niepokoju.

Premier Mazowiecki miał przez pół dnia namawiać redaktora *Tygodnika Powszechnego*, zastępcę Turowicza, by z katolickiego intelektualisty stał się policjantem nr 2 RP, z szansą na nr 1.

„— Jest to tak obrzydliwe i brudne zajęcie, że powinien tym się zająć dżentelmen” — miał mu powtarzać Premier, jakby odmawiał różaniec. Premier, widzę, jest podobnie jak ja, czytelnikiem angielskich powieści szpiegowskich, a tam wywiadem obowiązkowo zajmują się dżentelmeni — w czym jednak pomaga im wydatnie wyobraźnia pisarzy. Kto pomoże Kozłowskiemu? Czy generał Kiszczak, który jest nadal szefem MSW? Czy własne poczucie humoru, błyskotliwa inteligencja i umiejętność jazdy na nartach? Jak na razie nie jest lekko. Kozłowski, który jest mieszkańcem Krakowa i zna dobrze tylko tamtejszy Urząd Spraw Wewnętrznych, miał spore kłopoty, by pierwszego dnia ministrowania trafić do swego gabinetu. Pytał więc znajomych, którym autobusem dojechać. No i dojechał. I od razu wzruszył mnie. Bo zrobił, co ja bym na jego miejscu od razu uczynił. Zażądał własnej teczki. Okazało się jednak, że jej nie ma. Zaginęła. Zażądał więc teczki znajomego. Wyglądała jak grubas poddany okrutnej operacji odchudzającej. Były tam tylko dwa nieważne papiery. Przynajmniej wiadomo, czym przez

ostatnie miesiące zajmowali się funkcjonariusze. Niszczyli akta. Cóż za okropne zajęcia. Niszczyli lata swojej ciężkiej pracy, tajne pałace informacji, suszyli rzeki i morza donosów. Nie było to łatwe, bo naród niuchał, a jak wyniuchał, że gdzieś się dymi, to od razu zaczynał się rwetes — palą! Nie wiem, jak w końcu resort rozwiązał ten problem — ja oczyma wyobraźni widzę tysiące funkcjonariuszy, jak siedzą i jedzą, zjadają nasze akta, tony papieru, ciężko przeżywają góry informacji, które pracownicy zbierali przez dziesiątki lat.

A co robią moje kochane baranki, moi kapitanowie, czuli opiekunowie, aniołowie stróżowie moi? Czy pamiętacie, jak z przejęciem gaworzyliście o tajnej liście do wieszania, na którą miałem wciągnąć was i wasze poczciwe rodziny? A potem szliśmy korytarzem, gdzie mijaly nas funkcjonariuszki — ta ma za niskie zawieszenie, ta dobra — wymienialiście się uwagami, gdy już po skończonym spektaklu przesłuchania byłem tylko przedmiotem, przy którym można się nawet rozdziać i wywalić. O, wy też siedzicie wśród przezuwaczy i wcinacie właśnie moje zdjęcia, o których tyle rozprawialiście na przesłuchaniach. Zezreć tyle zdjęć nie jest łatwo. A one mogłyby mi się przecież przydać, w końcu tak niewiele mam pamiątek z tamtego czasu. Właściwie została mi tylko bezsenność.

A Lech Wałęsa śpi dobrze. Chociaż ostatnio nieco gorzej. Budzi się rano, a tu za oknem góra, a na górze hotel przydenta, ogromny jak krzyż na Giewoncie. Góra też wydaje się stroma, ale Wałęsa bywa w Tatrach i wie, że nawet takie strome góry mają ścieżki, po których wejdzie się choćby w szpilkach. Nie ma powodu, by nie wejść tą łatwą ścieżką, ale na przeszkodzie może stanąć to i owo. Np. warszawskie mądrale. To, że znają słowa, których on nie zna, że wchłonęli tyle książek, to ich tak nadyma. A on, który nie przeczytał żadnej książki, sam napisał o sobie książkę, *best-seller*. Niedawno otrzymał w Gdańsku doktorat *honoris causa*, to wstyd, że dopiero teraz. Kiedy był w Ameryce, zaproponowano mu ponad 60 doktoratów, ale nie miał czasu na głupstwa.

Wcale bym nie zmienił mojej bezsenności na wałęsowskie przebudzenia. Widzieć co rano taką górę z fotelem, koszmar. Kiedy wręczano mu ten doktorat, przypominał otyłego borsuka odzianego we fioletowe futro. Nabytym kilka lat temu nawykem poruszał zuchwami i wąsem, jakby zjadał własne zadowolenie. Zjadać tak nieustannie własne zadowolenie to straszny ciężar dla żołądka. Wszystko byłoby pół biedy, które utonęłoby w naszej całej biedzie. Problem, że wielki Lech jest ogromnie mały przy swoich kompleksach, lękach, niepewnościach, zrodzonych bardziej z uwierania niż ze świadomości własnych braków. Na tyle jest mądry (a bywa mądry, jak tego nie przyznać), by czuć

te braki, chociaż zostały upchnięte kopniakami pod stołem. Ciągłe jednak coś wystaje.

Prezydent z takimi uprawnieniami, jakie mu daje nasza konstytucja, obarczony takim garbem kompleksów, na dodatek w kraju, który musi przepłynąć morze problemów...

— Jeśli on zostanie Prezydentem, to trzeba będzie emigrować — mówi stary pisarz.

— Kiedy zostanie ktoś inny, a On będzie cierpiał, że nie On, to też trzeba będzie emigrować — zauważa żona pisarza.

— Jeżeli On... to ja popelniam akt samospalenia na murach Warszawy — oświadcza poseł X.

Zastanawiam się, jaka byłaby pochodnia z posła X. Docho-
dzą do wniosku, że efektowna. A nie każdy się łatwo zapala, o
nie. Dołącza się do nas szeptem znany prawnik.

— Kiedy tak idiotycznie konstruowano okrągły stół i usta-
lano prerogatywy dla Prezydenta, ja wiedziałem, że to się źle
skończy i będzie nieszczęście na pół wieku dla Polski.

— To co robić? — odszeptuje poseł.

— Trzeba będzie jeść wspólnie tę żabę — szeptem prawnik i
zerką czy ktoś nie podsłuchuje.

— Ja nie jem. Ja się palę — mruczy poseł.

— Jest nadzieja, że Tadeusz się zgodzi, tylko w Tadeuszu
nadzieja, że się z Premiera na Prezydenta przesiądzie — wtrąca
się literat.

— Tadeusz nigdy nie zajmie fotela Lechowi — szeptem
poseł. I póki co zapala papierosa.

— Jedyne wyjście to restaurować monarchię, ma wiele
córek, mogą być korzystne koligacje — proponuje prawnik.

— Nie będzie wtedy można grać sztuki „Z chłopca pan” —
zauważa żona literata.

Takie oto rozmowy przeplatają się z papierosowym
dymkiem w warszawskich salonach, a wszystko na brzegu
wiosny, która po cieplej bezśnieżnej zimie zakwitła chorobliwie
wczesnie i coś jest ogromnie niepokojącego w tym wczesnym
pokwitaniu i wroście, gdy nasza gospodarka poddana 50 %
recesji już nawet nie jęczy.

Zwolnienie tempa życia. Ludzie mniej jeżdżą, mniej chodzą,
mniej jedzą, nawet piją mniej wódki. Książek i pism już w
ogóle nie czytają. Za to nader energicznie poszukują nosicieli
wirusa HIV. Jak ktoś takiego wirusa nosi, to choćby siedział w
willi ogrodzonej wysokim kolczastym drutem, mieszkańcy się
zbiorą i wykurzą. Kraj, który jest dumny, że nie palono tu cza-
rownic, gdy postępową Europą ogrzewała stosami swoje salony,
zaczyna dzisiaj budować stos dla chorych na AIDS. Jako że
zawsze miałem skłonności apokaliptyczne, pocieszam się, że
podpalając go, podpalimy nie tylko stodołę, ale całą naszą za-

sraną wieś. A wydaje się, że budować będzie łatwiej od nowa na spopielalej pustyni, niż w tak rozlazłym bałaganie.

Nastał czas pretensji. Gdy ciało jest osłabione przez tyle lat niewoli, wolność bywa jak trąd. Pretensje to jeden z objawów. Wszyscy do wszystkich o wszystko. A tak naprawdę to ludzie mają pretensje do siebie samych, że jest nie tak, jak by się chciało, bo oto mamy wolność, a jest kiepsko. Szukanie winnego, albo wroga. Zawzięte myszkowanie, chociaż odciążając biedne myszy użyłbym raczej pojęcia — szczurowanie.

Ofiarą szczurowania po obu stronach padają najzacniejsi ludzie. Albo są szczurowani, albo sami szczurują. Z publicznych najbardziej ostatnio szczuruje się na Geremka, Drawicza, Paszyńskiego, Cywińską, Kuronia. No i patrzcie ludzie, czy można by wybrać zaciejszą piątkę. Jaruzelski, Kiszczak nie są w ogóle szczurowani, gdyż traktuje się ich jako niedogryzione zabytki, które mogą się jeszcze przydać, bo kiedy nie będzie już co gryźć, oni jak ta mięsista kość *ancien régime*'u zawsze są pod zębem.

Szczurowanie jest zarażliwe i ja sam, pozornie odporny na szczurowanie, ja który mógłbym w tej chwili wyliczyć tysiące zalet wymienionej zacnej piątki, też się łapię na tym zajęciu. Bronisław Geremek, moja wczorajsza miłość, doprowadza mnie do pasji. Każde jego słowo drży jak struna trącana cikliwym smyczkiem. Jego już się nie słucha, z nim się współplacze.

Andrzej Drawicz, jak się mawia apostoł miłosierdzia dla telewizyjnej nomenklatury, zdaje się być bezlitosny dla posiadających inne zdanie niż on. A oślepia wszystkich cyklopowym błyskiem swego czoła. Gdybym nie wiedział, ile dobroci i ciepła było zawsze w tym człowieku, bałbym się nawet nań spojrzeć. Wszystko to można by zaliczyć do półbiedy, ale sama instytucja telewizji zdaje się przypominać miejsce opuszczone przez ludzi, którzy mają ochotę na cokolwiek. Telewizja, usta naszego dramatu, od jej słów zależy wiele. I oto dzisiaj ona pod rządami mądrego, odważnego i pięknie mówiącego Drawicza... bełkoce.

Aleksander Paszyński już dawno zyskał opinię geniusza biznesu, supergłowy, czego dowiódł osobistymi sukcesami. Kiedy został ministrem budownictwa, było rzeczą oczywistą, że 40-letnie kolejki do mieszkań zostaną wchłonięte przez mnożące się bloki, jakby mrówkojad gigant wysłał mrowisko. I oto nagle okazało się, że Paszyński rozłożył nasze budownictwo na amen i nawet mówi się, że ma zostać odwołany.

Artyści drą szaty, że minister Izabela Cywińska wykańcza kulturę. To znaczy, że pozwala wykańczać rynkowemu walcowi. Nawet najsubtelniejsi mówiąc o tej przecznej niewieście i wybornej reżyserce teatralnej, używają słów, jakich nawet taki cham jak ja nie powtórzy publicznie. Najbardziej skaleczeni

wydają się malarze — pisarze są przyzwyczajeni, by pisać do szuflady. A oto malarze dowiedzieli się, że za pracownię będą płacić jak rzemieślnicy za lokal. Taka cena nie zarżnie tylko niepijącego malarza pokojowego, artystę plastyka zarżnie. Szykuje się więc marsz malarzy na Sejm. Ciekawe, na jaki kolor pomalują białą jak niemowlęce pieluszki świątynię naszej raczkującej demokracji.

No a w ogóle to artyści mają generalną pretensję — że państwo im nie daje. Od narodzin przodującego ustroju dawało, to się przyzwyczaili. Można nienawidzić ojca, co leje pasem i wsadza do ciemnicy za każde niegrzeczne słowo, ale wikt i opierunek, jakie tatuś dawał — do tego kulturalny człowiek przywyka. No i przyzwyczaili się wszyscy na amen. A teraz płacz i zgrzytanie zębów.

Powinno być na koniec o Jacku Kuroniu. Ale on, który co wtorek obnaża na telewizyjnym ekranie wielką czulą pierś i matkuje naszej biedzie, ma chyba jednak więcej przyjaciół niż wrogów. Dajmy więc spokój temu najzacniejszemu z zacnych. Faktem jest jednak, że i moja sympatia do niego topnieje jak góra lodowa, która niesiona okrutnym prądem oceanicznym wpłynęła na gorące wody morza wiecznych swarów.

Oj, gdzie nam do moralnego luksusu stanu wojennego. Do ówczesnych porywów serca, do słodkiego śpiewu skrzydeł naszej husarii atakującej czolgi wroga.

Teraz zamiast tego prywatne śledztwo przy kieliszku wódki:

— Czy Michnik przeszedł na ty z Kiszczakiem, czy jeszcze nie przeszedł.

— Czy prawdą jest, że naszemu ministrowi X zaproponowano od ręki czteropokojowe mieszkanie na Starówce, a on odmówił, bo szlachetny, ale inni już nie mają takich skrupułów.

A przecież ten czas jest piękny, wyjątkowy czas. Rozkoszny sen obrócił w ciało. Rozsypało się Imperium jakby dziecko rozwarło piąstkę, w której dzierżyło plik zapalek. Niektóre zapaliki mają już zwęglone główki, inne mogą jeszcze zapłonąć. A wszystko może w końcu wybuchnąć od ognia tej największej zapaliki. Kiedyś marzyłem o wielkiej, kolorowej katastrofie. Teraz już wiem, że to nudne.

W naszej telewizji pokazano, jak grupa Rumunów z niezwykłym zapalem próbuje rozbić dragami głowę leżącego Węgra. Leżący jest otyły, podtatusiały i zupełnie nie rozumiem, czemu mu nie dają spokoju, skoro już leży i nie rusza się. To jest przypis do naszej wolności, na szczęście jeszcze pisany petitem. Ale, ale..., zaraz ukazało się ostre *dementi* rumuńskiej strony, że to Węgrzy rozbijali Rumunowi. I już przerzuciłem swoją żywą

niechęć na Węgrów, gdy nagle sprostowali Węgrzy, że to właśnie jednak Rumuni. Pogodziłem się więc z faktem, że nie wiadomo kto komu, bo każdy każdemu w tej części świata może, albo móc będzie. A największe „atrakcje” szykują się w ZSSR. Kiedy byłem tam niedawno, szło ze mną pod ramię przekonanie, że tylko pomoc Pana Boga uchronić może ten rejon od gigantycznej zawieruchy, gdzie się wszyscy zjadać będą względem wzajemności, a w ukraińskim barszczu zakoiyszą się gruzińskie uszy.

A póki co w naszej telewizji co tydzień miliony Polaków leczą się, oglądając niejakiego Kaszpirowskiego, telewizyjnego psychoterapeutę (kopia zakupiona od sowieckiej TV). Najpierw obywatele ZSSR (co za gęby) opowiadają, jak ich cudotwórca uleczył, a potem ten liczy do dwudziestu — można słuchać lub nie, skupiać się lub nie. Prawie wszyscy znajomi wpatrują się w mistrza. My też, bo a nuż pomoże, nawet nasz kot kastrat patrzy — kto wie czy nie ma najważniejszej sprawy do załatwienia. Tak oto ZSSR eksportuje dzisiaj w świat nie Lenina, a Kaszpirowskiego.

A co w polityce? Nic u nas nie buzuje, ale sporo cieknie. Oto strumyczki nowej naszej nomenklatury w postaci np. nowych ambasadorów ściekają do wielkiego zbiornika starej nomenklatury. Onyszkievicz i Komorowski jak dwie krople święconej wody spadają na pancerną skorupę naszej armii. Kto tego przerobi?

Sporą sensacją jest przyjazd Zdzisława Najdera. Oto wczorajszy skazaniec, już prawie wiszący na szubienicy PRLowskiej sprawiedliwości, dzisiaj zawisł na spadochronie na wysokim szczeblu politycznej drabiny. Ubrany w strój komandosa i pchnięty dłonią Wałęsy uczynił desant na Komitet Obywatelski. Ten Komitet jest przy ciele Lecha, więc niby miał prawo, ale jakoś to okropnie brzmi, że Wujec, pełniący funkcję szefa, dowiedział się o wszystkim z gazet. Tak oto Lech szykuje sobie bazę dla przyszłej Prezydentury. Uznał on, że w ramach przygotowań warto by publicznie dać kilka klapsów Premierowi. Stało się to na zebraniu KO. Na koniec jednak dostał mniej okłasków niż Premier i wpadł w gniew wielki. Nazajutrz jednak, kiedy obejrzał w telewizji skrót spotkania, gniew zmienił mu się w panikę, że źle wypadł, i ruszył prostować. To co prostuje Lech, należałoby jednak nazywać raczej wikłaniem. W kilka dni potem wystąpił w telewizji, gdzie ludzie z ulicy zadawali mu pytania. Nieźle było tylko, gdy boksował się na słowa z cwaniaczkami z ulicy, mrużył oczka i cudowne ludowe przekomarzanki z tego wynikały. Ale w ogóle to nasza ludowa pytia lawinowo traci popularność, a jeżeli ją utrzyma, to raczej w rejonach, gdzie się niewiele myśli. Powstaje więc polityczna trąba powietrzna, aż

serce rośnie na myśl o tym, jak ta trąba będzie się przemieszczać po Rzeczypospolitej Polskiej.

Bo jak na dlań pola, mimo że jest prawie wolność. Opozycja (nie mylić z wczorajszą opozycją, a dzisiaj przy władzy) zamknięta w rezerwacie. Mogą sobie gadać, a nawet podskakiwać, i tak wiadomo, że prymitywni albo wariaci. Jak chronić ten naród przed jego własnym obrzydliwym charakterem? Oto cel, ku któremu idzie tak wielki wysiłek rządu, aż mu żyły występują na czoło i żyły występują warszawskim politykom. Jak Polaków chronić przed Polakami. Bo przecież wiadomo, że „dla Polaków można zrobić wszystko, z Polakami nic”. Coś w tym jest, coś jest, myślę sobie, ale w życiu społecznym, jak w przyrodzie, nic nie ginie, co się odwlecze to nie uciecze, zaś co się odwlecze, to wróci ze zwielokrotnioną siłą. Dajcie więc Polakom się obnażyć, pokażać wszystkie narodowe narządy, niech niewiasty mdleją, a młodzież się gorszy, to minie jak pornograficzny film. A gdy zamknie się te słabości na kłódkę w kufrze z napisem demokracja, to wtedy mogą się wykluc prawdziwe demony.

No i stało się, Wałęsa oświadczył publicznie, że włazi na fotel prezydencki. Jako że póki co siedzi tam generał, najwyraźniej włazi mu na kolana. Gdyby tak zostało, cóż za niezwykła byłaby z obu panów hybryda. A co z posłem, który miał spalić się na murach Warszawy? Na wszelki wypadek unikam Starej. Pewnie dlatego nagle ujrzałem śródmieście Warszawy i oniemiałem, bo nie wiedzieć kiedy centrum mojego miasta skalkuciało. Wilgotny od potu tłum przeciska się wśród niezliczonych straganów pełnych przekupniów. Na wzgórzach śmieci i opakowań siedzą chorzy na AIDS i żebrzą. Na jednej ze ścian widzę plakaty, gdzie nowa partia, o nazwie „atomowa”, jako swój program polityczny wysuwa żądanie, by Polska posiadała broń jądrową. „Polska atomowa przedmurzem chrześcijaństwa” — głosi hasło. Są również argumenty: „Niemcy się jednoczą, a pacyfiści chcą nas rozbroić”. Na tych „pacyfistach” ktoś dopisał „Żydy”. I nagle mi się pomyślało: Lech na Prezydenta, cóż za genialny pomysł, tylko ON nas ocali przed populistycznym wybuchem. On z ludu, lud czujący. Będzie dobrotliwym dyktatorem, jak dobry pasterz podstrzygający tak demokratyczną jak i autorytarną wełnę. I ta myśl, wbrew myślom poprzednim, trzymała się mej głowy cały dzień, aż do wieczornych wiadomości. Tam pokazali naszego przyszłego prezydenta, jak gaworzył z robotnikami w fabryce. „Zaraz się przekonamy jak jest — rzekł Lech. — Kto jest za tym, żebyśmy został prezydentem, niech podniesie rękę”. Podniosły się ręce. — „Kto jest przeciw?” — podniosły się tylko trzy ręce. — „A widzicie” —

triumfował Wałęsa. I pomyślałem: O Jezu, ja bym tak chciał, ale nie potrafię Go chcieć.

A teraz coś z naszej politycznej biologii. Dawna nomenklatura wyhodowała dwa gatunki aparatczyka. Typ stary, wywodzący się z czasów stalinowskich, który do dziś przeszedł niewielką tylko ewolucję. Przysadzisty osobnik, oblicze kartoflane, cera alkoholiczna, nadwaga.

Ciepły klimat lat 70-tych, otwarcie na Zachód, szelest dolara zrodziły drugi gatunek, nazwijmy go „partyjny cwaniaczek”. Dobrze ubrany, czasami nawet posiada języki, giętki, jakby zamiast kręgosłupa miał cynowy drut.

Nowa nomenklatura pracuje nad nową rasą. Nazwijmy ją „logiczny czystoszek”. Wykształcenie na ogół prawnicze lub ekonomiczne, sylwetka smukła, twarz pociągła, raczej bez wyrazu, obowiązkowe okulary. I co bardzo charakterystyczne — nieustanne bieganie, by umyć ręce. Zamilowanie do matematyki i prawa, logiczne myślenie. Ta logika niestety nijak się ma do stanu rzeczy, bo nasz stan rzeczy jest nielogiczny, to szambo. I te czyste ręce, nad którymi czuwa głowa, by się nie zabrudziły. Ci ludzie zajęci swoimi teoriami nie zauważają nawet bagna na dole, a stara nomenklatura im nie przeszkadza, bo to właśnie na jej barkach nowi siedzą, a nawet chodzą, by się nie unurzać.

Są też nowe podgatunki, np. typ długowłosa (kiedyś przelotny romans z hippizmem). Duża umiejętność przystosowania się. Ma więc szansę, by poprzez przyspieszoną ewolucję, obcięcie włosów, okulary, dobre mydło, dołączyć do gatunku „logiczny czystoszek”. Jak również do każdego innego gatunku. Może nawet zostać sobą, będąc zarazem kimś innym. Typ długowłosohippisowski nie posiada bowiem, wbrew pozorom, wyraźnie ukształtowanego charakteru, a dziwactwa zewnętrzne mają ukryć wewnętrzną niewyraźność.

W korytarzach ministerstwa poznaje się te wyhodowane przez władzę stare i nowe gatunki od pierwszego rzutu okiem. „Oni się teraz łączą w jedno — mówi mój znajomy — stara nomenklatura z nową, jakby ktoś do kawy dołał śmietanki i począł mieszać srebrną łyżeczką”.

Sensacja. Prasa donosi, że ocalało jednak wiele ubeckich teczek, że nie zdążyli tego spalić i przezuć, szczególnie na Śląsku słabo się starali, mają pewnie zęby rozcchiwane przez *pollution*. Zaczął się w tym wszystkim grzebać minister Kozłowski, równie intensywnie mu tego zazdroszczę, co współczuję, i potem oświadczył. „Bo są dowody w kartotekach, że istnieje grupa ludzi — nie chcę określać jej wielkości — która została przez resort złamana”. Dalej Kozłowski mówi, i tu go serdecznie ściskam za mądrą uczciwość, że tych nazwisk nie wolno

ujawniać, by nie rzucić tych ludzi po raz drugi na dno. Na koniec stwierdza, że ci, co mają nieczyste sumienie, a są na stanowiskach, niech się po cichu wycofają. Brawo, tak trzymać. O wiele mniej mi się podoba, że do warszawskich katakumb ubeczkich zesłali dzierżąc w dłoniach naukowe świeczki profesor Jerzy Holzer i magister Adam Michnik. Siedzą tam w dzień i w nocy i szperają. Holzer pół biedy, świetny historyk przede wszystkim, i ma w sobie coś z miłego księdza, ale Pan Adam... słynny ze swej „dyskrecji”, uwikłany w polityczne harce, co on tam na Boga wyczyta, aż mi ciarki po plecach łążą i próbuję sobie w panice przypomnieć całe swoje życie.

Nasza wolność — należy ją pić duszkiem, zatykając nos i starając się nie czuć smaku. „Teraz dopiero jest okropnie, teraz jest nie do zniesienia” — mówią ludzie odmieniając te zdania na różne sposoby. Z Zielonej Góry, z Grudziądza, ze Szczecina i z wiosek, których nazw nikt nie spamięta zjechali do stolicy na święta Wielkanocne ludzie, do tych, do tamtych sąsiadów, i przywieźli wieści, że Polska jest rozkradana, że kwitnie rozbój, a załatwić cokolwiek w urzędzie trudniej niż kiedykolwiek. I że już wszyscy mają wszystkiego dosyć.

Niczego tak jeszcze nie chwalono, no może niegdyś sukcesy gospodarcze przodującego ustroju oraz jego inne uroki, jak dzisiaj się chwali nasze społeczeństwo. Za cóż to? Za cierpliwość, że jest ciężko, a ono nie wybiega na ulicę, by gwałcić ład społeczny. W szumie tych pochwał nikt nie usłyszał, że ono już straciło cierpliwość. Nie wie tylko, czym i w co uderzyć.

Gdy co najmniej trzech moich znajomych mówi niemal to samo od siebie niezależnie, siadam, by zapisać jeden z tych głosów. „W tym kraju wszystko się rwie, niczego nie daje się skończyć, więc każda praca wydaje się bez sensu. Kiedy szukam czegoś w encyklopediach i słownikach, wiem, że jeśli hasło zaczyna się na dalszą literę alfabetu, jest mała szansa, że twórcy książki zdążyli je zawrzeć”.

I ja to czuję z pełną mocą, że nowy czas, który jest dopiero na pierwszych literach, nie wejdzie daleko po schodach alfabetu.

SMECZ

Sprawy i troski

Życie w luce

Poznany w czasie nagrania w warszawskim radio młody poeta, dowiadując się, że mieszkam w Berlinie Zachodnim, mówi, że owszem, zna to miasto, był tam przed kilku miesiącami i czuł się tam dokładnie jak u siebie w domu, w Zielonej Górze. Tak może powiedzieć każdy, kto pochodzi z zachodnich terenów Polski — w Berlinie byli już chyba wszyscy: przybyszów z Polski liczy się tu w ciągu miesiąca setki tysięcy, niektórzy potrafią się już doliczyć nawet miliona. Odległość niewielka — niektórzy zresztą jeżdżą tu stale i nawet, jak się przechwalają, po cztery razy na ten sam bilet, gdyż dosłownie nikt, bywają takie dni, nie jest w stanie tych biletów sprawdzić. Niektórzy z kolei jeżdżą bez biletów — daje się „w łapę” konduktorowi, jest już jakaś stała taksa za taką przysługę. Ładują się więc do wypełnionego po brzegi pociągu popularnie nazywanego „Szmuglerem”, ładują wraz z sobą towar i jadą w wielki świat. Nawet jak zarobią jedynie 100 marek, to już przecież ponad pół miliona złotych, na które trzeba pracować czasem nawet trzy tygodnie.

Żyją w luce, gdyż tylko tak to się da określić. Jest to, oczywiście, luka na polskim, odbudowującym się rynku. Wysiadają na dworcu ZOO i stamtąd już niedaleko do przedwojennego centrum Berlina, do Anhalter Bahnhof, przy którym mieści się słynny już w całym mieście „polski pchli targ”. Duży, nieogrodzony plac, przy którym władze miasta postawiły kilka kontenerowych toalet, z których osobiście nie radzę korzystać nikomu przy zdrowych zmysłach. Plac po horyzont — a jest dość duży — wypełniony jest naszymi rodakami uprawiającymi handel naziemny: człowiek koło człowieka, siedzą na ogół na przywiezionych ze sobą stołeczkach turystycznych, składanych, lekkich i nie zabierających w transporcie wiele miejsca, towar zaś rozkładają wprost na zbitej na polepę ziemi. Wąskie przejścia

między szpalerami handlarzy wypełnione są kupującymi. Można dostać niemal wszystko — od polskich papierosów i wódki po sowieckie szampany i sorty mundurowe. Węgierskie przyprawy, kieliszki z kolorowego szkła, rzeźbione własnoręcznie drewniane światełki, haftowane obrusy, gwoździe i młotki, czeska biżuteria, wschodnie marki, złotówki i ruble — trudno wszystko wyliczyć, gdyż wszystkiego po prostu wyliczyć się nie da. Kurz, zmęczone, wymięte i niedogolone twarze. Niektórzy przyjechali nawet z daleka — z Białegostoku, z Przemyśla. Przede wszystkim polska prowincja.

Berlin stanowi lukę w murze ograniczeń wizowych. Wizy nie trzeba — wystarczy wygrzebać paszport z szuflady, kupić bilet i jechać! Żadnego wypełniania formularzy, tłumaczenia się z tego do kogo i na jak długo. Jedzie się więc do tych „Szwabów”, bo blisko. Trochę w tym ryzyka, bo „Szkopy” lubią od czasu do czasu zorganizować na dworcu obławę celną. Gromadzą wtedy setki worków wszelkiego dobra, które tym samym przepada na zawsze — nie da się tego odzyskać w żaden sposób. Ale bez ryzyka nie ma życia, kto handluje...

Szczególnie w końcu tygodnia Berlin wypełnia się przyjezdnymi. Nie tylko Polakami zresztą, gdyż wciąż jeszcze ciągną tu rzesze obywateli NRD, którzy też zresztą — nie ma co ukrywać — żyją w luce i sprzedają na pchlich targach dotowane w swym kraju towary: długo to już zresztą nie potrwa. Ale za to uważają Polaków, ze wzajemnością zresztą, za konkurencję, ci bowiem często po drodze, właśnie w Berlinie wschodnim, uzupełniają swe zaopatrzenie handlowe, korzystając, podobnie jak tubylcy, z błogosławieństwa komunistycznych do niedawna dotacji.

Zachód w porozumieniu z NRD szykuje się podobno do odparcia tego polskiego *Drang nach Westen*. Coraz bliższe paniki głosy powtarzają wiadomość o tym, że — by przejechać przez NRD — trzeba będzie się zwracać o wizę. Ale czy na pewno? Póki co, do Berlina jedzie się bez wizy, miasto jest otwarte, dotychczasowe przepisy nadal obowiązują. Nasila się jedynie od czasu do czasu — ale nie w takim stopniu, jak to sugerują krajowe artykuły jednodniowych reporterów stykających się z najbardziej drastycznymi przypadkami — kontrole celne i policyjne. Wbijają się do paszportów „turystów” winnych wykroczeń słynne „misie”. „Misia” boi się każdy, tym bardziej, że w niemieckim ferworze prowadzonej właśnie „akcji” zdarza się, że pieczętka z podobizną tego zwierzątka zamieszkującego herb Berlina wbita zostaje do paszportu Bogu ducha winnego przypadkowego przechodnia, a odwołać się od tego praktycznie nie sposób — w masie przypadków trzeba by mieć czas i środki po temu, by udowodnić, że się nie jest wielbiędem. Niby gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą, ale w tym wypadku dość często

odpowiedzialne służby wykazują się wyraźną nadgorliwością, pośpiechem, w niektórych wypadkach nawet — jeśli rzeczywiście wierzyć poszkodowanym — brutalnością. W to ostatnie wierzę bez zbytniego przekonania, wiem bowiem skądinąd, że trzeba wiele dokonać, by pobudzić tutejszego policjanta do rażącej brutalności, zaś trudno od kogoś wykonującego ten zawód wymagać z kolei, by zachowywał się jak opiekunka w żłobku dla dzieci upośledzonych.

Należy zresztą podkreślić, że większość przyjeżdżających tu handlarzy po prostu nie wie, o co w tych — jak je nazywają — „łapankach” chodzi. Nie odróżniają handlu od szmuglu i spekulacji, zaś w polowaniach przeciw sobie upatrują po prostu kolejne przejawy odwiecznej wrogości Niemców wobec potomków Piasta i Rzepichy, z mlekiem matki wyssanej nienawiści „do wszystkiego, co polskie”. Dają zresztą temu wyraz w niewyszukanych epitetach, którymi obdarzają swych berlińskich gospodarzy w czasie głośnych rozmów w matrze czy — rzadziej, bo drogo — knajpie. Jest oczywiste, że nie widzą całości zjawiska, tylko swój własny przypadek lub sprawę znajomego Józka, któremu właśnie te „niemieckie hycle, panie, cały towar zabrały”.

Cała ta historia zresztą ma już swoją legendę. Jeszcze rok temu przyjazd 20 tys. Polaków w czasie końca tygodnia uważano tu za najazd, z tym mało kto potrafił sobie poradzić. Już wówczas zaczęły się też owe „łapanki”, nie było jeszcze „polskiego targowiska”, trzeba było bądź płacić placowe, bądź handlować nielegalnie — po bramach, parkach, stacjach kolejki miejskiej, gdzie się dało. I już był problem — tak dla samych Polaków, jak dla Niemców. Z czasem okazało się to dopiero przedsmakiem wielkiej gry w szmuglerów i policjantów, wstępnym rozpoznaniem. Z czasem do zabawy przyłączyły się niektóre polskie towarzystwa turystyczne, organizujące dwu- i trzydniowe „wycieczki” do Berlina Zachodniego. Zaczęły się też pojawiać w prasie niemieckiej artykuły o handlowaniu przez Polaków towarami, których nie sposób dostać w kraju. Szczególne oburzenie budził fakt handlu żywnością w czasie, w którym Niemcy Zachodnie wraz z całą Wspólnotą Europejską organizowały transporty jedzenia do Polski. Coś się tu nie zgadzało. Ale prawdę mówiąc, wszystko to było ledwie załączkiem tego, co widać dzisiaj.

Chodzi nie tylko o ilość polskich najeźdźców. Chodzi o to, że na tym „życiu w luce” zaczęły też — i to zupełnie niezłe — zarabiać niektóre firmy niemieckie. W ciągu ostatnich kilku miesięcy w pobliżu dworca powstała cała sieć małych sklepików specjalizujących się wyłącznie w sprzedaży dla Polaków. Znany już od lat Toni-Shop, w którym kupowało się tanie telewizory,

radia, video i inną masówkę elektroniczną, to w tej chwili jeden z dziesiątków podobnych sklepików. U Toniego kupowali zresztą wówczas przede wszystkim afrykańscy studenci przyjeżdżający tu w czasie przerw w zajęciach na sowieckich uczelniach. W takim okresie do pociągu jadącego na wschód nie sposób było — jak dziś codziennie — wcisnąć buta (nawiasem mówiąc polecam turystom odległy od centrum dworzec przy stacji Wannsee, gdzie paryski pociąg zatrzymuje się wcześniej niż na ZOO i gdzie od biedy można jakoś po ludzku się zabrać, zwłaszcza, że jadący do Berlina pasażerowie właśnie po minięciu tej stacji zaczynają zwalnianie miejsca). To właśnie przed laty, jadąc takim wypakowanym czarnoskórymi studentami i zalegającym pod sufit towarem pociągiem, usłyszałem wycedzone przez wschodnioniemieckiego celnika przekleństwo; *Afrika-Express, verdamnt noch mal!* Dziś, jak ktoś mi powtórzył, nazywa się to *Polacken-Zug*, co wydaje się dużo bardziej obraźliwe i takie w istocie ma być. Ale tym razem odnosi się do obu kierunków jazdy.

Siatka sklepików z godnym podejrzenia chlaniem elektronicznym spekuluje — podobnie zresztą jak polscy handlarze — nie tylko na różnicach kursów i przedziwnych przeliczeniach, lecz przede wszystkim na zapóźnieniu cywilizacyjnym Polski. Nic w tym dziwnego, gdyż w kraju nadal „kolorowy telewizor” jest znamieniem dostatku, zaś „pralka automatyczna” wciąż jest określeniem luksusu. To jest ta kolejna luka — luka cywilizacyjna — w której żyją handlarze, ale już ci bardziej przedsiębiorczy, którzy nie jeżdżą pociągami z „tym całym motłochem” i którzy w ciągu kilkunastu miesięcy zbili na swym procederze wcale niemałe, również jak na stosunki zacofanie, pieniądze. Oni tylko przyjeżdżają załatwić „przerzut towaru” — najczęściej samochodami, nierzadko, dla oszczędności czasu, samolotem. Bilet lotniczy Warszawa-Berlin-Warszawa kosztuje 200 tys. złotych, co w przeliczeniu równa się ok. 40 markom zachodnim. Lecąc z jednym z nich usłyszałem, że „drobnica” go po prostu nie interesuje — on musi w każdej chwili móc wyjąć z kieszeni, a nie z konta bankowego, 50 tys. marek, a i to, jak podkreślił, „nie są żadne pieniądze”. I trzeba to sobie otwarcie powiedzieć, że właśnie, nie licząc wypadków — kapitalistycznym fortunom w kraju, w którym dokonuje się rekonstrukcji kapitalizmu bez kapitału.

Gdy się to wszystko obserwuje w ciągu ostatnich kilku czy nawet kilkunastu lat, widać, że ów „kierunek Berlin” (szerzej: Republika Federalna) to zjawisko, które ma głębsze niż się na ogół przypuszcza korzenie. Patrząc z dzisiejszej tylko perspektywy widzimy jedynie stada koczujących w samochodach i na dworcach polskich drobnych spekulantów, tych, którzy jadą w

końcu tygodnia, by przez niedzielę próbować zarobić drugą krajową pensję. Brudnych, zakurzonych, klnących co drugie słowo i na ogół z daleka zalatujących kwaśnym odorem nieprzetrawionej jeszcze wódeczki. Nie jeździliby jednak tak ochoczo, gdyby nie wiedzieli o istnieniu tych, którzy na trasie do Berlina dorobili się fortun. Ci jednak, też spekulanci, lecz z klasą i nierzadko z fasonem, podejmujący nieraz duże ryzyko (na które ich jednak stać, mogą sobie pozwolić na stratę tysięcy) mają w Berlinie oparcie w tych, którzy zjawili się tu wcześniej i przez lata zadomowili. To stosunkowo nieliczna emigracja i bardzo liczna grupa „późnych przesiedleńców” końca lat siedemdziesiątych i całej ósmej dekady.

To, co teraz napiszę, w żadnym wypadku nie dotyczy wszystkich ludzi z tej grupy, niemniej odnosi się do sporej jej części. Bo choć emigracja polska lat osiemdziesiątych może poszczycić się w Berlinie wieloma osiągnięciami i rzeczywistymi karierami, to przecież nie ona nadaje ton życiu „polskiego Berlina”. Gdy się wie, że w tym mieście przebywa na stałe kilkadziesiąt tysięcy osób, które jeszcze niedawno legitymowały się wyłącznie polskim paszportem (dziś większość z nich ma papiery niemieckie, zaś obok tego peerelowski wynalazek w postaci „paszportu konsularnego”, z którym jeżdżą na wakacje czy w interesach do kraju), może wydawać się dziwnym, że sukcesem księgarni polskiej w tym mieście jest sprzedanie kilkunastu egzemplarzy głośnej książki. Ale tak właśnie układają się proporcje. Te kilkanaście egzemplarzy to symbol aktywności polskich środowisk wychodźczych — wydawnictw Veto i Poglądu (przedtem także i Archipelagu), Klubu Inteligencji Katolickiej czy innych instytucji. Reszta żyje w luce między Berlinem i Polską i ta właśnie reszta stanowi zaplecze dla „wielkiego handlu”, który nie tak znów rzadko czerpie także ze zwykłych kradzieży. Znany jest wypadek aresztowania w Berlinie szajki złodziei samochodów, które następnie „przerzucano” do kraju. „Polska szajka” jednak, gdyby się temu bliżej przyjrzeć, okazałaby się z powodzeniem „szajką niemiecką”, gdyż spora część jej członków to ludzie, którzy przyjechali tu jako Niemcy właśnie.

Podobnych zjawisk można by znaleźć więcej. Spisy ludności Berlina nie wyszczególniają kategorii „spóźnionych przesiedleńców” — wszyscy oni spisani są jako Niemcy. Stąd oficjalna liczba Polaków w tym mieście sięga ledwie kilkunastu tysięcy, co jest zarazem prawdą i nieprawdą. W każdym razie na pewno statystyki nie są w stanie oddać „polskości” zasiedlenia tego miasta. Jakież 80% tych ludzi nie tylko nadal utrzymuje — jak każda emigracja zarobkowa, bo do niej się w istocie zaliczają — kontakty z rodziną i znajomymi w kraju, nie tylko jeździ do Polski na tanie wakacje, lecz w dużej mierze uczestniczy w

owym polskim handlu — na małą i na dużą skalę, jako klienta i jako jedno z ogniw handlowego łańcucha. I o tym wszystkim warto pamiętać wówczas, gdy się na ten temat mówi. Pamiętać też trzeba o tym, że nie da się nawet z przybliżonym prawdopodobieństwem ustalić skali tego skomplikowanego z wielu względów zjawiska. Jedno wszakże nie ulega wątpliwości — do głównych czynników, które przyczyniły się do jego rozrostu, należy konstrukcja prawa niemieckiego nastawionego dotąd na ściąganie wszystkich, którzy — jak to powiedział swego czasu złośliwie jeden z niemieckich urzędników — potrafią udowodnić, że mieli w rodzinie owczarka alzackiego.

Niemcy, rzecz jasna, z różnych względów nie chcą się wprost do tych okoliczności odwoływać, niemniej pozostaje faktem, iż ta zasiedziała zarówno w Berlinie, jak w Republice Federalnej grupa, która zdecydowała się na wyjazd z Polski „na niemieckich papierach” — oczywiście, nie cała, i przede wszystkim dotyczy to przybyszów z okresu po wprowadzeniu stanu wojennego — tworzy tutaj swoistą „polską infrastrukturę”, przy czym fakt, iż posiadają oni niemieckie obywatelstwo, ułatwia wiele problemów. Przy czym owa „polska infrastruktura” — przede wszystkim nieformalna sieć kontaktów i wymiany informacji, ale nie tylko, także bowiem „przerzutu towaru” (jak choćby ostatnio, gdy przed podniesieniem ceł za alkohol dla cudzoziemców właśnie z Niemiec nadszedł do Polski największy transport) — dotyczy nie tylko handlu, lecz także i rynku pracy „na czarno”, na którym Polacy są cenionymi (a także niezwykle tanimi) robotnikami budowlanymi.

Rzecz jasna, że w tej masie ludzi, którzy przyjeżdżają do Berlina z Polski odnaleźć można także tzw. „element”. Nie jest w końcu tajemnicą, że zachodniobierlińskie prostytutki podnoszą coraz większy alarm w związku z niezwykle tanią konkurencją przyjeżdżającą na gościnne występy ze wschodu — przede wszystkim z NRD, lecz przecież również i z Polski. Nie brak w tej masie także złodziei — od tych, którzy zadowalają się obrabowaniem samochodu z radia i głośników, po tych, którzy po prostu biorą samo auto. Już przed laty, w połowie dekady, głośno było o wyspecjalizowanych szajkach, które rabowały w supermarketach nieraz zresztą wcale pomysłowo, jak choćby wynosząc w pełnym świetle reflektorów całe wieszaki skórzanych kurtek — robili to przebrani w kombinezony pracownicze. Drobne kradzieże Polek pracujących na czarno w dużych domach towarowych jako nocne sprzątaczkę należą do porządku dziennego, o czym się miałem zresztą sposobność przekonać niemal naocznie. Jest też oczywistością, że złodzieje wpadają na swym procederze, przypuszczam zresztą, że raczej w niewielkim procencie, niemniej wystarczy tego, by wokół przyjeżdżających

do Berlina Polaków wytworzyć dość nieprzyjemną atmosferę.

Biorąc pod uwagę ogrom tego zjawiska, pamiętając też, że nie tylko na berlińskim szlaku polscy „turyści” natrafiają na kłopoty z policją i służbami celnymi, należy się dziwić, że wciąż jeszcze w Niemczech traktuje się to wszystko jako problem marginalny. Pamiętając wszakże o okolicznościach i korzeniach tego wszystkiego, nie sposób nie przyznać im racji: gdyby zaczęli sprawę „rozrabiac” i dochodzić do jej jądra, musieliby wyciągnąć niewygodną dla siebie sprawę roli także sporej części „późnych przesiedleńców”, a więc — było nie było — własnych obywateli, przyjmowanych w dodatku, wedle wszelkich nakazów władz, „z otwartymi ramionami”. Myślę, że w kontekście tych wszystkich uwarunkowań można bez obawy popełnienia większego błędu założyć, że policja reaguje w zasadzie jedynie w wypadkach jaskrawych wykroczeń. A że i tych jest niemało, także musi się zdarzać, że „przy okazji” dostaje się niewinnym.

Sprawa jest oczywiście przykra dla obu stron — polskiej i niemieckiej. Widoków na racjonalne rozwiązanie tego problemu — póki istnieje luka, w której można żyć — raczej nie widać. Samo zjawisko zaliczyć należy w końcu do najbardziej naturalnych na świecie, choć też — jak niektóre zjawiska naturalne — do wstydlivych. Larum podnoszone od czasu do czasu w prasie krajowej, a dotyczące drastycznego szykanowania Polaków w Berlinie — choć w poszczególnych, konkretnych wypadkach może i uzasadnione — jest strzelaniem kulą w płot. Ilu tych rzeczywiście szykanowanych w zestawieniu z tymi, którym „się udało”? Policzyć można prawdopodobnie w promilach. Nie znaczy to, że problem nie istnieje i że władze polskie nie mają powodów do podejmowania kroków w obronie swych obywateli — jak najbardziej, lecz wówczas, gdy każda sprawa traktowana będzie indywidualnie.

Jak szuszenie zauważyła po wizycie w Berlinie Zachodnim pani minister Izabela Cywińska, odwiedziny na „polskim pchlim targu” do przyjemnych nie należą i budzą przede wszystkim uczucie wstydu. Lecz to tylko jedna strona tego medalu. Drugą jest jarmark, w jakiś sposób do tego pchłego targu podobny, który można zobaczyć niedaleko Ministerstwa Kultury — na Marszałkowskiej przed Domami Centrum. To w końcu ci sami ludzie. Właśnie wrócili z Berlina.

Leszek SZARUGA

Polskie archiwalia w Instytucie Hoovera

ŚWIADECTWA ZBRODNI

Zbiory dokumentów polskich w Archiwum Instytutu Hoovera przy Uniwersytecie Stanford w Kalifornii zawierają kluczowe dane, dotyczące planowej eksterminacji i masowej martyrologii narodu polskiego pod sowiecką okupacją w latach 1939-1943. Bogatsza dokumentacja na ten temat, o ile jeszcze istnieje, kryć się może jedynie w utajnionych archiwach NKWD Związku Sowieckiego.

Zbiory polskie Instytutu Hoovera mówią nie tylko o losach Polaków, choć o nich przede wszystkim, ale też Litwinów, Białorusinów, Żydów czy Ukraińców, współtowarzyszy gehenny. Dokumenty te potwierdzają fakt wymordowania setek tysięcy ludzi: mówią o mechanizmach niewolniczej pracy w sowieckich obozach, o masowych zgonach z głodu, zimna, braku pomocy lekarskiej; są świadectwem niszczenia z premedytacją człowieczeństwa w skali jednostek i narodów dla obłędnej idei opanowania świata. Ten aspekt ma wymiar prawnego oskarżenia oraz ostrzeżenia przed ludzką degradacją. Inny wymiar tych dokumentów niesie w sobie nakaz pamięci o ludziach, którzy znaleźli się na „niehumanitarnej ziemi”.

Materiały archiwalne Hoovera zawierają tysiące nazwisk, podają miejsca pobytu, dane o przemieszczeniach członków rodzin, ujawniają nazwiska i okoliczności osób pomordowanych i zmarłych na wygnaniu. Jedną z najpilniejszych, bieżących spraw jest pytanie o tych, którym nie udało się wyrwać z więzień, obozów i zesłań wraz z Armią Andersa i w trakcie dwóch akcji repatriacyjnych, po umowach w lipcu 1945 roku i w marcu 1957 roku. O tych, którzy może jeszcze żyją; o tych, którzy byli wtedy dziećmi i dziś tam jeszcze są. My, Polacy, musimy zrobić wszystko, aby odpowiedzieć na te pytania tak szybko i tak dokładnie, jak to jest tylko możliwe.

Na podstawie polskich zbiorów w Archiwum Hoovera w znacznym rozmiarze uda się ustalić miejsca masowych mordów Polaków, opublikować częściową choćby listę ofiar, zebrać nazwy miejscowości i nazwiska ludzi, którzy wtedy tam przebywali i tych, którzy pozostali. Z dokumentów tych dla wielu polskich rodzin wyrasta odpowiedź na pytanie, co stało się z ich

najbliższymi. Świadectwa te ukazują też skalę masowej zbrodni i sposób jej dokonania na narodzie polskim.

Archiwalne i biblioteczne materiały polskie w Hooverze stanowią około 5% wszystkich zbiorów, a jest ich w Instytucie — 1,6 miliona tomów i 4.000 zespołów archiwalnych. Chronologicznie sięgają od papierów carskiego ministra spraw polskich z lat 1860, W.P. Platonowa, po bogatą kolekcję niezależnych wydawnictw „Solidarności”. Pozostawiając inne dokumenty na boku, chcę zasymalizować tu jedynie wagę kilku ogromnych zespołów dokumentarnych, dotyczących spraw polsko-sowieckich i losu Polaków po 17 września 1939 roku*.

1. Zespół dokumentów ambasadora Rzeczypospolitej Polskiej w Stanach Zjednoczonych w czasie II wojny światowej, Jana Ciechanowskiego, został zdeponowany w 1945 roku i zawierał archiwa ambasad, m.in. waszyngtońskiej, londyńskiej i moskiewsko-kujbyszewskiej. Z tego zespołu papierów, rozdzielonego obecnie na kilka zbiorów, najwięcej informacji o Polakach w Związku Sowieckim przynieść winien tzw. „kujbyszewski” zawierający m.in.: listy rejestracyjne, kwestionariusze, petycje, korespondencje, protokoły itp. dotyczące deportowanych Polaków, pomocy finansowej dla nich, wnioski paszportowe, listy od zesańców. Jest też tutaj kartoteka 5.500 Polaków zmarłych na terenie Związku Sowieckiego przed i po „amnestii” z 30 czerwca 1941 roku. Jest około 1.000 oryginalnych relacji o własnych przeżyciach. Autorami ich są dorośli i dzieci. Tu też są sprawozdania aresztowanych w połowie roku 1942 mężów zaufania i delegatów Polskiego Wydziału Opieki Społecznej. Materiały „kujbyszewskie” mieszczą się w 54 pudłach archiwalnych. Zbiór nie posiada zadowalającego inwentarza. Przewodnikiem po nim jest bardzo ogólny opis zawartości pudeł. Brak indeksów osobowego, rzeczowego i geograficznego.

2. Zespół dokumentów generała Władysława Andersa, zdeponowany w 1946 roku, na który składają się archiwa Biura Dokumentów 2 Korpusu oraz materiały dotyczące organizacji Armii Polskiej w Związku Sowieckim i na Bliskim Wschodzie. Zbiór ten, zgrupowany w 110 pudłach, zawiera m.in.: akta wewnętrzne Biura Dokumentów, 18.304 indywidualne relacje więźniów, jeńców i zesańców opowiadających o losach swoich i innych. Na podstawie tych relacji utworzono ogólny indeks rzeczowy (bez miejscowości) oraz dwie kartoteki personalne w ukła-

*. Część danych przytaczam za: Maciej M. Siekierski: „Biblioteka i Archiwum Instytutu Hoovera przy Stanford University (Kalifornia)”. Za: *Pamiętnik literacki*, Tom XIII, Londyn 1988, s. 29-30.

dzie alfabetycznym. Jedna dotyczy osób referujących, tych, które dotarły na Zachód, druga zamordowanych, zmarłych oraz tych, które najprawdopodobniej pozostały w Rosji. Wstępna penetracja materiałów sugeruje, że indeksy te nie obejmują wielu informacji zawartych w kolekcji Andersa — danych dotyczących osób i miejsc kaźni; obie stanowią jednak pokażny punkt wyjścia dla uzupełnienia kartotek z kolekcji Andersa oraz punkt odniesienia dla danych z innych, pozbawionych zupełnie indeksów, kolekcji. Zbiory Andersa posiadają też bardzo wąską kartotekę osób podejrzanych o kolaborację z NKWD oraz, tak samo nieliczny, spis sowieckich pracowników administracji obozowej i więziennej. 35 pudeł dokumentów posiada 55 pudeł indeksów kartkowych sporządzonych przez Biuro Dokumentów i częściowo uzupełnionych dodatkowymi spisami później, w latach 1951-52, przez Bibliotekę Kongresu, gdy większość zbioru Andersa była udostępniona tej instytucji jako podstawa do studium o sowieckich obozach pracy. Wąski przewodnik po ankietach i relacjach dotyczy tylko tych pozycji, które wzięła pod uwagę Biblioteka Kongresu dla interesującego ją tematu. Obecny inwentarz jest mało czytelnym zlepkiem kilku wcześniejszych spisów. Mimo istnienia niepełnych, choć często dość szczegółowych indeksów, systematyczne korzystanie ze zbioru jest praktycznie niemożliwe bez dostępu do magazynu Archiwum.

3. Zespół dokumentów ministra Aleksandra Zawiszy, przekazany w 1959 r. do Instytutu Hoovera, mieścił w sobie dokumenty Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Ministerstwa Informacji i Dokumentacji Rządu Londyńskiego. Dokumenty te podzielono. Zbiór Ministerstwa Informacji i Dokumentacji ulokowany jest w 231 pudłach, w których od 84 do 202 zgromadzono wyłącznie dokumenty dotyczące okupacji sowieckiej i losu Polaków. Co nie znaczy, że w pozostałych świadectwach tych nie ma. Zbiór ten zawiera m.in.: raporty o deportacji Polaków, około 12.000 indywidualnych sprawozdań i kwestionariuszy z podziałem na okręgi, raporty zesłanych Żydów, kolekcje relacji dziecięcych, materiały dotyczące obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie, około 30 obszernych pamiętników i dzienników z obozów, więzień i miejsc zesłania. Zbiór ten nie posiada żadnych indeksów osobowych, rzeczowych czy geograficznych. Nie posiada też zadowalającego inwentarza. Podobnie jak przy kolekcji „kujbyszewskiej”, przewodnikiem po tym zespole dokumentów jest bardzo ogólny opis zawartości pudeł.

Drugi człon powyższego zespołu stanowią dokumenty ministra Aleksandra Zawiszy, jako dokumenty Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Mieszczą się one w 542 pudłach, które w zasadzie pozostały nieuporządkowane. Jedyнным przewodnikiem

po archiwum MSZ jest ogólny spis zawartości skrzyń, w których przed trzydziestu laty materiały te przetransportowano do Stanfordu z irlandzkiego Dublinu, gdzie przechowywane były w pierwszych latach po drugiej wojnie.

Wyżej wymienione zbiory stanowią w sumie 937 pudeł archiwalnych zawierających każde od kilkunastu do kilkuset dokumentów z ogromną ilością informacji o pojedynczych losach, gehennie, życiu i śmierci Polaków pod okupacją sowiecką.

Należy założyć, że źródłami informacji o losach Polaków w ZSSR będą też zbiory dokumentów poszczególnych ambasad, materiały Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (16 pudeł), Polskich Sił Zbrojnych — Armii Polskiej na Wschodzie (20 pudeł), raportów Rady Ministrów (3 pudła) i Rady Narodowej (11 pudeł).

Nie można też zostawić na boku dwóch innych ważnych zespołów dokumentów:

4. Zbiór Stanisława Mikołajczyka (218 pudeł), zdeponowany w Archiwum Hoovera w 1979 roku. Dokumenty z tej kolekcji nie stanowią bezpośredniego źródła dla pokazania losu deportowanych Polaków, ukazują natomiast kulisy przesileni w stosunkach polsko-sowieckich tego okresu oraz kontekst ustaleń jałtańsko-teherańskich. Kolekcja Mikołajczyka zawiera m.in.: raporty o deportacjach i życiu Polaków na wschodnich terenach. Rysuje też stanowisko Zachodu.

5. Zespół dokumentów generała Bora-Komorowskiego, zdeponowany w latach 1948-50, zawiera około 30.000 dokumentów związanych z historią Armii Krajowej, umieszczony jest w 5 pudłach archiwalnych oraz 10 rolkach mikrofilmów. Nie posiada on inwentarza, który pozwoliłby stwierdzić, w jakim stopniu duplikuje on lub uzupełnia londyńskie zbiory Studium Polskiej Podziemnej.

Osobą odpowiedzialną za zbiory archiwalne i ich udostępnianie jest kierownik Archiwum:

Ms. Anne Van Camp, Archivist,
Hoover Institution, Stanford, California 94305 USA,
tel.: (415) 723-3563

Co trzeba zrobić? Postanie.

Kolekcje te stanowią własność Instytutu Hoovera. Tu, w miejscu przyjaznym i bezpiecznym, zostały złożone wolą indywidualnych decyzji i wolą Rządu Polskiego na uchodźstwie — po

odstąpieniu go przez aliantów po 1945 roku. Tu zostały zabezpieczone, wstępnie uporządkowane i udostępnione badaczom. Ze względu na bezpieczeństwo, miejsce ich tutaj jest najważniejsze. Herbert Hoover, fundator Instytutu, był przyjacielem Polaków, inicjatorem wielu akcji humanitarnych na rzecz Polski po I wojnie światowej, przeciwnikiem decyzji jahańskich. Początkowo materiałami opiekował się jeden z organizatorów pomocy dla Polski i autor książki o walkach Polaków o niepodległość, dyrektor Instytutu Hoovera, profesor Harold Fisher, przy współpracy Jana Karskiego i Józefa Garlińskiego. Później pieczę nad zbiorami przejął Witold Sworakowski, kurator a następnie zastępca dyrektora Instytutu. Współpracowali z nim m.in.: bibliograf Jan Kowalik, prawnik i historyk prof. Wiktor Sukienicki i sowietolog Ryszard Wraga.

W chwili obecnej osobą najlepiej zorientowaną w zbiorach polskich Instytutu Hoovera oraz nieformalnym, a życzliwym przewodnikiem po gąszczu tych dokumentów jest historyk dr Maciej Siekierski, kurator w dziale wschodnioeuropejskim biblioteki Instytutu.

Ogromne, ogólnoswiatowe zbiory Archiwum Instytutu Hoovera wiążą się z różnymi priorytetami ważności prac i celów tegoż Instytutu. Fundusze, jak wszędzie, nie starczą na wszystko. Sądzę też, że konieczność pełnego opracowania, możliwość wykorzystywania tych zbiorów i unaocznienia rozmiaru popełnionej zbrodni, jest przede wszystkim zadaniem i obowiązkiem Polaków. I to zarówno diaspory polskiej jak i mieszkańców nad Wisłą.

Ze względu na ważność i rozmiar polskich dokumentów winny one być udostępnione badaczom w Polsce. Celem długofalowym powinno być dążenie do zmikrofilmowania znacznej części zbiorów i przekazania ich kopii do Polski. Tam, w kraju, archiwiści, historycy, socjologowie, prawnicy i inni specjaliści zajmą się pieczołowicie i szczegółowo tragiczną spuścizną losu Polaków. Stopień wykorzystania tych materiałów przez okres blisko pięćdziesięcioletni jest świadectwem tego, że prawdopodobnie i zupełnie sporadyczne zetknięcie się z nimi niezależnie myślących badaczy polskich (stypendia, wizyty prywatne) nie mogły przynieść takich efektów badawczych, jakich materiały te potencjalnie dostarczyć mogą. Natomiast stypendyści rządów komunistycznych, korzystający przez kilkadziesiąt lat z hojnych fundacji amerykańskich, sprawy te skrzętnie omijali i przemilczali. A dla badaczy zza „muru” problemy te były jednymi z wielu i nie należy oczekiwać, że staną się kiedykolwiek sprawą priorytetową.

Literatura przedmiotowa o martyrologii Polaków jest ogrom-

na i wielojęzyczna, ale świadectwa i dokumenty wykorzystano tylko w znikomej ilości. Wartość ich w sposób najbardziej wyraźny i jasny pokazały w ostatnich latach prace Ireny Grudzińskiej-Gross i Jana Tomasz Grossa. Dużo wcześniej, w 1945 roku, na materiałach tych została oparta praca Kazimierza Zamorskiego i Stanisława Starzewskiego (S. Mora i P. Zwierniak: *Sprawiedliwość sowiecka*, Rzym 1945).

Przed zabiegiem zmikrofilmowania części dokumentów konieczne wydaje się wcześniejsze dokładne ich zinwentaryzowanie i uporządkowanie. Zmikrofilmowanie w kształcie obecnym doprowadzić by mogło do rozdzielenia opracowań katalogowych. Uważam, że w pierwszej kolejności uporządkowanie i zmikrofilmowanie winno dotyczyć około 30 tysięcy oryginalnych relacji więźniów i zesłańców. Część z nich do dziś pozostaje w rękopisach; nierzadko relacje pisano ołówkiem, na szarym papierze, pismo błędnie, zaciera się. Przede wszystkim należałoby udostępnić polskim badaczom oryginalne ankiety, raporty i sprawozdania wraz z opracowanymi na ich podstawie indeksami. One bowiem stanowią kopalnię informacji o ludziach i zdarzeniach. W drugiej kolejności widzę pierwsze syntezы sporządzane na użytek Rządu Polskiego na obczyźnie. Proces porządkowania tak ogromnych zbiorów wymaga czasu i funduszy. Jest to zadanie perspektywiczne, ale trzeba je podjąć jak najwcześniej. Sprawą natomiast nadzwyczaj pilną na dziś jest sporządzenie maksymalnie wiernych dokumentom, istniejącym w Instytucie Hoovera, indeksów osobowych i rzeczowych dotyczących indywidualnych i zbiorowych losów Polaków wywiezionych i więzionych na terenie ZSSR. Zakładam, że 3-4-osobowy zespół, intensywnie pracujący przez okres około dwóch lat, jest w stanie to zrobić w znacznym stopniu. Przyjęte jako punkt wyjścia indeksy (osobowy i rzeczowy) *Anders Collection* winny być uzupełnione, poszerzone o dane z innych kolekcji i uporządkowane. Użycie specyficznego programu komputerowego pozwoli stworzyć indeksy — czytelne przewodniki po dziesiątkach tysięcy świadectw tamtego czasu. Dane winny być na bieżąco publikowane i stanowić jedną z ważkich podstaw do starań i pytań przedstawicieli „Solidarności” w obecnym rządzie oraz innych niekomunistycznych ugrupowań, w kraju i za granicą, o los polskich obywateli w Związku Sowieckim. Czy wszyscy razem — diaspora polska, Instytut Hoovera, życzliwe fundacje amerykańskie i Polacy w kraju — są w stanie to zadanie zrealizować?

Krystyna LASKOWICZ

Przypisanie do ziemi

Kilka lat po wyjeździe z Polski postanowiłem zrzec się jej obywatelstwa. Nie, nie miałem żadnego innego, nie miałem również zamiaru starać się o takowe — mój dokument azylowca pozwalał mi poruszać się bez kłopotów po świecie, ograniczenia powodowane jego posiadaniem były zaś nieliczne i mało mnie w zasadzie dotyczący. Posiadanie czy nieposiadanie obywatelstwa polskiego też było w gruncie rzeczy mało istotne — z krajem mego urodzenia łączył mnie język, mieszkająca tam do dziś rodzina i praca we „wrażym”, jak je wówczas określano, wydawnictwie emigracyjnym. Przyszła wojna i decyzja zapadła: obywatelem *takiego* państwa nie czułem się na pewno.

Ruszyłem więc któregoś dnia do ambasady, by załatwić formalności. Pani w okienku, poproszona o odpowiednie formularze, zadała dramatyczne pytanie: „Ale dlaczego?!” Bąknąłem coś zaskoczony — dawno już nie miałem do czynienia z podobnymi przejawami troski o obywatela — wziąłem dokumenty i poszedłem do domu, by spokojnie je przestudiować.

Nie dało się — studiowanie wywołało tzw. białą gorączkę, i to już po przeczytaniu nagłówka: „Wniosek o udzielenie zezwolenia na zmianę obywatelstwa”. Należało go uzasadnić, odpowiedzieć na dwadzieścia trzy wieloczęściowe pytania kwestionariusza w dwóch — a jakże — egzemplarzach, wesprzeć wymienionymi w siedmiu punktach dokumentami, dołączyć £200 opłaty, przestać do ambasady i posłusznie czekać. Gwarancji uzyskania zezwolenia nikt nie dawał, więc oczekiwanie można było sobie skracać wróceniem z listków: „Udzielili mi łaskawie Rada Państwa zezwolenia czy nie udzieli? Udzielili — nie udzieli? Udzielili...?”

Absurdalność tego dokumentu przywołała na myśl wiechowski powiedzenie o „apelacji do ślepej książki”. Uznałem, że nie ma sobie co zawracać głowy, usiadłem do maszyny i wystukałem krótkie oświadczenie zaadresowane do Obywatela Przewodniczącego Rady Państwa, w którym informowałem go, że z dniem tym a tym *zrzekam się* obywatelstwa polskiego i przestaję się za obywatela PRL uważać, choć Polakiem pozostaję. Jedną kopię wysłałem do ambasady, drugą do mojego lokalnego MSW, trzecią wsadziłem do teczki z dokumentami i sprawę uznałem za zakończoną.

Jak można się było spodziewać, żadna z polskich instytucji nie odpowiedziała ani słowem. Nie miałem zamiaru dociekać powodów, nie wpłynęłyby one zresztą na moje postępowanie — w rubryce „obywatelstwo” na którą natykałem się w rozmaitych dokumentach, stawiałem odtąd kreskę, a pytającym wyjaśniałem, że zrzekłem się

go sam. Polscy znajomi kręcili głowami; „Nie, tak nie można, to się nie liczy, musisz przez ambasadę...” itd. Tłumaczyłem wtedy, dlaczego zrobiłem właśnie tak a nie inaczej: przekonywało to niektórych, ale nikt nie przychodził z prośbą o pomoc w sformułowaniu tekstu podobnego oświadczenia.

Właściwie można by na tym skończyć — nadal nie uważam się za obywatela polskiego, do Polski nie jeżdżę, choć wizyty tam nie wykluczam, a w międzyczasie przyznano mi obywatelstwo innego kraju. Całą sprawę rozkręciła na nowo moja żona, postanawiając zrzec się obywatelstwa. Z konsulatu PRL (czy nie należałoby, swoją drogą, zmienić treści oficjalnych pieczętek i nagłówek? Wymiana ambasadora może trwać dłużej, ale nowy stempel załatwia się w godzinę) nadszedł więc list, a w nim identyczny „wniosek o udzielenie zezwolenia na zmianę obywatelstwa”. Opadły mi ręce — myślałem już, że może coś się w międzyczasie zmieniło — żonę zaś ogarnęła znana mi skądinąd biała gorączka.

Dlaczego jednak, skąd ta złość? Najprościej będzie odpowiedzieć porównując polski formularz z dotyczącym tej samej sprawy formularzem jednego z krajów leżących również w Europie — Anglii. Brytyjczycy załatwiają rzecz krótko: wypełnia się „oświadczenie o zrzeczeniu się obywatelstwa” (*Declaration of renunciation of British citizenship*) podając imię, nazwisko, aktualny adres, datę i miejsce urodzenia, stwierdzenie obywatelstwa Zjednoczonego Królestwa (paszport albo poświadczenie naturalizacji bądź świadectwo urodzenia), poświadczenie posiadania innego obywatelstwa lub zapewnienia jego uzyskania (paszport bądź oświadczenie odpowiednich władz), akt ślubu (*tylko* jeśli jedno z małżonków jest nieletnie), data, podpis. Do wypełnienia w dwóch egzemplarzach, owszem — gdyż jeden z nich, poświadczony przez Home Office, odsyłany jest aplikantowi. Oplata? Dziesięć (!) funtów. Czas oczekiwania? Do ośmiu tygodni.

Kwestionariusz polski można by skomentować słowami Bogdana Smolenia ze starego szkicu o produkującej bombki staruszcze: „A dla kogo ten wywiad?” Bezczelność znakomitej części zawartych w formularzu pytań jak i dodatkowych żądań idzie na wyprzedzki z głupotą, pospołu zaś uwłaczają godności nieszczęsnego petenta. Pomijając prosty fakt, iż większość odpowiedzi tzw. organy mogą udzielić sobie same (dotyczy to zwłaszcza wniosków tych osób, które uzyskały azyl na Zachodzie), co tym samym dyskwalifikuje zasadność ich żądania (pkt 10: „Ostatnie miejsce zamieszkania lub pobytu w Polsce”, pkt 15: „miejsce pracy w Polsce i zajmowane stanowisko” i parę podobnych), nie widzę najmniejszej potrzeby stawiania takich pytań. Owszem, jedną: zatruć jeszcze raz, być może ostatni, życie, pokazać, jak bardzo maluczki jest petent wobec „władzy”. Oprócz pytań głupich, z gatunku „powiedz, choć i tak wiemy” (jak przytoczone powyżej), znajdują się tu również pytania beczelne, obliczone na strach przed urzędem: „powiedz, bo jak nie...” Otóż nie powiem — bo co ma do rzeczy dociekanie z pkt 13:

„W jakich krajach przebywał przed przyjazdem do kraju obecnego zamieszkania?” Czy liczba odwiedzonych państw jest proporcjonalna do tygodni wyczekiwania na odpowiedź czy tysięcy opłaty? Po co komu potrzebne „adresy krewnych i znajomych w Polsce” (pkt 19)? Czy, jeśli byłem „karany sądownie w kraju lub za granicą” (pkt 18), to moje szanse się zwiększą? Niby logiczne: po co nam złoczyńca w gronie obywatelskim? Pytanie zadziwiające swą naiwnością: „Służba wojskowa... (b) w wojsku obcym, w jakim okresie” (pkt 17) — Drugi Korpus i Dywizja Kościuszkowska to nie wojska obce, zaś przynależnością do Wehrmachtu czy UPA nikt się chwalić nie będzie.

Zbliżamy się do szczytu tej piramidy bzdury: pkt 16 zawiera dociekania na temat „obecnego miejsca pracy, adresu zakładu pracy i zajmowanego stanowiska, względnie innego źródła utrzymania”. Wypadałoby chyba dla dokładności zapytać o pobory i stan konta, a przeprowadzenie wywiadu środowiskowego — bo o to zapewne chodzi — byłoby uproszczone.

Dalej — „uzasadnienie prośby”. Znajomy mój napisał: „Z powodów osobistych”, na co odesłano mu wniosek domagając się rozszerzenia. Czego, do cholery, Chce Obywatel Przewodniczący?! Można przy tym domyślić się, że jeśli ktoś podejmuje decyzję zrzeczenia się obywatelstwa, to stoją za tym często *bardzo* osobiste powody, w które nie przystoi wtykać nosa.

Poza obowiązującymi zwyczajowo dwiema fotografiami wymagana jest garść zaświadczeń, których nie sposób zdobyć bez wyjazdu do Polski samemu, bądź udzielenia komuś tam mieszkającemu pełnomocnictwa, oraz „szczegółowy życiorys sporządzony w 2 egz. i własnoręcznie podpisany przez wnioskodawcę”. Szczegóły, domyślam się, mają dotyczyć głównie okresu pobytu poza Polską. A opłaty? „Zostanę o nich powiadomiony z chwilą dostarczenia w/w dokumentów”, napisał pan konsul. Potanieć na pewno nie potaniało, tego można być pewnym: pewne jest również to, że wysokość opłat jest wzięta z sufitu. Czas oczekiwania? Kto to wie...

To wszystko jednak jest, jak powiedziałem, drogą na szczyt. Szczytem bezczelności jest samo wymuszanie „prośby o udzielenie zezwolenia na zmianę obywatelstwa”. Obywatelstwo PRL uzyskałem przez urodzenie się tamże, nie zostało mi ono bynajmniej nadane ani też nie zostałem na nie skazany, bym miał prosić o zwolnienie z niego. Nie uważam poza tym, aby było ono wybitnym powodem do chwały czy też tak cennym pośród wszystkich istniejących na świecie obywatelstw, bym musiał, szczegółowo wyliczając przychyny, błagać ze łzami w oczach o „udzielenie zezwolenia na jego zmianę”, a Rada Państwa miała ze złamanym sercem przychylić się moim prośbom. Konstytucja pomija niestety tę sprawę, podobnie jak i nie definiuje w żadnym miejscu, kto i w jaki sposób staje się obywatelem polskim. Nadanie od Boga? Czy przypisanie do ziemi?

Kwestionariusz zakłada potulność obywatela — wiadomo przecież, że w Polsce do załatwienia czegokolwiek potrzebna jest teczka

absurdalnych dokumentów: fotografia prababki, legitymacja Krzyża Walecznych wuja, opinia dozorca, dowód spłaty rat, kwit na węgiel. Komu wychowanemu w takim systemie będzie się chciało sięgać po przepisy, porównywać kwestionariusze, przede wszystkim zaś dochodzić zasadności prawnej i logiki takiego formułowania sprawy? To właśnie oburza najbardziej: owa samowola administracyjna, stawianie na głowie praw, uzurpacja władzy, *pogarda* okazywana zwracającym się o coś ludziom — nie urząd dla obywatela, a obywatel dla urzędu.

Pozostanę zatem przy swoim nie-obywatelstwie — moje zrzeczenie się nadal uznaję za ważne. Odpowiedni wniosek urzędowy wypełnię i przedłożę, gdy zaczynać się on będzie od słów „oświadczenie o zrzeczeniu się obywatelstwa polskiego”. Bez fotografii, zagładania w portfel i notatnik z adresami. Orzeł ma już koronę, wypada, aby przestał zachowywać się jak wrona.

Grzegorz SOWULA

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

W sowieckiej prasie

Chyba cały świat oglądał tę scenę na ekranach telewizorów: Michaił Gorbaczow odwraca się plecami i schodzi z trybuny mauzoleum, z której przyglądał się pierwszomajowej defiladzie ludu pracującego ZSSR. Z nim odchodzą wszyscy pozostali przywódcy. Piszę „chyba cały świat”, muszę jednak dodać: z wyjątkiem narodu sowieckiego. Jemu tej sceny nie pokazano. Mimo pełnej „jawności” transmisję telewizyjną z Placu Czerwonego przerwano i zmieniono program dziennika „Wriemnia”: zejścia z mauzoleum nie pokazano ani wieczorem 1 maja, ani, jak zwykle, następnego dnia rano. Gazety sowieckie ograniczyły się do kilku zdań, z których wynikało, że coś zaszło, ale nie wiadomo dokładnie, co. TASS ogłosił niezbędny komunikat na użytek całej prasy: „Liczba demonstrantów okazała się mniejsza niż się spodziewano. Pojedyncze hasła miały charakter ekstremistyczny, wzywały nie do konsolidacji sił, a do otwartej konfrontacji z konstytucyjną władzą. (...) Niestety w końcowym momencie uroczystego pochodu robotników doszło do kilku wybryków pojedynczych osób, których działania stały w jawnej sprzeczności z powszechnym nastrojem ludzi, którzy przyszedli na plac, aby wyrazić poparcie dla *pieriestrojki*. *Izwestia* (1.5.90) pisały także o tym, że „kiedy na Plac Czerwony weszły kolumny z wprost oszczerczymi hasłami, wyjaśniło się, że nasza 'raczkująca' demokracja — niestety! — spletała kolejnego złośliwego figla mieszkańcom Moskwy”. Dodam nawiasem, że zwrot „kolejny złośliwy figiel” to aluzja do wyborów do rady moskiewskiej, w których wygrali reformatorzy. *Izwestia* dodają, że rzecz najwidoczniej wynika nie z politycznej niezdarności wiecowych agitatorów, a z ich woli, „aby za wszelką cenę zaognić i tak już zapalną sytuację”. *Komsomolska prawda* (2.5.90) ogłosiła, że kolumny „nieformalów” „robiły chwilkami przynębiające wrażenie: niektóre hasła były jawnie prowokacyjne, chulikańskie, ekstremistyczne...”.

Paryska *Russkaja mysl*, która ma korespondentów w Związku sowieckim, przytoczyła w relacji o pierwszomajowym pochodzie w Moskwie niektóre hasła, które tak oburzyły wodza *pieriestrojki*:

„Precz z partokracją!”, „Dziś blokada Litwy, jutro — Moskwy!”, „Gorbaczow, ręce precz od władzy sowieckiej!”, „Dyktator — prezydent bez wyborów!”, „Socializm? Nie, dziękujemy!”.

Pierwszomajowy incydent — zejście prezydenta z trybuny przy akompaniamencie gwizdów demonstrantów — nie jest całkiem jasny i nasuwa wiele pytań. Trudno na przykład zrozumieć, w jaki sposób demonstranci bez przeszkód weszli na Plac Czerwony przez sześć rzędów wojska. Deputowana ZSSR Galina Starowojtowa opowiedziała *Russkoj mysli*, że plac był otoczony „gotowymi do akcji armatkami wodnymi i żołnierzami z bronią maszynową na ramieniu. Duże grupy strzelców widzieliśmy także w pobliżu GUM-u... w podziemnym przejściu do hotelu 'Moskwa'. Wszystko było przygotowane do rozpędzenia demonstracji. Podobną demonstrację zdławiono bez pardonu, bestialsko bijąc jej uczestników, np. w Saratowie. W Moskwie władze zdecydowały pokazać, że są demokratami i pluralistami, ale też, być może, chciały pokazać krajowi, że anarchia podeszła już pod centrum i gotowa schwycić władzę za gardło, a wtedy chaos, wojna domowa. Pokazać światu, że jeśli cokolwiek stanie się z Gorbaczowem, przepadnie stabilność Europy.

Aleksander Ginzburg, autor cotygodniowej kroniki wydarzeń w ZSSR, którą publikuje *Russkaja mysl*, zatytułował swoją relację o pierwszym maja: „Dokąd iść z mauzoleum?” (4.5.90). Tydzień później nadeszła odpowiedź: Gorbaczow po zejściu z mauzoleum ponownie na nie wrócił. 9 maja spoglądał ze spokojnym uśmiechem na paradę wojskową z okazji 45-lecia zwycięstwa nad Niemcami. Poprzedniego dnia na uroczystym posiedzeniu z okazji Dnia Zwycięstwa generalny sekretarz i prezydent skrytykował Stalina za błędy, popełnione w czasie wojny (dokładnie pięć lat temu mówił coś wręcz przeciwnego i chwalił generalissimusa) i mówił o konieczności „nowego spojrzenia na armię”, ale podkreślił, że reformę wojska należy porучić kompetentnym zawodowcom. Następnego dnia, podczas parady, dobrotnie wysłuchał przemówienia ministra obrony Dimitrija Jazowa, mianowanego dopiero co marszałkiem. Pierwszy „gorbaczowowski marszałek” z naciskiem podkreślał, że „groźba wojny” nadal istnieje i Związek Sowiecki powinien być gotowy do obrony. Tego samego dnia marszałek Jazow ostro zaatakował w telewizji „nadbaltyckich nacjonalistów” i przypomniał, że „liczni Bałowie walczyli po stronie Niemiec”. 8 maja zastępca szefa sowieckiego garnizonu w Wilnie oznajmił dziennikarzom, że armia jest jedyną realną gwarancją ocalenia władzy sowieckiej w tym rejonie.

Z armią Gorbaczow ma trochę kłopotów. Morale upada, służba wojskowa stała się po raz pierwszy w dziejach ZSSR „niepopularna” (*Komsomolskaja prawda* 4.5.90). Ubiegłego roku liczba „uchylających się od poboru” wzrosła sześciokrotnie. Sytuacja zmusiła Radę Ministrów do odłożenia o miesiąc wiosennego poboru. Co się zmieni za miesiąc, nie wiadomo. W każdym razie w tym czasie

nie zostanie opracowana ani nowa ustawa o armii, ani nowa ustawa o służbie wojskowej. Można się spodziewać, że armię irytuje przede wszystkim brak jasnej polityki, wyraźnych dyrektyw, określonych celów.

Tymczasem armia jest Gorbaczowowi naprawdę niezbędną w chwili, kiedy coraz głośniej rozbrzmiewają żądania „porządku”, a aparat partyjny nie bardzo rozumie, jaka ma być jego rola. Głosy te — dawniej rozproszone — zaczynają się kumulować w grupy i ruchy polityczno-społeczne. Powstaje coraz więcej partii — od skrajnie prawicowych do skrajnie lewicowych. Widać próby konsolidacji. Pod koniec kwietnia odbył się w Leningradzie zjazd założycielski rosyjskiej partii komunistycznej. Miejsce zjazdu nie jest przypadkowe. Leningrad jest nie tylko drugim co do wielkości miastem ZSSR i nie tylko kolebką rewolucji — jest to także największy ośrodek przemysłowy. Problem w tym, że produkcja leningradzkich fabryk nikomu dziś nie jest potrzebna. Gigantyczne maszyny, ciężkie obrabiarki, chemia — to przestarzałe gałęzie przemysłu, które pracują same dla siebie. Nierentowne. Ekonomiści obliczyli, że w razie reformy trzeba będzie zamknąć prawie 2/3 leningradzkich przedsiębiorstw. Nic dziwnego, że zjazd rosyjskiej partii komunistycznej, która znajduje się jeszcze w powijakach, odbywał się pod hasłem walki z grożącym „rynkiem” i reformą ekonomiczną. Korespondent *Komsomolskiej prawdy* (28.4.90) pisze, że zjazd upłynął pod znakiem „dusić bogaczy”.

W Nowokuzniecku (Zachodnia Syberia) odbył się zjazd, którego znaczenie trudno przecenić. W mieście, które było jednym z ośrodków zeszlorocznych strajków górników, zbrali się przedstawiciele „niezależnych robotniczych organizacji ZSSR”. 268 delegatów reprezentowało ok. 50-ciu ruchów robotniczych, ugrupowań, niezależnych związków zawodowych i klubów politycznych. Na zjeździe toczono burzliwe dyskusje, przede wszystkim o to, co tworzyć — związek zawodowy czy partię. Zebrani byli jednomyślni tylko w jednym punkcie: wszyscy potępiali politykę partii. Mówcy stwierdzali, że KPZS nie można uważać za partię klasy robotniczej. Zjazd postanowił powołać „konfederację pracy”. W deklaracji mowa jest o prawdziwych gwarancjach demokracji, swobodnej pracy bez biurokratycznych przeszkód i sprawiedliwym podziale zysków. Na razie są to słowa, ważne jest jednak, że powstał ośrodek, wokół którego będzie się mógł krystalizować ruch robotniczy.

Narastające niezadowolone klasy robotniczej zmusiło Gorbaczowa do rezygnacji z radykalnej reformy ekonomicznej, której koniecznością jeszcze niedawno uzasadniał pilną potrzebę wybrania go natychmiast prezydentem. Główny argument Gorbaczowa, który nie zgadzał się na powszechne wybory prezydenckie, był prosty: sytuacja jest coraz gorsza, trzeba się spieszyć, nie ma czasu na kampanię wyborczą, dajcie mi pełną władzę, a ja szybko i zdecydowanie przeprowadzę reformę. Wszystko było gotowe, kiedy nagle zatrąbiono do odwrotu. Pod koniec kwietnia Michaił Gorbaczow

pojechał do robotników Uralu, gdzie zaprzeczył, jakoby szykowała się zmiana polityki cen: „Jeśli ktoś nawet podrzuca wam dziś myśl, że kierownictwo zamierza wam urządzić 'terapię szokową' w postaci nowej polityki cen, nie wiercie temu” (*Izwestia* z 26.4.90). Sądząc po sprawozdaniach prasowych, robotnicy żądali od prezydenta „zaprowadzenia porządku”. Na początku maja Gorbaczow udał się na rozmowy z robotnikami Moskwy. Pytali go, czy będzie bezrobocie. Tak — przyznał — ale przejściowe.

Radykalną, zdaniem większości ekonomistów niezbędną reformę odkłada się na później — zdaniem Gorbaczowa na 6-8 miesięcy. Znaczy to, że na znacznie dłużej. Tymczasem sytuacja ekonomiczna pogarsza się z dnia na dzień. W pierwszym kwartale 1990 r. po raz pierwszy od wielu lat tempo wzrostu produkcji nie tylko spadło, ale zmalała jej objętość w liczbach absolutnych w porównaniu z produkcją zeszłoroczną. Dochód narodowy spadł o 2%, ogólna objętość produkcji o 1,2%.

Symptomatyczną cechą ubiegłego miesiąca był gwałtowny wzrost ideologicznej aktywności kierownictwa partyjnego. W warunkach pogłębiającego się kryzysu ekonomicznego i przedłużającego się oporu Litwinów, do których dołączyli — ogłaszając niepodległość — Estończycy i Łotysze, Gorbaczow zaczyna prężyć muskuły. Mam na myśli nie tylko ustawę z 3 kwietnia, natychmiast wdrożoną w życie, pod nazwą „O prawnym charakterze stanu wyjątkowego”. Myślę przede wszystkim o partii, którą generalny sekretarz i prezydent postanowił wzmocnić i uczynić bardziej bojową. W toku przygotowań do zjazdu partii zwołanego na lipiec 1990, definiuje się pozycje, zgodne i niezgodne z „generalną linią”. Odnoszę wrażenie, że gorbaczowscy ideolodzy sprzyjają powstawaniu rozmaitych grup „reformatorów” w partii i nakłaniają ich do opuszczenia szeregów KPZS. Gorbaczow chce oczyścić partię jak najmniej bolesnym sposobem, a jeśli mu się nie uda — i tak oczyścić, stosując bardziej zdecydowane metody. Nie przeraża go powstanie dużej liczby maleńkich partii, których energia pójdzie „w gwizdek”, ale które w żadnej mierze nie zdołają podważyć „kierowniczej roli” KPZS. Nowe hasło: konsolidacja szeregów partyjnych. W uchwałach KPZS na 1 maja czytamy: „Komuniści! Konkretnym czynem umacniajcie awangardową rolę KPZS! Walczcie o konsolidację szeregów partyjnych na gruncie zasad!” Hasła są wzięte z „Listu otwartego KC KPZS do komunistów kraju”, który to list gazety opublikowały pod tytułem: „O konsolidację na gruncie zasad”. List ostrzega przed niebezpieczeństwem „konserwatyizmu i dogmatyzmu”, ale przede wszystkim „pseudoradykalnych pozycji” (*Prawda* z 11.4.90). 20 kwietnia ukazał się w *Prawdzie* artykuł wstępny pod tytułem „Ideologia odnowy”.

Wyłożona w artykule „ideologia odnowy” boleśnie przypomina dobrze znane idee: „KC KPZS opowiada się twardo za wiernością twórczemu duchowi światopoglądu materialistycznego i dialektycznej metodologii Marksa, Engelsa, Lenina”. Najbardziej pikantnym ele-

mentem wstępniaka z *Prawdy* jest powołanie się na „znanych zachodnich sowietologów”, którzy dawniej „krytykowali nas bez litości i na tej krytyce budowali swój dobrobyt”, a teraz „występują z pozycji obrońców marksizmu”, podczas gdy „domorośli posiadacze wysokich dyplomów i tytułów naukowych oraz dziennikarze bezlitośnie rozprawiają się z marksizmem”. Paradoks ten *Prawda* tłumaczy prosto: okazuje się, że sowietolodzy krytykowali dawniej nie tyle naukę, „jaką jest twórczy, żywy marksizm, ile jego dogmatyczną wykładnię i sztywne stosowanie w praktyce”. Wynika z tego, że zachodni sowietolodzy zawsze byli prawdziwymi marksistami i czekali tylko na Gorbaczowa, aby odkryć swe prawdziwe oblicze. Trochę szkoda, że *Prawda* nie cytuje nazwisk zaprzyjaźnionych sowietologów. Każdy czytelnik zachodnich komentarzy polityki *pieriestrojki* mógłby — gdyby chciał — sporządzić ich listę.

Na uwagę zasługuje użyte w artykule słowo „nauka”, które — wydawałoby się — dawno wyszło z użycia. W obszernym wywiadzie dla *Komsomolskiej prawdy* główny ideolog Wadim Miedwiediew oświadcza: „Negatywny stosunek do naszej spuścizny teoretycznej, próby rewizji nauki Marksa, Engelsa, Lenina, historycznej roli Października są bezpodstawne i nieproduktywne”.

Najważniejszą deklaracją ideologiczną było przemówienie Gorbaczowa na zebnaniu z okazji 120-tej rocznicy urodzin Lenina (*Prawda* z 21.4.90). „Słowo o Leninie” — tak brzmiał tytuł wystąpienia — zawierało około tysiąca słów i przede wszystkim ogłaszało wojnę w obronie Lenina, który niezmiennie ma być jedynym źródłem ideologicznej i politycznej mądrości. Gorbaczow, powtarzający bezustannie słowo „zwrot”, synonim jego polityki, nie przestaje powoływać się na „zwroty” Lenina: pokój brzeski i NEP. Są to dla Gorbaczowa wzory śmiałych i mądrych decyzji politycznych: kiedy nie można iść do przodu — należy zrobić krok w tył. Jeszcze lepiej aniżeli w ideologicznym „Słowie” wyraził Gorbaczow sens swojej polityki w rozmowach z robotnikami Swierdłowska: „Wypadnie wiele rzeczy zmienić, usunąć. Ale nie od podstaw” (*Izwestia* z 26.4.90). W „Słowie” Gorbaczow wyraża tę myśl w planie teoretycznym: „Nasze społeczeństwo nie ma rozsądnej alternatywy dla socjalistycznej *pieriestrojki*”.

Co jest ważniejsze dla losów kraju, a także świata: decyzje Gorbaczowa, realizowane lub nie, ale przyjmowane i propagowane, czy liczne kryzysy, narastanie narodowych, społecznych i politycznych ruchów? Które z nich są ważniejsze, które bardziej wpływają na sytuację? Jednoznacznej odpowiedzi zapewne nie ma. Nie ulega jednak wątpliwości, że sytuację w kraju kształtują przede wszystkim decyzje albo brak decyzji Gorbaczowa, a takie lub inne ruchy są praktycznie zawsze reakcją na działania wodza. Nierzadko zdarza się, że wydarzenia wychodzą poza zamierzone przez ojca *pieriestrojki* ramy, ale nic nie upoważnia jeszcze do twierdzenia, że kontrola wymknęła mu się z rąk. Gorbaczow nie wie dokładnie, dokąd zmierza i do czego prowadzi kraj, nie ma jasnego

projektu, zmienia poglądy i pozycję, ale dotychczas nie spotkał prawdziwego, zorganizowanego oporu przeciwko próbom „przebudowy” gmachu socjalizmu bez zmiany fundamentów.

W tym świetle można spojrzeć na rozpoczęte właśnie ideologiczne kontratacje. W tym świetle zwraca uwagę usilna kampania uróżniania KGB. Nie ma chyba gazety, w której nie ukazałoby się opowiadanie o „sekretach” KGB, wywiad z kierownikami Komitetu, poczynając od przewodniczącego W. Kriuczkowa, wiadomości o wizytach cudzoziemców, dziennikarzy i parlamentarzystów w gmachu, w którym dawniej noga ich nie śmiała postać. W jednym z wywiadów Władimir Kriuczkow podzielił się z czytelnikami swym zdaniem, że „według konstytucji przewodniczący KGB nie wchodzi w skład rady prezydenckiej. Tym niemniej wszedł on w skład rady, co zapewne nie jest przypadkiem”. Z tym wypada się zgodzić. Należy też zwrócić uwagę na rosnącą liczbę współpracowników KGB wybranych w szeregi deputowanych ludowych. Kandydaci przy tym nie ukrywają swej profesji, a wręcz ją podkreślają. Mam przed oczyma ulotkę wyborczą Aleksandra Anatolija Popowa, kandydata do rady Deputowanych Ludowych z Moskwy. W biografii mowa jest o ukończeniu wyższej szkoły KGB i pracy śledczej: „Od 1989 r. starszy śledczy wydziału śledczego KGB. Przedstawiciel moskiewskiego klubu partyjnego komunistów-reformatorów Demokratyczna platforma KPZS”. Analiza wyników wyborów do Rady Deputowanych Rosji pokazała, że w porównaniu z zeszłorocznymi wyborami do Rad Deputowanych ZSSR wzrosła liczba mandatów, które przypadły kierownikom wszystkich szczebli: z 67% w 1989 do 78,6% w 1990. Przy tym liczba deputowanych z „organów ochrony porządku” wzrosła z 1,4% do 4,9%. Wyniki te można tłumaczyć zarówno znacznie lepiej przygotowaną kampanią wyborczą (partia — do nauki!) jak i ciągotami wyborców do „porządku”.

Ideologicznej kontrofensywie towarzyszy udoskonalanie *glasnosti*. Nie uchwalono dotychczas ustawy o prasie i można sobie wyobrazić — sądząc po jej projektach — że położenie gazet stanie się trudniejsze, bo ustawa uprawomocni system kontroli, która istnieje i teraz, ale jakby bez podstaw prawnych. Tak stało się np. z ustawą o języku. O kwestii języka rosyjskiego i języków narodowych debатовano przez wiele dziesiątków lat. Od pierwszych dni *pieriestrojki* zaczęto mówić o przyznaniu praw językom narodowym. Z tych dyskusji zrodziła się ustawa „o językach narodów ZSSR”, która dekretuje prawa języków narodowych, ale wprowadza pojęcie „język oficjalny”. Jest nim na terenie ZSSR język rosyjski. Tak było i dawniej, ale teraz rzeczywistości nadano pieczęć prawa. W ten sposób Gorbaczow buduje „praworządne państwo”. Dopóki nie istnieje ustawa o prasie, *glasnost* szaleje: ludzie piszą o wszystkim i wszystko. Jeśli jednak spojrzeć uważniej, nietrudno dostrzec, że pisze się wprawdzie o wszystkim, ale nie zawsze w odpowiedniej chwili (wiadomości o wydarzeniach na Kaukazie i w Nadbałtyce przychodzą z opóźnieniem) i że pisze się wszystko, ale ze specjalną

interpretacja. W obszernym artykule pt. „Tajemnice lasu katyńskiego” (*Moskowskije nowosti* nr 12, 25.3.90) powiedziane jest, że mordu dokonali KGBiści, że wina spoczywa na Stalinie i Berii i że w lesie katyńskim leżą ciała 15 tysięcy polskich oficerów. Dalej więc nie ma po co szukać...

Adam KRUCZEK

14.5.1990

Kronika niemiecka

Po długotrwałych pertraktacjach w Berlinie Wschodnim został zaprzysiężony rząd koalicyjny (12.04.90), na którego czele stanął przewodniczący Ost-CDU, Lothar de Maizière. Nowy rząd NRD opowiedział się zdecydowanie za zjednoczeniem Niemiec i to na zasadach artykułu 23-go zachodniemieckiej konstytucji, który stanowi, że konstytucja ta obowiązuje również na pozostałym terytorium Niemiec z chwilą przyłączenia go do RFN. ☒ Podczas drugiego posiedzenia Izba Ludowa nowej kadencji debatowała na temat granic i przeszłości Niemiec. Uchwalono rezolucję, w której stwierdzono: „Zwłaszcza naród polski powinien wiedzieć, że jego prawo do istnienia w bezpiecznych granicach nie będzie stawiane przez Niemców pod znakiem zapytania poprzez wysuwanie żądań terytorialnych ani teraz, ani w przyszłości”. Izba Ludowa stwierdziła, że Niemcy z NRD także ponoszą winę za drugą wojnę światową i za masowe morderstwa popełnione na narodzie żydowskim. Parlament NRD przeprosił Czechosłowację za uczestnictwo w wojskowym stłumieniu Praskiej Wiosny 1968. ☒ Byłego szefa komunistycznej SED i wieloletniego przywódcę państwa wschodniemieckiego, 77-mioletniego Ericha Honeckera, mającego poważne kłopoty ze zdrowiem, umieszczono w sowieckim szpitalu wojskowym. ☒ Wschodnioberiński adwokat, Wolfgang Vogel, były wieloletni zaufany Honeckera, przyznał w wywiadzie dla tygodnika *Der Spiegel*, że władze NRD od roku 1964 do listopada 1989 r. zwolniły z więzień i wysłały na Zachód 33 tysiące więźniów. Zostali oni wykupieni przez rząd w Bonn, który nie płacił jednak gotówką, lecz bonami towarowymi. Stosowano przelicznik w wysokości 95 tysięcy 847 marek zachodniemieckich za każdego więźnia. Za przyznane przez Bonn bony władze NRD kupowały nad Renem m.in. ropę naftową, miedź i dobra konsumpcyjne. Po raz pierwszy w roku 1964 więźniów zamieniono na transport pomarańczy. ☒ W pierwszej dekadzie kwietnia gościł w Polsce kandydat SPD na kanclerza, premier rządu krajowego Saary, Oscar Lafontaine. Wiceprzewodniczący bońskiej SPD jeszcze przed wizytą nad Wisłą wystąpił z pro-

pozycją utworzenia polsko-niemieckiej brygady wojskowej, na wzór już istniejącej francusko-niemieckiej. ■ „Sprawa polskiej granicy zachodniej jest w rzeczywistości wyjaśniona. Teraz należy dążyć do tego, by granica ta stała się mostem i to nie tylko na płaszczyźnie uczuć, lecz również na poziomie konkretnej, regionalnej współpracy” — stwierdził prezydent RFN, Richard von Weizsäcker w wywiadzie dla drugiego programu telewizji zachodnioniemieckiej ZDF. Okazją do tej rozmowy były 70-te urodziny szefa zachodnioniemieckiego państwa, który przygotowywał się do dawno odkładanej wizyty w Polsce. ■ Premier Tadeusz Mazowiecki udzielił wywiadu zachodnioniemieckiej rozgłośni radiowej Südwestfunk, w którym stwierdził, że liczy na to, iż stosunki Polski ze zjednoczonymi Niemcami ułożą się pomyślnie. Nawiązując do konferencji „2+4” Mazowiecki podkreślił, że Polska nie rości sobie pretensji do udziału w całej konferencji, natomiast będzie się nadal domagać uczestnictwa w części dotyczącej bezpieczeństwa europejskiego i sprawy granicy między Polską a Niemcami. ■ Mieszkańcy Görlitz, miasta graniczącego przez Nysę z polskim Zgorzelcem, coraz częściej podkreślają, że czują się Ślązakami. Powstałe w Görlitz liczne organizacje takie jak np. „Niezależna Inicjatywa Dolnych Ślązaków” czy „Śląski Regionalny Front Wolności” wystąpiły z propozycją utworzenia z regionu miasta odrębnego kraju związkowego pod nazwą „Schlesien” (Śląsk). Wiadomo, że władze NRD planują powrót do starego podziału administracyjnego na pięć krajów związkowych, tzw. „Landów”. Görlitz stałoby się więc częścią Saksonii, czemu mieszkańcy miasta są przeciwni. Proponuje się też utworzenie „wolnego miasta Görlitz”, powstałego na bazie Görlitz i Zgorzelca, na wzór przedwojennego Gdańska. Jak poinformowało Polskie Radio, „w związku z informacjami o zamiarach zwołania w Görlitz imprezy rewizjonistycznej Ślązaków z udziałem przewodniczącego Związku Wypędzonych, Herberta Hupki, Ministerstwo Spraw Zagranicznych RP złożyło protest wobec ambasadora NRD w Warszawie. Przedstawiciel MSZ-tu zwrócił uwagę na konieczność przestrzegania postanowień polsko-enerdowskiego układu o przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy z roku 1977, w którym obie strony zobowiązały się do stanowczego przeciwdziałania przejawom odwetu, rewizjonizmu i militarizmu”. ■ Premier NRD, Lothar de Maizière, przedstawiając program swego rządu powiedział m.in.: „Niemcy leżą w środku Europy, lecz nigdy więcej nie mogą dążyć do przejścia roli głównego centrum władzy. Pragniemy być wskazówką zmierzającą do budowania mostów porozumienia. Niemcy stanowić muszą czynnik gwarantujący pokój. Toteż nie może być mowy o rezygnacji z międzynarodowego uznania zachodniej granicy Polski, tak jak dokonano tego w umowach w Zgorzelcu — między Polską a NRD, i w Warszawie — między Polską a RFN. Z chwilą zjednoczenia obu państw niemieckich przyszła konstytucja Niemiec nie powinna już zawierać obecnego artykułu 23-ego. Niemcy nie wysuwają w stosunku do innych państw żadnych żądań terytorialnych i

nie będą tego czynić również w przyszłości". ■ Obradujący w Warszawie polsko-niemiecki komitet kredytowy, powołany w celu opiniowania wniosków dotyczących kredytowania dostaw towarów do Polski, wydał pierwszą pozytywną opinię. Dotyczy ona umowy na dostawę z RFN do Polski 50-ciu wagonów kolejowych przystosowanych do szybkiego ruchu. Komitet rozpatrywać ma też wnioski dotyczące projektów w dziedzinie telekomunikacji, przemysłu metalowego i ochrony środowiska. ■ Jak poinformował energowski minister obrony i uzbrojenia, Rainer Eppelmann (Demokratyczny Przelom), który jest pierwszym cywilem, stojącym na czele tego resortu, licząca obecnie 135 tysięcy wschodnioniemiecka armia powinna zostać zredukowana do liczby stu, a może nawet 50-ciu tysięcy żołnierzy. „Jestem za tym, by liczbę żołnierzy służących w armii NRD zredukować do zera. Ale będzie to możliwe dopiero wówczas, gdy w Europie zapanuje rzeczywiście atmosfera pokojowego odprężenia” — stwierdził Eppelmann w wywiadzie dla dziennika *Kölnischer Express*, nie poruszając bynajmniej kwestii liczebności Bundeswehry... ■ W Berlinie Wschodnim w 101-szą rocznicę urodzin Adolfa Hitlera doszło do demonstracji zorganizowanych przez „Skinheads”, którzy wpadając do kawiarni wznosili okrzyki „Heil Hitler” i tkliki szyby. „Cudzoziemcy i homoseksualiści wynocha” — to inne ze wznoszonych haseł. Wieczorem na placu Aleksandra zebrała się grupa około 300-tu młodych neofaszystów, uzbrojonych w kije, kamienie, butelki i peta. dy. Doszło do walk z policją. ■ Z dniem 2 lipca br. wejdzie w życie w NRD unia walutowo-gospodarczo-społeczna. Porozumienie w tej sprawie wypracowane zostało przez rząd w Bonn i w Berlinie Wschodnim. Tym samym wszystkie płace i emerytury wypłacane będą w markach zachodnich. Nastąpi modyfikacja systemu emerytalnego i zrównanie go z zasadami obowiązującymi w RFN. Marka wschodnia podlegać będzie wymianie na zachodnią w stosunku 2:1, jednak każdy mieszkaniec NRD, w zależności od wieku, będzie miał możliwość wymiany po kursie 1:1 swych oszczędności od dwóch do sześciu tysięcy. ■ W zachodnioberlińskiej Galerii KiK-u Stefan Krygier przedstawił swe malarstwo symultaniczne. Artystę zaprezentowała — jak zwykle — opiekująca się Galerią Helena Bohle-Szacka. ■ Matematyczne Towarzystwo Przetwarzania Danych, sp. z.o.o. w Kolonii z inicjatywy mieszkającej tam Lony Hirsch, zaprezentowało w swej galerii prace polskiej malarki od kilkunastu lat zamieszkałej w Chicago, Barbary Wengerek. Galeria Lony Hirsch urządza rocznie cztery wystawy, z których jedna poświęcona jest zawsze polskiemu artyście. Latem ubiegłego roku wydarzeniem artystycznym była wystawa młodego grafika z Warszawy, Wojciecha Pąkowskiego. ■ Polskie Centrum Kultury i Informacji w Berlinie Wschodnim, ciągle pod kierownictwem radcy ambasady, Grzegorza Sokołowskiego, zmienia swoje oblicze. *Kultury* co prawda nadal tam nie ma, ale za to w maju wystąpili m.in. Andrzej Szczypiorski i znany kompozytor Witold Szalonek. „Walęsa w oczach polskich malarzy i grafików” — to tytuł wystawy, która

otwarta została 2 maja. ■ Z zachodniobierlińską Polską Misją Wojskową pożegnał się — zgodnie z planem — jej dotychczasowy szef, generał, minister pełnomocny Zygmunt Zieliński. Następcą został pułkownik Bogusław Kołodziejczyk, który w przeszłości kierował sekretariatem KC PZPR, a także... czytał prasę dla generała Jaruzelskiego. ■ Z Berlina Wschodniego powrócił, zgodnie z planem, dotychczasowy ambasador RP w NRD, Janusz Obodowski. Placówką rządu — jak na razie — urzędujący *chargé d'affaires*. ■ Nowym *attaché* kulturalnym w ambasadzie RP w Kolonii został Witold Góralski. ■ Z czterodniową wizytą w Polsce (2-5.5.br.) przebywał prezydent Republiki Federalnej, Richard von Weizsäcker. Była to pierwsza oficjalna wizyta głowy państwa zachodniemieckiego. Von Weizsäcker przeprowadził rozmowy m.in. z prezydentem Jaruzelskim, premierem Mazowieckim (oficjalnie i mniej oficjalnie w łazienkowskim parku) spotkał się z Wałęsą i gdańską młodzieżą. Udał się pod pomnik Powstańców Getta Warszawskiego i na teren byłego obozu koncentracyjnego w Treblince. Von Weizsäcker wielokrotnie podkreślał konieczność dobrosąsiedzkich stosunków między Niemcami a Polakami, zwracając przy tym uwagę — nie po raz pierwszy zresztą — na trwałą i niepodważalną charakter granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Zachodniemieckie media nadały wizycie prezydenta RFN w Polsce bardzo duży rozgłos, czego — niestety — nie da się powiedzieć o polskiej prasie czy telewizji. Dostrzegli to zresztą tutejsi obserwatorzy. „Atmosfera, z jaką spotkałem się w czasie mej wizyty, nie była być może tak gorąca, by można było mówić o sercu na wyciągniętej dłoni, ale widać było wolę zbliżenia. Bowiern zarówno Polacy jak i Niemcy pragną odnaleźć się w ramach Europy” — zauważył von Weizsäcker w wywiadzie dla telewizji ARD, transmitowanym na żywo z gdańskiego Długiego Targu. „Tak, jak dla Niemiec Polska stanowi most do Związku Sowieckiego, tak dla Polski łączność z Zachodem możliwa jest jedynie przez dziś jeszcze podzielone niemieckie *Landy*. I również w interesie Polski leży, by się już wkrótce zjednoczyły” — podsumował w wieczornym programie telewizji ARD wizytę prezydenta RFN w Polsce dziennikarz Heinz Burkhardt. ■ „Czas próby dla Niemców i Polaków” — pod takim tytułem zachodniemiecki tygodnik *Die Zeit* zamieścił obszerny, bo zajmujący prawie dwie strony wywiad z premierem Mazowieckim. W rozmowie, którą prowadzili Helga Hirsch i Robert Leicht, premier RP wyjaśnia stanowisko rządu w kwestii granicy z Niemcami; „Doceniamy deklaracje obu parlamentów niemieckich. Są one bardzo ważne, ale są to jedynie deklaracje. Trudno nam sobie wyobrazić, by i po zjednoczeniu Niemiec obowiązywać miała wciąż wykładnia Federalnego Sądu Konstytucyjnego z Karlsruhe, w myśl której Rzesza Niemiecka istnieje nadal w granicach z roku 1937”. Jak długo jeszcze w Polsce stacjonować powinny wojska sowieckie? Na to pytanie premier Mazowiecki nie udzielił bezpośredniej odpowiedzi. Stwierdził jedynie, iż „chcemy co prawda zmieniać świat i wychodzimy z założenia, że

zmianie ulec musi cały kształt Europy, ale nie można tego dokonać po prostu z dnia na dzień". ■ Po raz pierwszy w historii NRD odbyły się (6.05.br.) demokratyczne wybory do miejskich, gminnych i powiatowych rad narodowych. W skali całego kraju najsilniejsza jest nadal Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna CDU, która zdobyła ponad 34% głosów. Ponad 21% otrzymali socjaldemokraci z SPD, a postkomunistyczna PDS — 14%. Nieznaczne zwycięstwo odniosły partie chłopskie, liberałowie i Zieloni. Natomiast konserwatywna Niemiecka Unia Społeczna odniosła porażkę, zdobywając niewiele ponad 3% głosów. Generalnie zachowane zostały główne tendencje podziału głosów, jednak wszystkie największe partie straciły po kilka procent w porównaniu do wyników marcowych wyborów do Izby Ludowej.

Grzegorz ZIĘTKIEWICZ

Na Zaolziu po dwudziestu dwóch latach

Samolot „Československých Aerolinií” miękko ląduje na lotnisku w Ruzyni. Krótka odprawa celna, łapię taksówkę i w niespełna godzinę pierwsze po dwudziestu dwóch latach zetknięcie z Pragą — tak samo piękną i ujmującą urokiem swych ulic i budynków, jak przed laty. Na pozór nic się nie zmieniło, a jednak bardzo dużo. Uderza nieobecność wszechwładnych milicjantów, którzy niegdyś zaczepiali przechodniów pod byle pretekstem. Po komunistach, tzn. zewnętrznych oznakach ich panowania, ani śladu. Wszędzie portrety i wizerunki „tatička Masaryka”, pierwszego prezydenta Republiki, no i oczywiście obecnego prezydenta Vaclava Havla. Upajająca atmosfera wolności, której w takim stopniu nie odczuwałem nawet w czasach pamiętnej „praskiej wiosny”. Prasa nie do poznania, reprezentująca wysoki poziom kultury publicystycznej. Największą popularnością cieszą się niezależny dziennik *Lidove Noviny* i tygodnik *Občanské Forum*, od razu rozchwytywane, praktycznie nie do nabycia wkrótce po ukazaniu się w kioskach. Najdłuższe kolejki w sklepach z książkami. Moją uwagę przykuwa „sprzedaż książek emigracyjnych” w jednej z większych księgarni na Vaclavskem Namesti, wśród których dominują książki wydawnictwa „Rozmluvy” niestrudzonego i przedsiębiorczego Alexa Tomsky’ego z Londynu (swego czasu redagował „Kronikę czeską i słowacką” w *Kulturze*). Później dowiaduję się od znajomych z jednego z wydawnictw praskich, iż zamierza przenieść produkcję „Rozmluv” do Pragi, w konkurencji z nowopowstającymi, niezależnymi spółkami wydawniczymi.

Nazajutrz siedzę już w autobusie na trasie Praga-Ostrawa, w drodze do stron rodzinnych, na Zaolzie. Zdawałem sobie sprawę, iż obalenie komunizmu w Czechosłowacji oraz postępujący proces demokratyzacji oznaczają nową, być może ostatnią szansę ratowania polskości po „drugiej stronie Olzy”, po przeszło czterdziestu latach bezwzględnej cynicznej czechizacji. Istotne i główne elementy czeskiej polityki narodowościowej na Zaolziu przedstawił niedawno na łamach miesięcznika *Zwrot*¹ Stanisław Zahradnik w art. „Kronika czynów niegodnych”. Zasadniczym ciosem wymierzonym w podstawy istnienia ludności polskiej było ogłoszenie Czechosłowacji państwem wyłącznie Czechów i Słowaków, na skutek czego prawie wszystkim polskim organizacjom przedwojennym (razem ok. 220) zabroniono wznowienia działalności z wyjątkiem szkolnictwa i kultury. Nie uchroniło to jednak szkół polskich na Zaolziu przed natrętnymi ingerencjami i szykanami oraz likwidacją prawie połowy szkół podstawowych. Zlikwidowano również wszystkie niezależne organizacje młodzieży polskiej i polskiego ruchu sportowego. Tzw. „Polski Związek Kulturalno-Oświatowy” (PZKO) sprowadzono do roli posłusznego narzędzia i wykonawcy polityki władz centralnych, co zresztą dobrze pamiętam jeszcze z własnych lat studenckich. W dotkliwy sposób odczuli Polacy, w sensie materialnym i moralnym, również bezprawne zagrabienie majątku byłych organizacji polskich. Umiejętnie wymierzonym ciosem w zwartość polskiej grupy narodowościowej na Zaolziu (celem przyspieszenia asymilacji) była reorganizacja administracji terenowej w r. 1960, oznaczająca w praktyce likwidację powiatu cieszyńskiego, z największą koncentracją ludności polskiej. Kolosalnych rozmiarów nabrały szykany i prześladowania osób indywidualnych, wśród nauczycielstwa, duchowieństwa i innych warstw inteligencji, szczególnie po okresie krótkiej odwilży lat 1968/69. Dochodziło do masowych czystek i zwalniania w prasie (np. wyrzucenie zmarłego w 1976 r. poety cieszyńskiego Henryka Jasiczka z redakcji *Zwrotu*), administracji terenowej, zakładów pracy itd. Co gorsza, wszystko to działo się przy cichym współdziałaniu PZKO oraz milczącej aprobacie konsulatu PRL w Ostrawie.

Rabunkowy rozwój górnictwa, który pociągnął za sobą lawinowy napływ najgorszych elementów społecznych ze wszystkich zakątków Czechosłowacji, stał się równocześnie perfidnie wykorzystywanym, długofalowym narzędziem polityki wynarodowiania Polaków.

1. *Zwrot* — ukazujący się od r. 1949 miesięcznik społeczno-kulturalny na Zaolziu, z wyraźnymi ambicjami literackimi, docierający również do czytelnika w Kraju. Dwanaście lat temu poznałem w Londynie sympatyczną redaktorkę *Zwrotu*, panią Urszulę Hudeczek, od której dowiedziałem się o olbrzymich trudnościach w utrzymaniu autentycznej polskości pisma. Dziś miesięcznik znów wraca do swej dawnej świetności, wyrażając aspiracje narodowe Polaków na Zaolziu. Redakcja *Zwrotu* organizuje w tym roku pierwsze spotkanie Zaolziaków z całego świata, w dn. 29 sierpnia — 2 września. Adres redakcji: ul. J. Božka 16, 737 21 Czeski Cieszyn, Czechosłowacja.

Spustoszenie demograficzne idzie tu w parze z dyskryminacją językową. Napisy na szyldach sklepowych są wprawdzie nadal dwujęzyczne, lecz wygzekkowanie prawa do posługiwania się językiem polskim spotyka się z niechęcią, czasami wręcz z ordynarną opryskliwością. Okres oficjalnej, prymitywnej dyskryminacji Polaków na Zaolziu dobiega na szczęście końca, niemniej wprowadzanie w życie nowej polityki władz centralnych postuwa się ślimaczym tempem. Dotyczy to zresztą nie tylko zmian polityki narodowościowej, lecz całego procesu demokratyzacji i „dekomunizacji” życia społeczno-politycznego w rejonie, w którym komunizm zapuścił szczególnie głębokie korzenie, czerpiąc pożywkę w szerokiej bazie napływowej, uprzywilejowanej ludności górniczej.

Pomimo wszystkich dotychczasowych przeciwności losu, polskość na Zaolziu odradza się, rozwijając nowe formy życia społeczno-politycznego. Tutejsza prasa polska (*Głos Ludu* itd.) po zawieszeniu upokarzającej cenzury staje się na nowo autentycznym wyrazicielem aspiracji narodowych Polaków w Czechosłowacji. Odradzają się licznie organizacje młodzieżowe. W styczniu br. doszło do wznowienia Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej (SMP), a więc trzeciej już po wojnie próby młodzieży polskiej na Zaolziu stworzenia własnej, samorządnej organizacji. Równolegle z SMP odradza się ruch harcerski, mający na Zaolziu długą i chlubną historię, a związany ściśle z moją orłowską *alma mater*. Idee harcerstwa przywedrowały tu z Polski wraz z profesorem Romanem Polakiem, który przez jakiś czas wykładał w Gimnazjum Realnym im. J. Słowackiego w Orłowej², gdzie też zawiązała się jesienią 1912 r. pierwsza drużyna harcerska na Zaolziu, im. T. Rejtana. Po wojnie, po długich potyczkach z władzami czeskimi ZHP zostaje ostatecznie rozwiązany w r. 1951. Po krótkotrwałym wznowieniu działalności wiosną 1968, 64 drużyn ZHP zostaje ponownie zlikwidowanych w kwietniu 1969. Pomimo olbrzymich problemów z mundurkami, zaopatrzeniem itd., drużyny harcerskie na Zaolziu już od stycznia br. jedna po drugiej wznawiają działalność. Nowym naczelnikiem odradzającego się ZHP na Zaolziu został Hm Władysław Sztebel, którego apel o pomoc i wsparcie ukazał się m.in. w *Tygodniku Solidarność*.

Nader ważnym wydarzeniem w odradzającym się życiu politycznym Polaków na Zaolziu jest projekt stworzenia Kongresu Polaków oraz Rady Polaków w Czechosłowacji, obecnie szeroko omawianego na łamach tutejszej prasy polskiej. Wg założeń zaprojektowanego

2. Gimnazjum Realne im. J. Słowackiego w Orłowej, otwarte 23.9.1909, stało się wówczas drugą po gimnazjum klasycznym w Cieszynie polską szkołą średnią na Śląsku Cieszyńskim. Z racji odmówienia funduszy państwowych utrzymywane było (praktycznie aż do „upaństwowienia” po wojnie) przez Macierz Szkolną Księstwa Cieszyńskiego oraz Towarzystwo Szkoły Ludowej w Krakowie. W r. 1949 otwarto cieszyńską filię gimnazjum, a w r. 1964 doszło do ich administracyjnego połączenia w jedną całość. W ubr. gimnazjum orłowskie obchodziło 80-ty jubileusz swego istnienia.

wanego statutu, Kongres ma być najwyższym organem Polaków w Czechosłowacji, a delegaci wybierani w bezpośrednich, wolnych wyborach, w tajnym głosowaniu w Sejmikach. Natomiast Rada Polaków (wyłoniona z przedstawicieli Kongresu) ma otrzymać mandat właściwego rzecznika interesów Polaków w Czechosłowacji, a jako taka posiadać osobowość prawną. Wg art. II statutu „najwyższym posłannictwem Rady Polaków w Czechosłowacji jest ochrona praw i interesów Polaków żyjących w Czechosłowacji, w tym prawa do edukacji w języku ojczystym i w *duchu polskich tradycji narodowych*, utrzymywania więzi z Macierzą i Polonią całego świata”. Odnośne klauzule o szkolnictwie oznaczają więc, iż szkoły mają stać się rzeczywiście „szkołami polskimi”, a nie szkołami „z polskim językiem nauczania”, jak było dotychczas. Nie jest natomiast jasne, do jakiego stopnia rola Rady jako „rzecznika interesów polskich” pokrywa się tu z innym polskim *lobby* w Pradze, mianowicie Komitetem Obywatelskim Polaków w Czechosłowacji (polska komórka Občanskeho Forum). Wg wyjaśnień, jakie otrzymałem w redakcji *Zwrotu*, sprawy te są dopiero w początkowym etapie przygotowawczym, stąd jeszcze wiele niejasności.

Czego chcą i czego spodziewają się Polacy na Zaolziu? Nie sądzę i nie wyobrażam sobie sytuacji, w której domagaliby się powrotu Zaolzia do Polski. Byłoby nad wyraz przykre, gdyby sprawa Zaolzia miała zakłócić wielką szansę historyczną na ułożenie autentycznie przyjaznych stosunków między Polską a Czechami, bodajże pierwszy raz w obecnym stuleciu. Żądają natomiast i mają prawo domagać się trwałych gwarancji dla pełnego i nieskrępowanego rozwoju narodowego na ziemi, którą od pradziada uważają za swą naturalną ojczyznę, a gdzie jeszcze do niedawna stanowili naturalną większość. Mają prawo domagać się zadośćuczynienia i rekompensaty moralnej i materialnej za wszystkie krzywdy i szkody wyrządzone im w czasie długiego okresu bezprawia „czesko-komunistycznego”. Mogą chyba również spodziewać się wsparcia moralnego ze strony Polski, przez którą dotychczas byli traktowani po macoszemu. Pierwsze jaskółki większego zainteresowania Warszawy sprawami Zaolzia pojawiają się już dzisiaj. Przedstawiciel konsulatu generalnego RP w Ostrawie wziął udział w zjeździe założycielskim odrodzonego Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej 28 stycznia br. Z kolei premier Mazowiecki znalazł czas, w czasie styczniowej wizyty w Pradze, na spotkanie z delegacją Polaków z Zaolzia, w czasie którego wręczono mu m.in. „Memorandum w sprawie polskiej prasy w Czechosłowacji”, z ramienia Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Czechosłowacji.

Zamiast być przedmiotem sporów i konfliktów, tak jak to miało miejsce w przeszłości, Zaolzie ma wszelkie dane po temu, by stać się pomostem dla większego wzajemnego zrozumienia i budowania więzów trwałej przyjaźni między narodami Polski i

Czechosłowacji w nowej, post-komunistycznej Europie. Wymaga to jednak szczerego rachunku sumienia ze strony nowych władz w Pradze, tzn. przyznania i naprawienia wyrządzonych krzywd oraz stworzenia odpowiednich podstaw prawnych dla swobodnego rozwoju narodowego Polaków na Zaolziu.

Janusz MONDRY

**BETWEEN EAST AND WEST:
Writings From Kultura**

Edited by Robert Kostrzewa
New York: Hill & Wang/Farrar, Straus & Giroux, 1990

CONTENTS: Preface by Robert Kostrzewa; Introduction by Konstanty Jeleński; Valley Between the Mountains by Józef Szrett; Imperialism: Theirs and Ours by Juliusz Mieroszewski; Two Fatherlands, Two Patriotisms by Jan Józef Lipski; The Suppression of Solidarity by Ryszard Kukliński; About Our Europe by Czesław Miłosz; The Hair Styles of Mieczysław Rakowski by Leopold Tyrmand; The Struggle Between Caesar and God by Leszek Kołakowski; Dostoevsky and Western Intellectuals by Czesław Miłosz; Foxes, Hedgehogs, and Lemmings by Maciej Bróński; Homo Sovieticus by Mikhail Heller; The Knoll by Bohdan Korzeniewski; The Journey by Włodzimierz Odojewski; The Nose by Sławomir Mrozek; The Conversation by Marek Nowakowski; San Dragone by Gustaw Herling-Grudziński.

Do nabycia w księgarniach w Stanach Zjednoczonych lub bezpośrednio u wydawcy:

Hill & Wang/Farrar, Straus & Giroux,
19 Union Square West
New York, NY 10003
USA
Tel.: 1-800-631-8571

Kronika kulturalna

Rozmowy o architekturze*

ANDRZEJ BULANDA: — *Po latach spędzonych w obozie we Francji w pracowni Le Corbusiera podejmuje Pan decyzję powrotu do Polski. Czyba bardzo trudna, zważywszy na okres dziesięciu lat poza krajem oraz konieczność powrotu do nieznanego sobie, nowego systemu politycznego?*

JERZY SOLTAN: — Po wojnie 1939 roku, po obozach, po Francji, mój kontakt z Polską stał się dość chwiejny. Przecież w Polsce zaszły straszliwe zmiany. A równocześnie po latach zakotwiczenia w pracowni Le Corbusiera przyszedł moment, kiedy trzeba było „pójść na swoje”. Wtedy już przychodziły do nas propozycje z tego kontynentu — z Ameryki, z Notre Dame University, żeby się tu przenieść. Miałem też propozycje europejskie — np. prace w Belgii. W sumie nadszedł moment usamodzielnienia się, przejścia na jakieś inne pozycje niż praca w konglomeracie corbusierowskim. Wtedy rzeczywiście wydawało mi się, że pójście w jakimkolwiek zachodnim kierunku byłoby całkowitym lub na bardzo długie lata odsunięciem kontaktu z Polską. A wtedy, w końcu lat czterdziestych, wydawało się, że komunizm czy socjalizm będzie miał swój odrębny wyraz, inny niż komunizm sąsiada-okupanta, że logicznie byłoby osobiście sprawdzić ten stan rzeczy. Postępując w myśl tej logiki, zresztą ku wielkiemu zmartwieniu mojej żony, podjęliśmy decyzję powrotu do kraju. Znajomi i przyjaciele dookoła mówili nam,

* Jerzy Soltan, urodzony w 1913 roku na Łotwie, mieszka od 1965 roku w Stanach Zjednoczonych. Jest emerytowanym profesorem architektury Uniwersytetu Harwardzkiego. Należy do najwybitniejszych nauczycieli akademickich tej dyscypliny na kontynencie amerykańskim.

Profesor Soltan jest absolwentem wydziału architektury Politechniki Warszawskiej. Wzięty do niewoli w czasie kampanii wrześniowej, do 1945 roku pozostawał więźniem oflagu. W latach 1945-49 był w pracowni Le

ostrzegali, że szykują się w Polsce zmiany, wobec których taki człowiek jak ja nie będzie mógł naprawdę działać — pracować efektywnie.

Jeśli weźmiemy daty, to dobrze przed naszym wyjazdem z Francji zaczęło już pachnieć w Polsce zmianami, ale decyzja powrotu zapadła w 1947 r. Odebranie autonomii kulturowej Polsce przez Sowiety było do przewidzenia dla kogoś wtajemniczonego naprawdę w sytuację wschodnioeuropejskiego komunizmu. Nie było to oczywiste dla nas. Wydawało się nie *fair* wobec ojczyzny porzucić ją bez należytego, osobistego poznania.

Ostatnią kropką, wydarzeniem, które pociągnęło za sobą definitywnie nasz wyjazd do Polski, było spotkanie z rektorem ASP w Warszawie, rzeźbiarzem Franciszkiem Strynkiewiczem, który odwiedził nas w Paryżu. Był rok 1948 — duże nadzieje na to, że socjalizm polski będzie szedł po linii oświeconego, otwartego myślenia, a Strynkiewicz miał myśli, koncepcje i ambicje stworzenia w ASP w Warszawie poważnego ośrodka artystycznego i intelektualnego. Ja sam miałem już wtedy za sobą dobre parę lat pracy na Zachodzie. Myślałem wracałem jednak ciągle do Polski. Myślałem, że choć to może trudno, ciężko i nawet niebezpiecznie, trzeba jednak jakoś ten obowiązek osobistego sprawdzenia wypełnić. Wtedy to Franciszek Strynkiewicz zaproponował mi pracę pedagoga, profesora ASP. Ponieważ nie miałem specjalnie dobrych wspomnień z Politechniki (nie dla-

Corbusiera w Paryżu; zarazem współpracował z Fernandem Légerem i prowadził zajęcia ze studentami w Ecole de Beaux Arts, jako asystent Marcela Lods'a.

W 1949 roku wrócił do Polski, by zostać profesorem i dziekanem wydziału architektury wewnątrz Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Kilka miesięcy później usunięty z tych stanowisk, otrzymał również zakaz wykładania przedmiotów związanych ze wzornictwem przemysłowym. Zezwolono mu jedynie na wykłady o podstawowych technikach budownictwa na ASP. W roku 1954 prof. Sołtan objął katedrę projektowania form przemysłowych i wystawiennictwa. Jednocześnie część jego projektów architektonicznych doczekała się realizacji, w tym dworzec Warszawa-Śródmieście, kościół w Sochaczewie, ośrodek sportowy na Mokotowie.

Od 1959 roku Jerzy Sołtan podjął współpracę z Uniwersytetem Harvardzkim, gdzie zrazu wykładał gościnnie. Miał także wykłady gościnne na innych uczelniach w USA i w Kanadzie. Zarazem szereg jego projektów zostało zrealizowanych w Nowej Anglii, w Grecji oraz w Berlinie Zachodnim.

Prof. Sołtan jest od 1969 roku członkiem berlińskiej Akademii der Künste; otrzymał również medal paryskiej Akademii Architektury oraz tytuł *Distinguished Professor* w Stanach Zjednoczonych. Powyższy fragment rozmów Jerzego Sołtana z Andrzejem Bulandą, polskim architektem przebywającym przed kilku laty na stypendium w USA, pochodzi z przygotowywanej do druku książki, która — z licznymi ilustracjami — ukaże się nakładem Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.

tego, żeby mnie tam krzywdzono, po prostu nie było tam nic, co by mnie pociągało), natomiast z obozu jenieckiego miałem dobre wspomnienia ze środowiska plastycznego, odpowiadała mi myśl, że będę związany z architekturą w innym środowisku, nie wiadomo jakim, ale innym. Zgodziłem się. To była bardzo trudna decyzja i tragiczny moment w moim życiu. Zaraz w 1949 roku nastął stalinizm i zorientowaliśmy się, że jest to moment szczególnie dziwny, ryzykowny. Ale jeszcze ciągle mieliśmy nadzieję, że w Polsce stalinizm nie będzie reprezentował tak mocnych kleszczy jak gdzie indziej.

A.B.: — *Skąd ta ufność w ludzkie oblicze polskiego wydania komunizmu?*

J.S.: — Widzi pan, to był wynik charakterystycznego dla pierwszych lat powojennych reżimowego zaklamania, kiedy Bierut na Boże Ciało prowadził jednego z biskupów polskich pod rękę w procesji. Kiedy wyraźnie autonomia sztuki była podkreślana. Kiedy aktywiści, partyjni architekci, nawiązywali gwałtownie kontakty z Zachodem, kiedy Picasso jeździł na Kongres Pokoju do Wrocławia, kiedy Le Corbusier nie schodził z ust „państwa” Syrkusów. To były rzeczy myślące. Wydawało się, że jednak Rosja nie będzie się zbyt brutalnie wtrącać w sprawy kulturowe swych sąsiadów. Tak się wydawało. Dziś można powiedzieć, że to było naiwne. Ale wtedy takie myśli były zrozumiałe. Cały właściwie Zachód, a szczególnie Francja, pokładał kolosalne nadzieje w komunizmie sowieckim. Przecież właśnie wybitni działacze artystyczni Francji w dużej liczbie byli członkami Francuskiej Partii Komunistycznej. Dopiero po Węgrzech, Czechosłowacji, zaczęli tracić nadzieję. W tym okresie widziałem się z ówczesnym ambasadorem PRL w Paryżu, Putramentem, który wyraźnie dawał mi do zrozumienia, że to nie jest najważniejszy moment do powrotu. Pojechaliliśmy jednak do Polski, gdzie dostałem w ASP w Warszawie profesurę nadzwyczajną w dziedzinie projektowania. Nie było bardzo dokładnie powiedziane, co to projektowanie miało obejmować. Wiadomo było, że miałem prowadzić projektowanie *design*. Byliśmy w Warszawie w sierpniu, już na jesieni zostałem dziekanem wydziału architektury wnętrz. Tak się wtedy ten wydział nazywał w Akademii. Chodziło o to, aby nie wchodzić w drogę Wydziałowi Architektury na Politechnice. Z architekturą poprzez wnętrza Akademia miała bliskie związki dzięki wybitnym ludziom jak Wojciech Jastrzębowski, meblarze Kurzątkowski i Knothe. Mieli oni poważny dorobek, poważniejszy niż architekci z Politechniki w dziedzinie wnętrz. Strynkiewiczowi chodziło o to, aby wnętrza

nie były w jakimś sensie odosobnione. A ponieważ ja miałem praktykę u Le Corbusiera, u Fernanda Légera, w Union des Artistes Modernes, gdzie połączeni byli architekci z meblarzami, wnętrzarzami i malarzami, wydawałem się dobrym na tę pozycję kandydatem. Jesienią zostałem dziekanem tego interesu. Rozpoczynałem pracę pełen nadziei i planów na przyszłość. Już jednak gdzieś w zimie nastąpił całkowity przełom w życiu politycznym i kulturalnym — przejście na stalinizm, z dużymi zmianami w Ministerstwie Kultury i Sztuki, któremu Akademia podlegała. W grudniu chyba odbył się sławny Zjazd w Krakowie, na Wawelu... Tragiczny, przełomowy moment. Najrozmaitsze okropności były tam wtedy przedstawiane. Polityczne, artystyczne i intelektualne bzdury wypowiadali ludzie o dużym kalibrze. Byłem zupełnie chory, siedząc jako ten niedawno upieczony dziekan i słuchając fałszowania faktów i, co gorsza, gadania bzdur — gadania pięknym do tego językiem przez „czołowe” postacie polskiej kultury i nauki. Niewiele nazwisk zostało mi w pamięci. Zanim to byłem wstrząśnięty różnymi intelektualnymi zdradami, czy choćby tylko sowieckimi rewelacjami. Niestety, był tam przede wszystkim „mój” Juliusz Starzyński, był Suchodolski, był Wyka... itd., itd. Architekci nie byli reprezentowani. Oni należeli do innego „resortu”. Odbyli swój kongres już wcześniej. Po kongresie tym wszystko się w „polskiej sztuce” zmieniło. Na horyzoncie pojawiły się postacie nauczycieli socrealizmu. Potworna mieszanka intelektu, wazeliny i ...strachu. W pamięci tkwią mi postacie: wymownego intelektualisty, erudyty — tak dobrze znanego mi Starzyńskiego. Jego, Stefana Morawskiego i starych „uczciwych” komunistów można było jeszcze słuchać. Najgorsze były te importy sowieckie z Włodzimierzem Zakrzewskim na czele. Krajewscy podobno do dziś uczciwie trwają na posterunku. Okropny Zakrzewski urządził się podobno lepiej. Prosperuje dalej, tylko gdzieś na Zachodzie. W Akademii nastąpiły czasy stalinowskie, tak jak wszędzie. Strynkiewicz, który był członkiem partii komunistycznej, ale równocześnie otwartym i dobrej woli człowiekiem, próbował to jakoś łagodzić i prostować. Oczywiście, potwornie trudne zadanie. Jeśli chodzi o mnie to chyba gdzieś na wiosnę 1950 roku nie tylko zostałem usunięty z dziekanatu, ale odebrano mi prawo nauczania jakiegokolwiek projektowania. A trzeba było przecież jakoś żyć (z żoną, jednym dzieckiem czteroletnim i drugim „w przygotowaniu”). Wtedy to, dzięki przychylnym kolegom z Akademii dostałem prawo nauczania podstawowego budownictwa. Otrzymałem się więc podgręcznikami z dziedziny kładzenia cegły, podstawowej ciesiołki, stolarki i starałem się z tego coś zrobić. Ale tylko dzięki Strynkiewiczowi i Kazimierzowi Nicie — bardzo wybitnej postaci, członkowi partii — miałem możliwość przeży-

cia tego okresu w ogóle. Franciszek Strynkiewicz przestał być — nie pamiętam już kiedy — rektorem, a na jego miejsce wszedł malarz Kazimierz Tomorowicz, potem Marian Wnuk — rzeźbiarz. Nie mam słów zachwytu, jak umiejętnie, mądrze i z oddaniem dla sprawy prawdziwej sztuki ci ludzie lawirowali w tych niesłychanych warunkach. Mam nadzieję, że nie tylko ja staram się upamiętnić ich zasługi, a szczególnie Wnuka. Sięgają one, wydaje mi się, daleko poza warszawską Akademię, które tyle lat rektorował.

A.B.: — *Dlaczego, jak Pan dziś przypuszcza, usunięto Pana z dziekanatu? Czy przyczyną tego była pańska przeszłość we Francji, praca z Le Corbusierem, czy działalność w Akademii w Warszawie?*

J.S.: — I to i to. Przede wszystkim ludzie powiązani z „kapitalistyczno-imperialistyczną” sztuką Zachodu byli od razu spaleni. Pamiętam zebrania z nową kierowniczką wydziału szkolnictwa, zrobioną na stalinizm — p. Mangielową. Kilku z nas było wzywanych na te zebrania, na naukę jak należy uczyć i w ogóle postępować. Ja byłem od razu trefny, bo niejako wprost od Le Corbusiera, ale był i np. znany stary komunistą z dawnymi przyjaźniami wśród wybitnych artystów-komunistów sowieckich — Strzeмиński, zresztą kaleka, członek KPP, który dostawał nauczki równie *direct* jak ja. I szereg innych kolegów od sztuki wizualnej, którzy byli powiązani bezpośrednio ze starą polską partią komunistyczną. Ja byłem podwójnie „strefiony”: bo po prostu nie mogłem postępować inaczej, w głowie mi się to nie mieściło, mogłem być tylko sobą, poza tym byłem bezpośrednio importowany od tych najokropniejszych ludzi, jak przede wszystkim Le Corbusier, który nie poddał się socrealizmowi we Francji, nie był nigdy partyjny. Drugi mój szef, Fernand Léger, był członkiem francuskiej partii komunistycznej, ale ja jednak byłem luźniej związany z Légerem, niż z Corbusierem. Zresztą sam Léger nigdy nie był dla Sowietów ortodoksyjny artystycznie.

A.B.: — *Wizyty między Le Corbusierem a Moskwą były kiedyś bardzo bliskie, ale w końcu ta przyjaźń musiała się skończyć...*

J.S.: — Przyjaźń Corbusiera z Moskwą trwała tak długo, jak długo artyści mieli coś do powiedzenia w sprawach sztuki. Mam wrażenie, że to był mniej więcej okres, w którym wpływy mieli jeszcze trockiści. Le Corbusier znał się z niektórymi z nich, popierała go np. siostra Trockiego. W momencie, kiedy to zaczę-

ło trzeszczeć, obłożono go anatamą w Rosji. To było chyba w późnych latach dwudziestych. Wobec tego w momencie, kiedy Rosja zapanowała rzeczywiście w kulturze polskiej, Le Corbusier stał się wyklęty również w Polsce. Zbiegło się to w czasie z momentem, kiedy ambasador PRL w Paryżu, Putrament, dawał mi do zrozumienia, że decyzja nasza przenoszenia się do Warszawy wypada „nie na czasie”...

Taki życiowy zbieg okoliczności, tragiczny, ale fascynujący. Wtedy też mogłem obserwować, że Akademia rozgrywała te sprawy inaczej niż Wydział Architektury Politechniki. Szlachetni ludzie w Akademii próbowali uchronić sztukę, kulturę polską, czego nie widziałem na Politechnice, którą również obserwowałem, choć nie byłem jej członkiem.

A.B.: — *Czy zdaniem Pana Politechnika poszła całkowicie na socrealizm, biernie podporządkowując się wszystkim odgórnym dyrektywom?*

J.S.: — Chyba tak. Oprócz środowiska historycznego, to znaczy pracowni po Sosnowskim — Zachwatowicza — nie czuło się w Polsce jakiegoś oporu ze strony Politechniki, ze strony architektów. Natomiast wyraźnie się go czuło w Akademii. Jest to do pewnego stopnia wytłumaczalne, ale fakt pozostaje faktem. Przyjemnie jest mówić o postaciach pozytywnych, bo rzeczywiście nie mam słów zachwytu dla Mariana Wnuka i Kazimierza Nity, który był przez dłuższy czas moim dziekanem, i to zarówno dla ich działalności w życiu uczelnianym, jak i na zebraniach organizowanych dla pedagogów przez władze partyjne czy rządowe. Z tych dwóch tylko Nita należał do partii (nie wiem, co było lepszym ustawieniem dla spraw kultury i sztuki). Byłem świadkiem infiltracji ze strony Politechniki, żeby jakoś przerobić charakter Akademii Warszawskiej. Mogłem obserwować na zebraniach takich politruków, jak Zygmunt Kamiński, grafik, zresztą poprzez żonę Trzecińską-Kamińską powiązany z najbardziej reakcyjnymi kołami katolickimi. Byłem świadkiem, jak profesor Kamiński na jakimś zebraniu otwartym Akademii z okazji 1 Maja albo 22 Lipca zabrał głos, stwierdzając, że przecież wszyscy wiedzą, jak należy sztukę prowadzić w kierunku socrealizmu. Rektor Marian Wnuk przerwał mu wtedy więcej takimi słowami: „Panie profesorze, Pan jest w Akademii, a nie na Politechnice. My tutaj rozumiemy innymi kategoriami”. I tę „atmosferę UB”, którą Kamiński wokół siebie rozpylał, Wnuk ściał. Kamiński był przerażony i zde gustowany, bo złapany został na gorącym uczynku smrodzenia, złapany przez wybitnego polskiego rzeźbiarza. Usiadł i nie wiedział, co powiedzieć.

A.B.: — *To dosyć mocna krytyka postawy Zygmunta Kamińskiego.*

J.S.: — Tak, niestety to prawda. Powyższy przykład ilustruje postawę „polityczno-artystyczną” Kamińskiego, co do postawy „pedagogiczno-artystycznej” — to jest ona skomplikowana. Byłem dobrym studentem Kamińskiego w latach trzydziestych. Byłem ceniony i robiłem nawet za pieniądze tzw. rysunek odręczny tym studentom, którzy przez Kamińskiego nie mogli przebrnąć. Zdawałem sobie już wtedy sprawę, że to jest pedagog zdolny nauczyć pewnego sposobu traktowania ołówka na płaszczyźnie. Kiedy dostałem się do obozu jenieckiego razem z kilkoma kolegami z Politechniki, ale z dużo większą grupą kolegów ze świata malarskiego, szczególnie z Akademii warszawskiej, zdałem sobie sprawę, że działalność Kamińskiego była w jakiś sposób płytkim uczeniem technik użycia ołówka. Nie było w tym nic, powtarzam, nic z rozwijania, przybliżania studenta do spraw wizualnych w szerszym tego słowa rozumieniu.

A.B.: — *Nie było nic, czy może Kamiński uważał „rzemieślniczy rysunek” za pierwszy krok, niezbędne minimum, obowiązkowy warsztat architekta, nic więcej?*

J.S.: — Tego nie wiem, nigdy nie miałem możliwości zetknięcia się z Kamińskim w jakiejś rozmowie o sztuce. I nie słyszałem, żeby ktokolwiek takie rozmowy prowadził. Najkulturalniejszy asystent, najdelikatniejszy, z jakim miałem do czynienia, to Kazimierz Marczewski. Inni byli — nie chcę, żeby zabrzmiało to zbyt pejoratywnie, ale — właściwie pachółkami Kamińskiego, którzy uczyli tych samych chwytów. Czy i gdzie mogło nastąpić tu jakieś zetknięcie się ze sprawami szerszymi, głębszymi — tego nie wiem, ale jest faktem, że przez cały czas mego pobytu nigdy niczego z tych rzeczy, które poruszali ciągle, o których myśleli i mówili w obozie ludzie ze świata Akademii, ze świata pracowni malarskich, w nauczaniu nie było. Na pociechę można stwierdzić, że dziś, z perspektywy znajomości wielu szkół architektury, w wielu zakątkach świata, wiem jak trudno znaleźć mądre i głębokie uczenie i rozwijanie młodych architektów w dziedzinie wizualnej. Trudno znaleźć, ale można. Wydaje mi się, że takim pozytywnym przykładem jest choćby nasza rodaczka Stanisława Sandecka-Nowicka, żona znanego polskiego architekta Macieja Nowickiego. Długie lata była ona wybitnym pedagogiem od spraw wizualnych w Szkole Sztuk Pięknych Uniwersytetu Pensylwańskiego w Filadelfii. Wracając do postawy polityczno-artystycznej i różnic między architekturą na Politech-

nice i w Akademii warszawskiej; nie znam wypadku „wypożyczenia” pedagogów ze środowiska sztuk pięknych, aby robić socrealistyczny porządek na Politechnice. Odwrotnie zaś, od razu przychodzą mi na myśl dwa przykłady belfrów odkomenderowanych do Akademii. Wspomniany już Kamiński oraz Jan Bogusławski — profesor, architekt. Ten ostatni był wtyczką — bezpartyjną zresztą wtyczką politechniczną — przyslaną na architekturę, formalnie biorąc Architekturę Wnętrz Akademii. Pamiętam też jak dziś, kiedy to na jakimś zebraniu tego wydziału Bogusławski zabrał z pompą głos, przypominając obecnym obowiązek nauczania w duchu socrealizmu. Wtedy to przerwał mu ówczesny dziekan tego wydziału — malarz Kazimierz Nita. „Proszę kolegi, mnie partyjnego nie będzie tu kolega uczył...” Bogusławski zamilkł speszony. Partyjny, uczciwy — ucina bezpartyjnego nadgorliwca — piękne! Specjaliści z Politechniki chodzili w oparach władzy reżimu. Środowisko „sztuk pięknych” obfitowało w piękne postacie starych komunistów, wiernych swoim zasadom artystycznym. Próbowano też opierać się władzy. W środowisku ściśle architektonicznym oporu nie było. Czy istniał gdzieś w ukryciu? W środowisku Sztuk Pięknych opór był jasno czytelny. Może architekci mieli trudniejsze zadanie. Rysunki, malunki czy rzeźby można kazać schować do szuflady, piwnicy czy na strych, można też je po prostu łatwo zniszczyć. Budynki powinny trwać i potwierdzać potęgę władzy, która je zleciła. Architekci są w tej mierze dla władzy ważniejsi. Rezultat ich pracy kosztuje. Ale tak łatwutko zmieniać swoją postawę jak to czynili znani mi architekci polscy w latach pięćdziesiątych? I to z oddanymi modernistami na czele? Jeżeli chodzi np. o Bogusławskiego, to w swoich pracach oddał się całkowicie dekoracyjności socrealizmu, tak, że przejście od tego co robił przed wojną do tego, co po wojnie nie świadczy o tym, że był zawodowo człowiekiem z wielkimi zasadami. Jednak malarze i niektórzy graficy trzymali się dawnej swojej linii i zostali wyrzuceni poza margines. Tak nie stało się z Bogusławskim. Świadczy o tym kolosalne powodzenie w tamtych latach, kiedy był jednym z najbardziej cenionych dekoratorów socrealizmu.

A.B.: — *Jednak od pouczeń do rozpylania, jak Pan powiedział, „nieprzyjemnej atmosfery UB wokół siebie”, droga daleka.*

J.S.: — To pan, panie Andrzeju, nie ocenia właściwie lat stalinowskich, kiedy powiedzenie „my wiemy, jak należy robić socrealizm”, oznaczało, że za wypowiadającym to zdanie stoi władza, a władzą wtedy był Urząd Bezpieczeństwa.

A.B.: — *Jednocześnie, w jakimś sensie sam Pan później rozgrzesza tych architektów, których wcześniej krytykował Pan za ugodowość i zawodową prostytucję?*

J.S.: — Tak i ... nie! Architekt działa przez budowanie, nie przez składanie rysunków do teczki. W reżymie, w którym nie można budować bez zatwierdzeń, prowadzi to do zrozumiałej słabości. Chodzi oczywiście o to, jak dalece ta słabość jest artystyczna. Kiedy José Luis Sert — autor Pawilonu Wolnej Hiszpanii, przedfrankistowskiej, w którym znalazła się „Guernica” Picassa — robił siedzibę dla faszystowskiego dyktatora Kuby Batisty, nie zmienił ani o jotę swojego podejścia do architektury, podczas gdy Bogusławski przed wojną a Bogusławski później to dwaj zupełnie różni ludzie. Tak samo zresztą jak Brukalscy — przed wojną członkowie i interpretatorzy zasad CIAM: ich powojenny teatr na Żoliborzu dowodził, że zgodzili się na zmiany niedopuszczalne. Zwłaszcza mając piękne przykłady wierności swym zasadom wśród malarzy, i to komunistów. Projekt teatru żoliborskiego czy Sejmu — tego „tortu ślubnego”, pomyślanego jako parlament państwa komunistycznego — są dla mnie obelgami artystycznymi. Czy dekoracyjność socrealistyczna musiała być przeprowadzona tak straszliwie prymitywnie?

A.B.: — *Czy to sprawa talentu, czy spełnienia oczekiwań formalnych?*

J.S.: — Wydaje mi się, że przy większej kulturze, inteligencji i talencie można było wycisnąć z tego więcej. Przykładem projekt Romualda Gutta na Skarpie Ujazdowskiej. Tam gdzie teraz, po radykalnym zlikwidowaniu nieźle zachowanych ruin Zamku Książąt Mazowieckich, wybudowano zamiast proponowanego „Teatru Żołnierza” nowy zabytek... nowy Zamek Książąt Mazowieckich. Inaczej mówiąc: naprzód usunięto spore, jak na warunki polskie, resztki autentycznego chyba Zamku, a żeby zrobić miejsce na „Teatr Żołnierza”, po czym szybko zaniechano budowy gotowego już projektu Gutta i wybudowano „nowiutki” Zamek Książąt Mazowieckich.

A.B.: — *Generalnie jest Pan przeciwnikiem robienia „nowych zabytków”. Czy uznaje Pan jakieś odstępstwa od tej reguły? Mam na myśli sytuację, gdzie znaczenie emocjonalne aktu odbudowy przesłania teorie architektury Zeitgeistu?*

J.S.: — Robienie „nowych zabytków”, czy też wierne odtwarzanie starych, to bardzo trudny problem, związany ściśle z

sytuacją kulturową, emocjonalną, nawet polityczną kraju. Logiczne jest chyba inne stanowisko wobec tych spraw w kraju opływającym w historyczne momenty, jak Francja, Hiszpania, Włochy ... i w Polsce, w tym, jak Churchill mówił, „korytarzu wojennym Europy”. Polska cierpi na niedomiar historii wizualnej. Zachód Europy nie może sobie poradzić z utrzymaniem nadmiaru, *Zeitgeist* polski i zachodnioeuropejski muszą wyrażać się wobec zabytków w sposób różny. Polska, wydaje mi się, może tolerować czasem sytuacje zgoła przedziwne. Podam kilka przykładów: katedra warszawska została zburzona podczas II wojny światowej. Przed tym zburzeniem była ona dziwnym tworem pseudogotyckim, „porodzonym” na początku XX wieku przez architekta Idzikowskiego. Po wojnie Jan Zachwatowicz — projektant nowej katedry — nie starał się budować „gotyku Idzikowskiego”. Sięgnął do źródeł innych, do gotyku nadwiślańskiego, bałtyckiego czy niemieckiego. Czy miał prawo to uczynić? Czy jego projekt był bliższy prawdy? Czy w tej sytuacji prawda jest ważna? Ja osobiście wolę prawdę wizualną Zachwatowicza i nawet miło mi podtrzymywać w sobie złudzenie, że obecna katedra jest prawdziwa i do tego ładniejsza. *Si non e vero — e ben trovato*.

Przykład drugi to Zamek Warszawski. Za mojej pamięci, przed wojną 1939 roku był to niezgrabny blok, niby renesansowy. Podczas wojny zburzony, po wojnie przedstawiony w postaci obrysu planu — mury sięgające do wysokości kilku stóp — czysta abstrakcja na tle pięknego otwartego teraz pejzażu. Piękna abstrakcja wiele dająca, zmuszająca do myślenia, pobudzająca wyobraźnię. Tak ten tragiczny, jedyny w swym rodzaju monument trwał przez prawie dziesięć lat. Nagle zapada decyzja, że Zamek będzie odbudowany. Zamek był brzydki. Jest więc potencjalna szansa, aby zrobić go pięknym lub choćby piękniejszym. Obok przecież mamy ten przypadek katedry warszawskiej, ale w wypadku katedry był Idzikowski *versus* Zachwatowicz, w wypadku Zamku znany był oryginał. Pamiętam krążącą po Warszawie wieść, że na odbudowę nowego-starego Zamku ogłoszony będzie konkurs architektoniczny. Konkurs na co? Na umiejętność oddania prawdy? Czy konkurs na piękność? Ostatecznie nowy Zamek jest podobny do poprzedniego; jest niezgrabnym blokiem, zastania piękny, wiślany widok. Nowy Zamek jest, jak mówiono, wyższy, no i ma teraz dodatkową wieżyczkę. Czy ta wieżyczka to powrót do prawdy dawniejszej niż rok 1939? Czy to usiłowanie autorów, aby nieco ożywić i upiększyć martwą, nudną, ciężką sylwetę Zamku? W nowym Zamku jest mniej miejsca na marzenie. Zniknęła tradycja. Można podziwiać fachowość i zręczność autorów odbudowy. Można zdobyć trochę informacji architektonicznych o stylach

epok, które teoretycznie budowla ta przeżyła. Taki katalog budowy z krótką lekcją historii. Trudno jednak chyba stojąc w tych nowiutkich stylowych salach czuć główny dramat, przez który one przeszły — dramat odchodzenia, wielki dramat Warszawy, Polski. Czy tak ogromny stopień złożoności zabytku historycznego nie powinien wykluczać jego odbudowy? Gdzie jest granica między podtrzymywaniem historii a produkowaniem replik-skansenów? Obsługa budynku powinna wtedy włożyć stroje obsługiwanych epok! Jest to niebezpieczna droga od opieki nad historią do jej kałeczenia, czasem prawie do świętokradztwa. Przykład trzeci to mury obronne starej Warszawy. Niezmiernie je sobie cenię. Dają mi one radości płynące z wielu kierunków. Podniecają myślenie, dają emocje estetyczne, wydają mi się po prostu piękne i bliskie. Nie wiem oczywiście, na ile są prawdziwe, ale już troska autora aby pokazać co jest dawne, autentyczne, a co dobudowane, ta linia oddzielająca stare od nowego działa hipnotyzująco, sugeruje zaufanie. Sama tektonika murów podnieca wyobraźnię. Podsuwa pytania: po co to załamanie, ten występ? Po co to wyrzucenie? Co tu się działo? Jakiemu dramatycznemu celowi odpowiada ten a nie inny układ brył? Natomiast czysto wizualnie układ murów raduje. Nie bez znaczenia jest tu też pewno owa postulowana przez Witruwiusza „jedność w różnorodności”. Poza tym formy te należą jakby do „naszego”, do „mojego” świata. Nie dla swej polskości, ale przez przynależność do jakiejś wczesności, do epoki formowania się, szukania. Są tak bardzo „wczesne”, że aż „bezczasowe”, a więc jakby współczesne. I znów przypomina mi się Brancusi, Léger, Picasso, Leonidow czy Le Corbusier i owe instynktowne wiązanie się z modernizmami innych epok i kultur. A teraz trochę „zabytkowiczowskiego” humoru. Zawsze zachwyca mnie dzieło Noakowskiego. Dał on polskiej architekturze jej wizualną obecność. Matejko zrobił to całej polskiej historii. Stanisław Noakowski wyniósł architekturę do strefy pięknej bajki. On jeden — jedyny rodowity Polak — mógł zdziałać więcej, niż wszyscy ocaleni cudem czy straceni imigranci wzięci do kupy, jak: Berecci, Santi Gucci, Tylman van Gameren, etc. Czy nie można by tej wielkości Noakowskiego jakoś wyzyskać? Zamożni Polacy z Zachodu składają dziś swej ojczyźnie dary, finansują różne pomoce. Może by jakiś zacy bogacz sfinansował budowę paru „noakowskich zabytków”?

A.B.: — *Wracając do wspomnianego przez Pana wcześniej projektu Sejmu Bohdana Pniewskiego. Czym powinien być pańskim zdaniem „parlament” państwa komunistycznego?*

J.S.: — Nie można słowami wyrazić tego tak prosto i jednoznacznie. Na pewno nie powinien w sposób bezpośredni dawać asocjacji, które tu są dla mnie oczywiste, z jakimś innym znanym światem. W wypadku warszawskiego Sejmu jest to świat cukiernictwa, lukrowanych, tortowych ozdób. To się oczywiście czuje albo nie, ale asocjacje z pewnością nie są architektoniczne. A jakie powinny być? To już osobny problem. Może w takich przypadkach trzeba sięgać do tradycji prawdziwych, tradycji związanych od dawna z funkcjami i symboliką parlamentu. Tego w tym wypadku oczywiście nie ma i nie wydaje mi się, aby można było tu użyć słowa „naiwność”. Zachód przedmodernistyczny miał swoje prototypy eklektyczne, które wiadomo było, jak stosować, i które twardo stosowano. Świat modernistyczny próbował nowych form. Widać to tak dobrze na przykładach np. „Sejmu narodów”, czyli Pałacu Ligi Narodów w Genewie, czy chociażby Pałacu Sowietów w Moskwie. Rosja, choć geograficznie wschodnia, należała przecież w pewnym okresie do krajów starających się dać nowym czasom nowe formy. Wyniki tych starań były może jeszcze często wizualnie dalekie od wzruszających. Był to przecież okres „pudełek od zapalek”. Potem w Rosji przyszedł socrealizm, zdobnictwo Rudniewa i innych reżimowych architektów sowieckich. Przyszedł nowy eklektyzm. Ale nawet w ramach tego sowieckiego eklektyzmu nie widać zachęty, aby formy poważnych budynków, siedzib władzy, pożywać od cukierników. Wydaje mi się, że moskiewski projekt Ministerstwa Przemysłu Ciężkiego — autorstwa Leonidowa — jest w pełni odpowiedzią na pańskie pytanie. Ma on w sobie elementy tego, czym w rękach kogoś utalentowanego ma być architektura jako symbol współczesności. Jest chyba pięknym połączeniem tradycji z pełnym nowatorstwem. Czy Leonidow miał więcej „obiektywnych”, „fizycznych” danych niż Pniewski, aby stworzyć ten wybitny projekt? Czy miał lepsze wyszkolenie, wykształcenie? Czy więcej jeździł po świecie? Czy mógł wchłoniąć więcej cudów architektury? Żeby to w przypadku Sejmu można było mówić o jakiejś perfidii, jakiejś świadomej perwersji: szukać symbolu komunistycznej demokracji i jej „parlamentu” w ślubnym czy urodzinowym torcie. Byłaby to perwersja postmodernistyczna, na którą stać kogoś może by było kogoś typu Charlesa Moore’a, robiącego wszystko z ironią, kpina, wsadzającego przysłowiowe igły w tyłek widza, czy może nawet intelektualistę Roberta Venturiego. To na pewno nie była intencja Pniewskiego w projekcie PRL-owskiego Sejmu czy Brukalskich w ich żoliborskim teatrze. Oni byli niestety straszliwie poważni. Innymi charakterystycznymi postaciami reżimu było małżeństwo Syrkusów. Przecież oboje byli członkami bardzo nielicznej grupy polskich architektów związanych z *Congrès Internationaux d'Architecture*

Moderne. Helena Syrkusowa była bardzo aktywną działaczką CIAM-u. Istniały tam dwie linie, które niedostatecznie są w historii architektury uwzględniane. Helena Syrkusowa była wyraźnie po stronie nieaktywnej, jeśli chodzi o jakość architektury, jej wyraz plastyczny. Była natomiast bliska tych architektów, którzy na pierwszy plan stawiali sprawy społeczne, ekonomiczne, całą racjonalną stronę budownictwa. „Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy”. To hasło stało się charakterystycznym wyrazem celów tej grupy architektów. Hans Meyer, znany architekt niemiecki, jeden z dyrektorów Bauhausu, komunista, może być cytowany jako jedna z czołowych postaci reprezentujących postawę społeczną całego ruchu. Syrkusowie byli rzeczywiście czynni w tej grupie CIAM. Znali też o sobie jako czołowe jej postaci. Od nastania Polski Ludowej do objawienia się socrealizmu gorliwie starali się nawiązać i odnowić stosunki z postępowym Zachodem. Od momentu gdy Rosja zmieniła swą postawę, czy raczej od chwili kiedy zdecydowała się okazywać właściwą postawę wobec satelitów, Syrkusowie zmienili się całkowicie. Weszli oni, starzy CIAM-owcy, do uprzywilejowanej grupy architektów reżimu, razem w jednym szeregu z prowadzonymi architektonicznymi sprowadzonymi wprost z Rosji. Na Zachodzie zauważono wystąpienie Syrkusowej na Kongresie CIAM w Bergamo, gdzie próbowała lansować socrealizm. Później stała się jedną z bardziej agresywnych postaci reżimu stalinowskiego przy wprowadzaniu socrealizmu do architektury w Polsce. Jej też przypisuje się autorstwo pewnej związanej z Le Corbusierem anegdoty, która kursowała po Warszawie. Otóż Le Corbusier używał w swojej urbanistyce terminu „osłe ścieżki” — drogi, którymi dawnymi czasy chodziły karawany, wielbłądy, osiołki, drogi często niezależne od prostokątnej siatki ulicznej, ścieżki — *les chemins des ânes*. Helena Syrkusowa dodała: „Tak jak te osłe ścieżki, osli był umysł Le Corbusiera”. Specjalnie przykre było to angażowanie osobistych znajomości, czy jak się to przy innej koniunkturze podkreślało — przyjaźni, do dyskredytowania tak niedawno porzuconej postawy.

A.B.: — Czy był to pańskim zdaniem w przypadku np. Syrkusów przełom filozoficzno-profesjonalny, czy zmiana koniunkturalna, odpowiadająca kolejnym przeobrażeniom w historii politycznej Polski?

J.S.: — Wydaje mi się, w związku z tym, co nastąpiło potem, że to było ściśle koniunkturalne. Po powrocie Gomułki Syrkusowie próbowali znów dołączyć do postępowych architektów Zachodu i zamazywać po raz wtóry niedawną przeszłość. W

późnych latach pięćdziesiątych kilku z tych architektów, którzy byli związani z postępowymi myślicielami Zachodu, a w okresie stalinizmu opowiedzieli się za socrealizmem, wróciło na łono poprzedniej filozofii. Oprócz Syrkusów był w te sprawy bardzo zaangażowany Lachert, przez kilka lat dziekan Wydziału Architektury na Politechnice, członek grupy Praesens — polskiego odgałęzienia CIAM. Był też jedyny chyba międzywojenny, polski współpracownik Le Corbusiera — Zygmunt Skibniewski. Różnica między Skibniewskim a resztą tych „zmieniających skórę” polegała na tym, że dla obserwatora z zewnątrz — jak ja — Skibniewski przede wszystkim działał „za socrealizmem”, nie słysząc go było występującego przeciw dawnej swojej filozofii, czy dawnemu szefowi — Le Corbusierowi. Inni angażowali się w dyskredytację, w szydzenie i negację Zachodu, który w poprzednim swym wcieleniu tak wielbili. Podobnie rzecz miała się z Bohdanem Lachertem — czołowym przedwojennym polskim modernistą. Był związany z Syrkusami, był członkiem polskiej grupy Praesens. Tu znowu widzi się różnice między środowiskiem architektonicznym a linią, jaką zachowali ludzie związani z malarstwem. Strzemiński, też członek Praesensu, pozostał wierny swojej wizji. Został potępiony. Dostawał po głowie na licznych zebraniach, na których byłem obecny, podczas gdy jego koledzy architektki opływali w reżimowe zaszczyty, żeby później wrócić do nowoczesności. Strzemiński nie miał gdzie wracać, bo zawsze był przyzwoitym człowiekiem. To samo inni malarze, dobrze mi znani, dawni marksiści polscy, jak Jaremianka, Alfred Lenica, Aleksander Rafałowski, Kazimierz Nita, Jonasz Stern, Henryk Włodarski. Choć sam byłem związany „pedagogicznie” z polskim środowiskiem plastycznym, nie zaś czysto architektoniczno-politechnicznym, mogłem obserwować co się działo i tu i tam. Czuję się też uprawniony do przedstawienia tego, co wiedziało o tych sprawach polska inteligentka opinia publiczna, nie tylko zawodowcy; o czym dyskutowali studenci. Jeśli nawet znani architekci, dawni moderniści, mieli jakieś duchowe niepokoje, to o tym opinia publiczna nie wiedziała. O tarcjach w świecie plastyki było wiadomo. A przecież nie ewentualne, dobrze ukryte cierpienia, a otwarta walka i protesty są tu ważne. Sytuacja w architekturze stała się w końcu tak napięta, do czego byli dawni CIAM-owcy walnie się przyczynili, że co uczciwsi wobec siebie samych projektanci zaczęli szukać „pod-dziedzin”, w których czujność władz i, co gorsza, nadgorliwych kolegów była mniej aktywna. Zakwitło więc projektowanie wystaw, tzw. wystawiennictwo (sam wciągnąłem się w nie bardzo intensywnie), projektowanie zakładów przmysłowych; zwłaszcza przy sowieckiej obsesji co do tajemnic państwowych. Autor projektu przykładał bowiem do swojego niewinnego całkiem dzieła pieczęć „tajne” i

unikal wglądu upolitycznionych kolegów. Ponadto pojawiła się też właściwie nieznaną w Polsce dziedzina, ochrzczone nazwą „wzornictwo przemysłowe”. Tu też cudem ingerencja polityczna była znikoma, a politycy odpowiedzialni za poziom i administrację, np. wicepremier Eugeniusz Szyr czy Zofia Szydłowska byli światli, bardzo otwarci, czuli na rzeczywiste dobro sprawy. We wzornictwo wszedłem też bardzo czynnie, stałem się jakby jednym z jego założycieli. Zawsze też czułem atmosferę przyjaźni i chęć poparcia tego, co wydawało się naprawdę istotne. Oaza przyzwoitych ludzi była wreszcie ogromnie rozbudowana w dziedzinie ochrony zabytków. Tutaj przynajmniej sowiecki slogan „sztuka ma być socjalistyczna w treści, a narodowa w formie” niewiele mógł zdziałać. Nikt nie kwestionował narodowej formy najbardziej arystokratycznych zabytków. Nikt z polityków czy gorliwych kolegów nosa tam nie wtykał, stąd też i trudność wymienienia postaci walczących o „dobro sprawy”. Tam po prostu nie było „sprawy”.

A.B.: — *A czy ten typ architektury, jaką reprezentowali Syrkowskie i inni polscy moderniści, zakłada możliwość twórczości artystycznej, czy ją wyklucza? Może w ramach tej filozofii to, co pozostaje to właśnie pudełka w regularnym układzie?*

J.S.: — Twórczość artystyczna nigdy nie jest wykluczona! Sytuacja nie była łatwa, początki są przecież zawsze trudne, ale za to wielce obiecujące. W rękach architektów innych krajów pojawiło się nieco „suchych” może jeszcze projektów, ale już wyraźnie zwiastujących możliwości prawdziwie architektoniczno-artystyczne, i to nawet w dziedzinie masowego budownictwa mieszkaniowego. Przykłady: jedną z pierwszych „jaskółek” był dla mnie projekt Le Corbusiera robotniczych domków typu Loucheur, jeszcze w latach dwudziestych. Potem projekty na tak urocze, a tak zupełnie „kryzysowe” osiedla dla mieszkańców tymczasowych, przejściowych (*habitations transitoires*), potem szwajcarskie projekty autorów z „Atelier 5” (Hallen i Thalmat), czy międzynarodowy projekt Previ pod Limą w Peru. Wszystko to są przykłady masowej zabudowy osiedlowej, niskiej. O próbach zabudowy mieszkaniowej, wysokiej, napisano już całe tomy. Niezawodnie są to projekty i realizacje o bardzo różnej wartości. Ale nikt już chyba dzisiaj nie przeczy, że często niektóre z nich reprezentują nie tylko możliwości, ale i duże osiągnięcia wizualne. Wydaje mi się, że do wykrystalizowania się modernizmu — tego powierzchownie funkcjonalnego maszynowego, racjonalistycznego modernizmu — we „współczesność z ludzką twarzą”, potrzebny jest czas. Jeśli przyjąć, że zaburzenia, które

„wczoraj” ludzkość zaczęła przeżywać mają tę kosmiczną skalę, o której pisze Lévi-Strauss, to przecież naiwnością jest oczekiwać, żeby rozkwit modernizmu nastąpił tak zaraz. Przecież ludzkość jest dzisiaj znowu w pieluszkach. Pieluchy i twór w nie owinięty radują potencjalnie. Rzadko są same w sobie zachwycające. Noworodki często naprawdę zachwycają tylko własnych rodziców i to zachwycają czarem zaistnienia, niczym innym! W architekturze — sztuce, w której tak wyraźnie zbiorowość jest autorem — wytworzenie wielostronnej jakości wymaga specjalnie dużo czasu. Świat tego potrzebnego czasu nie chciał jej dać. Zniecierpliwiał się brakiem wielostronnej jakości. Zażądał natychmiastowych poprawek. Wydaje mi się, że choćby np. tylko architektoniczny socrealizm nie jest wyrazem tylko płytkiego, prymitywnego i do tego jeszcze sowieckiego komunizmu. Elementy dążenia do wizualnego socrealizmu znaleźć można wśród mieszkańców całego świata, nie tylko w strefie sowieckiej. Jest to żądza zdobienia, ale zdobienia czego? To jeszcze nie bardzo wiadomo. Postępowy krytyk francuski Anatol Kopp nazwał socrealizm sowiecki „zakrywaniem nędzy” (*cache misère*). Świat przeżywa przecież globalną nędzę. Reżim komunizmu sowieckiego pretendował do natychmiastowej likwidacji tej nędzy. Kiedy zorientował się, że się to nie udaje, natychmiast zarządził globalne krycie tej nędzy. W sztuce, między innymi w architekturze, to ozdóbkarstwo nazwano socrealizmem. Kapitalizm, nie operujący tak wzniosłymi hasłami, mniej zakłamanym, dał młodej, biednej architekturze więcej czasu do zakwitnięcia. Nie dał jednak tego czasu dosyć. Ile wieków potrzebowały do zakwitnięcia inne kultury? Po rewolucjach nadeszły nowe wielkie zaburzenia: II wojna, zniszczenia i eksterminacje... Rezultatem tego stał się między innymi postmodernizm. Wielka sinusoida rozwoju ludzkości składa się z wielu małych podsinusoid. Wydaje mi się, że dzisiaj modernizm jest już „współczesnością”, a postmodernizm jedną z wielu podsinusoid, częścią tej wielkiej sinusoidy współczesności.

Rozmawiał Andrzej BULANDA

Caravaggio: światło i cień

„Naturalista”, „realista”

Tak go nazywano w zeszłym stuleciu i na początku obecnego. „Nowoczesny naturalizm *stricto sensu* zaczyna się w sposób bardziej surowy (?) od Caravaggia”, pisał Burckhardt w roku 1855. W roku 1905 Roger Fry mianował go „pierwszym realistą”, *the first realist*. W literaturze ukuto wcześniej nazwę „realistów” dla Balzaca i Flauberta, w malarstwie nadawano ją często Courbetowi. Fry znalazł zatem praojca gatunku, podobnie jak Burckhardt.

Jeśli Caravaggio ma występować w roli założyciela rodu „naturalistów” i „realistów”, to wolno z czystym sumieniem machnąć ręką na upodobanie do klasyfikacyjnego nazewnictwa. Otworzył w historii malarstwa rozdział, który jest przeciwieństwem wszelkiego szufladkowania; rozdział zagadkowy, wieloznaczny i wielorejestrowy, przekraczający uchwytne dla oka kanony zarówno wizji jak i rzemiosła. Cóż z tego, że przyczepimy mu etykietkę „realisty”? Czy da się w ogóle ująć w ramy jakiegokolwiek schematu „rzeczywistość” odmalowana przez Caravaggia? Identyczne pytanie można postawić w odniesieniu do „rzeczywistości” w powieściach i nowelach „realisty” Flauberta. Bzik klasyfikacji uchodzi od biedy, gdy mamy do czynienia z artystami o określonym i wyraźnym profilu filozoficznym. Jest za ciasny, i nawet śmieszny, w stosunku do burzliwych przewrotów rewolucyjnych w sztuce. Caravaggio był rewolucjonistą. Jak wezbrana rzeka, występował z brzegów. Łamał przegrody i tamy. W pewnym sensie sam nie panował, także jako malarz, nad utajoną w nim siłą i gwałtownością.

Peintre maudit, pittore maledetto

Odkąd Verlaine wprowadził w roku 1884 do literatury postać *poète maudit*, mając głównie na myśli siebie i Rimbauda, stopniowo przyjmowała się moda na „przekłętego malarza” Caravaggia. „Przekłętego” w sosie „romantycznym”, co w każdym razie było bliższe prawdy od bałamuctw „naturalizmu” i „realizmu”.

Bliższe prawdy przede wszystkim za względu na życie lombardzkiego malarza, skoro przymiotnik *maudit* w rozumieniu

Verlaine'a oznaczał coś w rodzaju wysokiego odznaczenia, zdobytego na polu niechwały: egzystencji „dzikiej”, bez hamulców, samoniszczycielskiej, swobody pomieszanej z wczesnym geniuszem, podszytej szaleństwem, biedą, pokusami Zła i pociągami do seksualnej „odmienności”.

Wizerunek Caravaggia odpowiadał takim wymogom. Do pracowni malarzkiej w Mediolanie wstąpił, jako terminator, w wieku jedenastu lat. Był sierotą. Stracił dzieckiem rodzinę w mediolańskiej dżumie. W dwudziestym roku życia (albo może nawet wcześniej) był już, po przyjeździe do Rzymu, dojrzałym malarzem. Z natury porywczy gwałtownik, wpadał o byle co w gniew i brał się zaraz do bicia. Prawdopodobnie dużo pił, choć milczą o tym jego życiorysy. Nie stronił od kobiet, bywały niekiedy przyczyną jego bijatyk, ale gustował w modelach chłopców o cechach efebów. Ponieważ do kompletu właściwości poety lub malarza „przeklętego” należał ateizm, podejrzewano go że „wbrew pozorom” był w „głębi ducha” bezbożnikiem.

W roku 1606 zabił w Rzymie partnera gry w ówczesnego tenisa (*pallacorda*). Skazano go zaocznie na śmierć. Odtąd, w ciągu czterech ostatnich lat swego życia, uciekał (Neapol, Sycylia, Malta), rojąc o powrocie do Rzymu. W roku 1610 władze stolicy papieskiej pozwoliły mu warunkowo wrócić. W Neapolu aresztowali go za coś Hiszpanie, pod ich nadzorem pożeglował w feluce w stronę Rzymu. Wyrzucili go ze statku na plażę w Porto Ercole, nie oddając kuferka i owiniętego w worek obrazu (nieskończony *Święty Jan Chrzciciel*). Wyobrażam go sobie, jak biegł w obie strony po plaży w kleszczach sierpniowego słońca, jak z pianą na ustach krzyczał i złorzeczył w kierunku oddalającej się feluki, jak wygrażał złodziejom swoją nieodłączną szpadą. Aż upadł rażony promieniem słońca. Próbował jeszcze na próżno poderwać się, zarywszy palce obu rąk w czarnym piasku. W końcu rozpląszczył się martwy w dziwnej pozycji, jakby głowę odcięła mu od tułowia niska fala przyplywu.

Peintre maudit, pittore maledetto. Kto wymyślił tę etykietkę dla Caravaggia, miał może przed oczami uciekającego wciąż Rimbauda (choć nie mógł jeszcze wiedzieć, że także *poète maudit* zabił człowieka na Cyprze). Istotniejsze było inne powinowactwo między poetą *Iluminacji* i malarzem *luce et ombra*.

Odcięta głowa

Uderza predylekcja Caravaggia do motywu odciętej głowy: Dawid z głową Goliata, dekapitacja Świętego Jana Chrzciciela, Judyta i Holofernes. Uważa się powszechnie, że odcięta głowa Goliata w lewej ręce Dawida jest autoportretem malarza. Według

mnie rysy autoportretu Caravaggia przewijają się również w głowach Jana Chrzciciela i Holofernesa; nie tak jaskrawe oczywiście jak w wypadku Goliata, raczej aluzyjne. Do czego były aluzją? Caravaggio miał wbity za skórę cień śmierci. Widział samego siebie, lub swoją podobiznę, w twarzach umarłych.

Głowa Goliata, bezsporny autoportret malarza, spełnia w kompozycji dodatkową rolę. Jest wcieleniem Zła w ręce Dawida, ikonograficznego prekursora Chrystusa. Światło owija postać Dawida; w cieniu zwisa głowa Goliata (ze szramą na czole, szramą samego Caravaggia po jednej z bójek). Część światła, jego refleks, rozjaśnia martwe oko Goliata. W tym wspaniałym płótnie odciska się najwyraźniej i najprościej może istota malarstwa Caravaggia: światło i cień wyrażają widzialny i niewidzialny świat; Chrystus jest synem światła; malarz w masce Zła trwa w cieniu.

Dwa obrazy

Niezwykła jest mądrość, z jaką Caravaggio operuje światłem i cieniem. Tak niezwykła i konsekwentna, że trudno widzieć w niej jedynie owoc poetyckiego natchnienia. Caravaggio kieruje się pewną zasadą, którą spróbujemy później odkryć. Tymczasem zaś niech działa czysty, nie zaćmiony żadnymi konsyderacjami, zachwytnie na widok dwóch obrazów: *Wskreszenia Łazarza* w Messinie i *Powołania Świętego Mateusza* w kościele francuskim w Rzymie.

Ławica światła obejmuje wyprężone i sztywne jeszcze ciało Łazarza, oraz figury podtrzymujących je osób; krewnych przywróconego do życia, wyrwanego śmierci. Reszta obecnych porusza się w cieniu. Kontrast wydobyty przez Caravaggia staje się paradoksalny: to oni, owa reszta, zdają się być pogrążeni w mrokach śmierci, a Łazarz choć wciąż jeszcze martwy nigdy nie odpiął naprawdę od brzegu życia. Caravaggio wywraca konwencjonalność znaczeń, chce powiedzieć (i według mnie mówi), że nasze podziały i rozróżnienia są kruche: Łazarz był żywy i tylko uspiomy w momencie, gdy odgrzebali go umarli. Brzmi to w pierwszej chwili jak niedorzeczność, ale trzeba pamiętać jak bardzo malarstwo Caravaggia jest sztuką zacierania zbyt wyraźnych granic. W centrum obrazu wznosi się ku górze dłoń jednej z rąk Łazarza. Jest połączeniem światła i cienia, zagadkowym znakiem z pogranicza.

W *Powołaniu Świętego Mateusza* w cieniu znajduje się Chrystus, wskazujący (powołujący) oświetlonego Mateusza. W tym obrazie rolę dłoni z *Wskreszenia Łazarza* spełnia, znowu w centrum, okno; matowe, ani jasne, ani ciemne. Jest także zagadkowym znakiem z pogranicza.

Podtrzymuję moją myśl. Caravaggio był malarzem nieustannego zmagania się światła z cieniem. Miało ono dla niego taki sam posmak tajemnicy, jak nieuchwytnie mierzenie się, wzajemne przenikanie się, życia ze śmiercią.

Święty i Kardynał

Z ostatnich lat pochodzi interpretacja szczególnej pospoliczości, nawet ubóstwa, w figurach Świętych (nie wyłączając Chrystusa i Matki Boskiej) u Caravaggia. Mówi się uczenie o nurcie „pauperyzmu” w Kontrreformacji, który jakoby został malarzowi zaszczycony przez Karola Borromeusza (późniejszego Świętego) i jego kuzyna, słynnego Kardynała Federico Borromeo z powieści Manzonięgo *Narzeczeni*, autora traktatu *De pictura sacra*. Celem „pauperyzmu” miał być ideał Kościoła „biednego”, tak dalece wyzwolonego z pokus przepychu i triumfalizmu, że umiałby lepiej przemawiać do prostych serc ludu Bożego. Kościół „biedny” musiał więc swoje ubóstwo pokazać i szerzyć w ikonografii. Posłannictwem malarsko-religijnym Borromeusze obarczyli mistrza z Lombardii.

Gdyby tak było istotnie, Caravaggio nie natrafiłby na tyle przeszkód w akceptacji obrazów zamawianych u niego przez różne kościoły i zakony. Hipoteza związków malarza z borromejskim „pauperyzmem” jest naciągnięta, świadczy o słabej znajomości temperamentu Caravaggia. Wystarczy wpatrzeć się długo w zdumiewającą *Morte della Vergine* (kontrowersyjną z domieszką skandalu za pontyfikatu Pawła V, surowszego od swego poprzednika Klemensa VII), by zrozumieć że Caravaggio nie był malarzem „dyspozycyjnym”, przywykłym do konwencjonalności zamówień. Jest coś febrycznego i niepohamowanego w jego wizjach, chciałoby się o nim powiedzieć: malarski dramaturg religijności głębokiej, bardzo osobistej, w której tylko głupcy mogli węszyć „bezbożnictwo”. Był protegowanym Fryderyka Borromeusza, ale kto wie czy nie więcej go łączyło „w głębi ducha” z heretykiem skazanym na stos.

Giordano Bruno

Podobne były ich losy. Dominikański mnich o heretyckich ciągotach, uwikłany w morderstwo w Rzymie, również musiał naprędce uciekać; i impuls ciągłej ucieczki zdominował jego płodne mimo to życie pisarza i filozofa aż do roku 1592, gdy w Padwie wpadł w sidła Inkwizycji. Przewieziono go do Rzymu, gdzie siedem lat gnął w więziennych lochach. Po długim procesie

został spalony za herezję na *Campo dei Fiori* 17 lutego 1600 roku.

Caravaggio nie mógł nie zetknąć się z jego poglądami i teoriami, choćby w formie urywkowej; i zwłaszcza we wszystkim, co dotyczyło światła i cienia. Bruno zapewniał, że Bóg nie może być „niepojętym światłem absolutnym, lecz jego cieniem, światem, wszechświatem, naturą która tkwi w rzeczach”. Bruno także ukuł zasadę, która ze światła czyniła „jedyną substancję, abstrakcyjną i materialną zarazem”; światło — twierdził — nie ogranicza się do „odślaniania figur, lecz określa i wyraża ich cielesność”. Co jednak najważniejsze, zdaniem dominikańskiego mnicha „Bóg jest istotą niepoznawalną, do której człowiek może się zbliżyć tylko tak, jak cień zbliża się do światła”. I raz jeszcze z naciskiem: „Bóg, czyli światło, nie może być w pełni ogarnięty; człowiek może się doń zbliżyć tylko cieniem”.

W sposób mniej lub więcej hermetyczny, posługując się chętniej poetycką metaforą niż językiem filozofii, Bruno umięścił Boga i poszukiwał Go w niezmiernie wąskiej smudze między światłem i cieniem. Caravaggio, jak sądzę, malarsko robił to samo.

Deus absconditus

Bruno prowadzi mnie do Pascala, do jego mądrej i przejmującej myśli, która była przed laty osiłą mojego opowiadania *Święty Smok* i urzeka mnie, zachwyca z każdym dniem bardziej. „Gdyby nie było ciemności, człowiek nie odczuwałby swego skażenia, a gdyby nie było światła, człowiek nie miałby nadziei uleczenia. Stąd jest nie tylko słuszne, lecz użyteczne dla nas, że Bóg jest po części ukryty, a po części odsłonięty, gdyż dla człowieka równie jest niebezpieczne znać Boga nie znając własnej nędzy, jak znać własną nędzę nie znając Boga”.

I Caravaggio i Bruno krążyli uparcie wokół Boga „po części ukrytego, a po części odsłoniętego”. Nie wierzyli i nawet nie pragnęli by odsłonił się całkowicie, kochali po swojemu Boga częściowo ukrytego, błakającego się między światłem i cieniem, między Boską obietnicą i ludzką nędzą. I moja miłość do „przekłętego” malarza to właśnie oznacza. Myślą Pascala łączę Caravaggia zabitego przez słońce i Bruna spopielonego przez ogień stosu. W ostatniej, przedśmiertnej chwili znali obaj tylko własną nędzę. Bóg ukrył się przed nimi całkowicie.

Morte della Vergine

Obraz wstrząsający, dla mnie jedno z głównych arcydzieł Caravaggia. Trudno jednak dziwić się za bardzo, że przez zama-

wiających został ze zgorzaniem, jeśli nie z oburzeniem, odrzucony. Biada ołtarzowi, który miałby go prezentować wiernym!

Kobieta już niemłoda, bezgranicznie utrudzona życiem, obrzękła, z brzuchem sterczącym jak w ciąży, o ciężkich i grubych nogach robotnicy rolnej. Jej twarz nie wyraża spokoju i majestatu śmierci, raczej ulgę: jak strasznie jest zmęczona; to samo mówi jej zwisająca z barku lewa ręka. Cienka, delikatnie zarysowana aureola nad głową wydaje się tu czymś obcym i zarazem naturalnym. Dokoła śmiertelnego łoża płacz, zgromadzeni oplakują odjęty nareszcie ból istnienia, niektórzy zasłaniając rękami twarze. Wyzwolona Matka Boska, niech odpoczywa wiecznie.

Obrzęk ciała skłania znawców Caravaggia do przypomnienia współczesnej mu historii „świętej nierządniczy”. Caterina Vannini, młodociana prostytutka, zapukała skruszona do bramy klasztoru w Sienie. Jako zakonnica zbliżyła się pod koniec życia do świętości, o czym przekonany był Federico Borromeo, inicjując po jej śmierci proces beatyfikacji. Umarła w wieku czterdziestu czterech lat na puchlinę wodną. Do *Morte della Vergine* Caravaggio przemycił puchlinę wodną sienneńskiej Katarzyny.

Morte della Vergine należy oglądać równocześnie z innym płótnem Caravaggia *Maddalena*. Śpiąca na krześle Magdalena, z rozchyłonymi ustami i niedomkniętymi oczami, z rękami splecionymi w geście znudzenia, jest jakoś spokrewniona z umarłą Najświętszą Dziewicą. Łączy je ów ból istnienia, którego kolec nosił za skórą Caravaggio wraz z cierniem śmierci. Także w tym dochodziła do głosu szczególna religijność malarza.

Campo dei Fiori

17 lutego 1600 roku. Jeśli był to dzień słoneczny i pogodny (a bywają takie zimą w Rzymie), to wyobraźnia poety miała prawo obstawić plac „koszami oliwek i cytryn”, jego bruk „spryskać winem”, stoły przekupniów „obsypać różowymi owocami morza, naręczami winogron, brzoskwiniami”. Lecz jeśli na Rzym obsunął się dzień pochmurny i ołowiany (nie deszczowy, bo stos musiał jednak szybciej czy wolniej płonąć), pito wino w tawernach a nie na zewnątrz, w bramach domów ustawiono kosze oliwek i cytryn, przierzędziły się i zubożały stoły przekupniów. Także dlatego, że dym i śwąd z rozpalonego drzewa wywoływał kaszel i łzawienie oczu. Co zresztą w niczym nie narusza intencji poety, któremu zależało na pokazaniu, poprzez stos Bruna, „samotności ginących” w obliczu obojętnego, krzątającego się koło swoich spraw, czasem rozbawionego ludu.

Ja, zachęcony przekazami historycznymi, opowiadam się za

dniem chłodnym i szarym, bezwietrznym i bezsłonecznym, dusznym i przytłaczającym, jednym z tych rzymskich dni, które wilgotnym ziębem przenikają do kości i zwalniają krążenie krwi w żyłach. Ludzie zajęci szczątkami handlu, przystający na obrzeżach placu, pochyleni nad szklanką wina w tawernach, czekali tylko na jedno: na chwilę, gdy płomień stosu wydobędzie krzyk, rozdzierający krzyk, z palonego heretyka. Ale milczał. Na pewno już dogorywał, świadczył o tym smród palonego mięsa w powietrzu, a przecież żadne ucho nie złowiło owego przedśmiertnego krzyku. I mieli rację, w trzy wieki później, liberalni ojcowie miasta, wystawiając „w miejscu gdzie płonął stos” pomnik zakapturzonego milczenia.

17 lutego 1600 Caravaggio był z całą pewnością w Rzymie. Ale tylko jeden jego biograf wspomina, że widziano jak przeszedł szybko przez *Campo dei Fiori* i twarz odwróciwszy od stosu, „przeżegnał się”. Nie przyklęknął, przeżegnał się tylko, znakiem Krzyża odpędzającym Siłę Nieczystą.

Nie wierzę w tę wersję. Oczami wyobraźni widzę Caravaggia siedzącego do wieczora w narożnej tawernie, na rogu ulicy która prowadzi do Pałacu Farnese, z twarzą więcej niż gniewną — wściekłą, zwróconą bez ruchu w stronę płonącego stosu. Wieczorem, gdy zrobiło się pustawo na *Campo dei Fiori*, wstał, wychylił jednym haustem ostatnią szklankę wina, i chwiejnym krokiem, zataczając się lekko po drodze, przemierzył cały plac, by zatrzymać się przed kupą dymiącego popiołu. Naraz buchnął z niej jasny płomień, jakby teraz dopiero dusza Bruna uleciała ku Niebu. Caravaggio cofnął się, oślepiony ostatnim Światłem dogasającego stosu. Stał w Cieniu i zaciśniętymi dłońmi zakrył twarz, znaną nam z autoportretu w odciętej głowie Goliata.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Marzec 1990

Ci, co odeszli

Eileen Frances Garlińska

Fragmety wspomnienia pośmiertnego wygłoszonego w dniu pogrzebu 3 kwietnia 1990 w kościele św. Piotra w zachodnim Londynie. Śp. Eileen Garlińska zmarła 26 marca w wieku 78 lat i spoczęła na cmentarzu Gunnersbury, gdzie znajdują się groby wielu dowódców i żołnierzy Armii Krajowej oraz pomnik katyński. Na pogrzebie wśród setek przyjaciół, Koła AK i Studium Polski Podziemnej ze strony tych, którzy uważają siebie za reprezentantów emigracji — nie było nikogo.

Żegnamy dziś bardzo niezwykłą niewiastę. Będąc Irlandką, była równocześnie Brytyjką, a będąc Brytyjką, była także Polką. Zakres jej lojalności i umiłowań, jak wielu mieszkańców tych wysp, był szeroki, ale może właśnie dlatego, że świadomie wybrane, było to umiłowanie szczególnie głębokie i rzetelne... Jej przyjazd do Polski w 1935 roku mógł być wynikiem młodzieńczej fantazji — liczyła wtedy dwadzieścia kilka lat i miał to być tylko krótki pobyt — ale ten krótki pobyt przeciągnął się na okres całych dziesięciu lat, najpierw pokoju a potem wojny. Faktem jest, że młodzieńka Eileen Short po prostu zakochała się w Polsce na długo zanim zakochała się w młodym Polaku, którego potem miała poślubić.

Najwidoczniej było jej tam dobrze. I gdy 1 września 1939 nowa straszliwa noc spadła na ten naród, Eileen nie wyjechała z kraju (co z brytyjskim paszportem nie nastęrczało większych trudności), lecz postanowiła dzielić z tym narodem jego cierpienia i jego walkę. W trzy dni po wybuchu wojny poślubiła tego młodego Polaka, po to tylko by natychmiast się z nim znowu rozstać, no bo była wojna i mąż-oficer wyruszył ze swym oddziałem w pole. Przeżyła w Polsce całą okupację jako Polka. Przeżyła oblężenie Warszawy w 1939 roku, opiekując się rannymi w wojskowym szpitalu, i pozostała tam nadal, gdy w 1943 roku jej mąż, działający już wówczas w podziemiu, został aresztowany przez Gestapo i zesłany do Oświęcimia. Eileen też już wtedy była w podziemiu. Jej angielskość okazała się bardzo pożyteczna; pracowała jako tłumaczka w krajowej delegaturze rządu polskiego. Znalazła się więc w samym

centrum polsko-brytyjskiego sojuszu; jej polszczyzna była już wtedy płynna i bezbłędna. I oczywiście była w Warszawie w roku 1944, walcząc w powstaniu.

Pozostała w Polsce jeszcze dość długo, by zaznać skutków drugiej okupacji sowieckiej. I gdy wreszcie wróciła do Londynu, — drogą aż poprzez Odesę, na pokładzie brytyjskiego statku z kontyngentem repatriowanych jeńców brytyjskich — podjęła intensywną kampanię, by wyjaśnić swym rodakom prawdziwy charakter sowieckiego imperializmu, który opinia brytyjska podówczas gotowa była darzyć nadmiernym zaufaniem, ba, nawet podziwem. Dla szarego Brytyjczyka straszliwy Stalin był wciąż jeszcze poczciwym Uncle Joe. Jeździła po kraju z odczytami pod egidą założonej wówczas przez księżnę Athlone *British League for European Freedom*. Wygłosiła ich w sumie ponad pięćdziesiąt. Ważniejszy jeszcze na długą metę był jej wkład w pracę jej męża, który po zwolnieniu z Oświęcimia też znalazł się ostatecznie w Londynie i stał się jednym z wybitnych historyków drugiej wojny światowej. Tylko on oczywiście jest w stanie ocenić, ile jej żmudnej pracy zawdzięcza ta seria książek, w języku polskim i angielskim, rozplątujących zagadki tragedii, w którą oboje byli tak głęboko zaangażowani.

Tak, winniśmy tej Polce z wyboru wielki dług wdzięczności, bo całe swoje życie poświęciła Polsce. Mało kto tak jak ona zasłużył sobie na ten rząd szczytnych odznaczeń: Polonia Restituta, Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, oczywiście Krzyż Armii Krajowej i Medal Wojska. Śmierć zakończyła to piękne życie, tak jak kończy każde życie. Zakończyła, ale nie zniszczyła. Śmierć nie niszczy życia, lecz stawia na nim jakby kropkę nad i. Tu postawiła kropkę jakby na zakończenie wielkiej i dramatycznej powieści.

Antoni POSPIESZALSKI

POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA

1070 Wien, Burggasse 22

Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Adamowi Michnikowi w odpowiedzi*

Piszę z opóźnieniem, bo nie miałem ochoty odpowiadać Adamowi Michnikowi osobiście. Kiedy wieloletni przyjaciel zniecka obrzuca człowieka obelgami i robi to tonem pełnym nienawiści, człowiek szuka dlań usprawiedliwienia i wytłumaczenia.

Usprawiedliwienie znajduję w fakcie, że Michnik długo żył w ustroju mało sprzyjającym uprzejmości i dobrej wierze.

Wytłumaczenie widzę w fakcie, że poczuł się dotknięty do żywego atakiem na politykę, którą od trzech lat uprawia, a której myślność polega — moim zdaniem — dokładnie na tym, co mnie zarzuca, a mianowicie na błędnej ocenie stosunku sił.

W marcu 1988 Polska dźwignęła się po raz ostatni do walki o jedyny cel, który ją interesuje, mianowicie wolność i niezawisłość. Do tego celu można było zmierzać bez zbytecznego ryzyka, gdyż rozkład Związku Sowieckiego był już zaawansowany. Nawet gdyby miało na to siły, państwo sowieckie nie mogło zbrojną interwencją zrujnować swego dalekosiężnego planu „wspólnego europejskiego domu”, który ma je uratować i wziąć na garnuszek zachodniej strefy dobrobytu.

Polska mogła wówczas stanąć na czele europejskiego ruchu wyzwolenczego. Zmarnowała tę okazję i zaszczyt ten przypadł Niemcom, Czechom, nawet Rumunom.

Jeśli chodzi o Michnika, to źródłem błędu, wskutek którego jego kraj nie zrealizował swych dawnych mesjanistycznych nadziei, była pomyłka co do osoby Gorbaczowa. Zaczadzony, być może, pewnym typem sowietologii zachodniej, Michnik dostrzegł w tym komunistycznym przywódcy wyzwoliciela. Cóż to za zabójcza pomyłka, by Polak sądził, że wolność może nadejść z tej strony!

* W związku z wywiadem z A. Besançonem (*Tygodnik Solidarność*, Warszawa 2.03.1990, nr 9/76) oraz reakcją na ten wywiad Adama Michnika (*Gazeta Wyborcza* 22.03.90, nr 69 i *Libération*, Paryż).

Różne inne siły pchały niestety w tym samym kierunku. Przede wszystkim zamię, jakie na umysłach odcisnęło czterdzieści lat komunizmu. Nie jest pewne, czy „masy” polskie rzeczywiście pragną podjąć ryzyko i ciężką pracę świata zachodniego. Marzą im się równocześnie „kapitalistyczne” bogactwo oraz socjalistyczne leniwość i brak odpowiedzialności. Następnie klerykalizm Kościoła zabalsamowanego przywilejami, upojonego wpływami i bojącego się, by jego kler nie popadł w ubóstwo, izolację i drugorzędność, które są udziałem księży i biskupów zachodnich. I wreszcie spaczony nacjonalizm, który woli, by Polska była eleganckim przedmieściem świata komunistycznego aniżeli nędzną rogatką świata zachodniego. Wszystko sprzyjało więc odrodzeniu — w karykaturalnej formie — polityki Dmowskiego, nieufnej wobec Zachodu, sprzyjającej Wschodowi.

Skutki tego błędnego punktu wyjścia są od trzech lat coraz dotkliwsze.

Historyczny kompromis, zawarty przy okrągłym stole w roku 1989, doprowadził do utworzenia „podwójnej jedynej partii” i podwójnej nomenklatury, trudniejszej do obalenia aniżeli zwykła ekipa Gierka czy Kani. Tandem Jaruzelski-Wałęsa może doprowadzić do dyktatury jednego lub drugiego. Walka polityczna, której Solidarność nie chce wytoczyć komunizmowi, obraca się przeciwko prawdziwej opozycji, rozbitej, bezsilnej i wciąż nie umiejącej nadać sobie imienia.

W polityce zagranicznej uformowała się oś Moskwa-Warszawa. Michnik wyraził w *Literaturnoj gazecie* zadowolenie z faktu, że wojska sowieckie chcą pozostać w Polsce. Zarzucano mi, że wspominałem o Targowicy, a przecież ta grupa zdrajców nigdy nie opowiedziałaby się za przedłużeniem okupacji, która trwa już czterdzieści pięć lat.

Widzieliśmy w Paryżu Jaruzelskiego i Mazowieckiego, usiłujących wskrziesić przymierze francusko-rosyjskie, które już tak drogo kosztowało Europę i Polskę; słyszeliśmy Wałęsę, grożącego Niemcom w słowach obłąkanych unicestwieniem atomowym, żądającego jak należnej daniny subsydiów, mających wzmocnić dwuznaczny reżym, a pośrednio przynieść korzyści okupantowi. Widzieliśmy zażenowanie Polski wobec bohaterskiej Litwy, która w okolicznościach tysiąckrotnie groźniejszych próbuje wywalczyć to, przed czym Michnik i jego przyjaciele cofają się od trzech lat. Niestety, wszyscy Litwę opuścili, ale Polska powinna wiedzieć, skąd pochodzą jej najwięksi królowie i jej największy poeta.

Jak ukryć przed samym sobą taką porażkę? Uciekając się gorączkowo do pustych symboli, procesji, przywracając orłowi polskiemu koronę, szermując wyznaną wreszcie zbrodnią katyńską, powszechnie znaną od 1943 roku, snując obrzydliwe wywody o „przebaczeniu”, które — wykluczając wszelką sprawiedliwość i odwagę — jest kpina z chrześcijaństwa, rozprawiając o „pośt-

totalitaryzmie” i „post-komunizmie”, by w ten sposób zaprzeczyć rzeczywistości, której nie chciało się stawić czoła. Cóż ja na to poradzę, że wielu Francuzom kojarzy się to z rządami Vichy?

W Polsce stało się dokładnie to, czego Gorbaczow pragnął dla wszystkich krajów satelickich. Manewr prawie wszędzie spalił na panewce. W Polsce się udał. Jest to największy sukces Gorbaczowa. Michnik ma w nim swój udział.

Alain BESANÇON

Paryż 1 maja 1990

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00
natychmiast — nie czekając na wpłatę. • Odczytywanie recept
krajowych. • Wszelkie aparaty medyczne. • Okulary. •

Aparaty słuchowe. • Preparaty dentystryczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom Wysyłkowy.

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zabłocki,
12, rue Condorcet, 75009 Paris, France,
Tel.: 42 85 79 45

Rozmowa Mistrza Samuela ze śmiercią

Samuel Beckett: „Nie ma nic śmieszniejszego niż nieszczeście”. Nikt chyba bardziej dosadnie nie wyłożył nam związku między okrucieństwem i śmiechem. Nikt tak konsekwentnie nie wtajemniczył w proces powolnego umierania, które w bardziej konwencjonalnym słownictwie nazywamy życiem. Nikt przedtem z taką precyzją nie opisał zniechęcenia. Na długo zanim sam Beckett wszedł w wiek podeszły, ze starca uczynił swoje *porte parole*. Pisząc „Mallone umiera” miał zaledwie 42 lata. Powieść jest monologiem człowieka mającego 80 do 100 lat, tkwiącego w pustym pokoju z jedynymi skarbami: notesem i ołówkiem. Raz dziennie przychodzi doń kobieta, by podać talerz zupy i przynieść czysty nocnik. „Talerz i nocnik, talerz i nocnik to są nasze dwa bieguny” — mamrocze do siebie Mallone. W tym próbnym przeczcuciu śmierci Beckett omal sam nie doprowadził się do samounicestwienia. Przyjaciele byli przerażeni jego wyglądem. Beckett wniósł sobie, że cierpi na złośliwego raka policzka. Bliskość śmierci wyzwoliła w nim niebywałą energię twórczą.

W negatywnej fascynacji śmiercią, jakże zgodnej z tradycją celtycką, Beckett poszedł jeszcze dalej: bezlitośnie pokazał jej destruktywną siłę na co dzień, nieubłagany rozkład ciała i urnysu. Monolog zgrzybiałego pisarza w „Ostatniej taśmie Krappa” jest komedią w najokrutniejszym wydaniu. Projekcja tego, czego się najbardziej boimy — ma najdotkliwiej śmieszyć. Śmiech jest wyrazem pogłębienia świadomości tragicznej. Nowojorski krytyk teatralny Mel Gussow zauważył nie bez racji, że w dramatach Becketta „ciągle się śmieje lub płacze. Są to jednak łzy bez bólu, śmiech bez radości”.

Antoni Libera, tłumacz na polski i komentator Becketta w trakcie reżyserowania „Ostatniej taśmy Krappa” i „Katastrofy” w Londynie w rozmowie powiedział mi: „Gdybym miał zredagować hasło do encyklopedii o twórczości Becketta, zacząłbym od tego, że jest ona wyrazem świadomości człowieka XX wieku po katastrofach, które narastają od kilku setek lat. Uzmysłowiliśmy sobie w

końcu, że rozbiła się przestrzeń metafizyczna. Beckett jest w tym sensie kontynuatorem Nietzschego, który ostrzegał, że śmierć Boga nie ujdzie nam bezkarnie. Nie analizuje nam przyczyn tego łańcucha katastrof, nie wartościuje, lecz pokazuje skutki. Symboliczną figurą człowieka w naszej epoce jest klozard, wyrzutek, włóczęga w kosmosie. Na tym polega paradoks Lucky'ego w 'Czekając na Godota': cywilizacja się rozrosła, ale człowiek zmalał. Etykę w twórczości Becketta można by nazwać etyką współczucia, a *katharsis* ma polegać na odarciu ze wszelkich złudzeń".

W archiwach pisarza zachowały się jego szkice kłownów i włóczęgów, sporządzone jeszcze w latach gimnazjalnych. Z niemych filmów, oglądanych w latach dwudziestych, niemałe wrażenie musiała na nim zrobić pozornie nieruchoma twarz Bustera Keatona. Twarz człowieka, który przyjmuje bez cienia grymasu wszystkie ciosy i kataklizmy i podejmuje ciągle na nowo nierówną walkę. Po latach, w 1964 roku, Beckett napisze swój jedyny scenariusz filmowy dla wykonawcy jedynej roli — Bustera Keatona. 22-minutowa etiuda jest posępnym żartem filozoficznym ilustrującym myśl Berkeleya „Być to być postrzeganym”. Nosi po prostu tytuł „Film” i zostaje nagrodzona na festiwalu w Wenecji.

W 1938 roku na paryskiej ulicy Beckett został ciężko ranny przez włóczęgę czy sutenera, który rzucił się nań z nożem i przebił płuco. Kiedy po wyjściu ze szpitala pisarz odwiedził przestępcę w więzieniu i zapytał, co właściwie było powodem tego ataku, usłyszał w odpowiedzi: „Nie wiem, proszę pana”. Dla Becketta ta odpowiedź była kluczem do zachowania się ludzi i dowodem na absurd życia. Wreszcie i on sam, z grupką najbliższych przyjaciół, przemienił się w człowieka wyjętego spod prawa, gdy po upadku Francji w 1940 roku przedzierał się do strefy pod rządami Pétaina. Te doświadczenia uczynił kanwą „Czekając na Godota”. Nihilista czy moralista? Przyzwyczajaliśmy się do myślenia w kategoriach albo. Obu łączy zasadnicza niechęć do porządku świata, wrogość do ożywionej materii, ale różni strategia. Odraza Becketta do prokreacji (porównał on kiedyś instynkt rodzicielski z działalnością przestępczą) jest logiczną konsekwencją przeświadczenia, że życie jest nieustannym ciągiem udręk i cierpienia. Pogląd ten ma to do siebie, że trudno doń przekonać ludzkość. Zatem zostaje bardzo szczególna pociecha, owa etyka współczucia. W werdykcie Komitetu Noblowskiego w 1969 roku napisano: „Jego twórczość unosi się jak modlitwa o zmiłowanie nad człowiekiem”. Ale — modlitwa do kogo, skoro człowiek zabił Boga?

John Calder, brytyjski wydawca Becketta i jego wieloletni przyjaciel, przedstawia go w nekrologu jako rodzaj współczesnego świętego Franciszka:

„Przypuszczalnie największa przysługa i pociecha, jakie Beckett niesie swoim czytelnikom, polegają na zasadniczym dlań przeświadczeniu, że klęska jest losem człowieka, że jest to sytuacja nieunikniona, dotycząca na równi tych, których życie zламаło, jak i tych,

k którzy osiągnęli sławę i bogactwo, a już szczególnie artystów. Tej myśli, wyrażonej w twórczości tuż powojennej, towarzyszy gniew, a w późniejszym piarstwie występuje ona w przebraniu stoickiej rezygnacji. Nikt nie powinien poczuwać się do winy z powodu braku sukcesu. A skoro wszystko bez wyjątku jest skazane na klęskę, nie ma sensu być chciwym, egoistycznym, zaborczym. Beckett powiada nam, że powinniśmy używać największego daru ludzkości, to jest zdolności do komunikowania się, byśmy dzielili się z innymi tym, co mamy". Niektórzy krytycy dopatrują się w przesłaniu Becketta pewnych analogii z myślą Zen.

Dla ludzi związanych blisko z osobą pisarza jego życie było świadectwem zasad wyłożonych w jego dziele, jeśli będziemy je interpretować zgodnie ze wskazaniami Caldera. W jedynej dotychczas biografii Samuela Becketta autorstwa Amerykanki irlandzkiego pochodzenia, Deirdre Bair, otrzymujemy wizerunek człowieka strzegącego pilnie swojej prywatności, ale ujmującego i skromnego nawet wobec natrętów. Od 1961 roku Beckett mieszkał w tym samym skromnym mieszkaniu przy 38, Boulevard Saint-Jacques, z oknem gabinetu wychodzącym na więzienie Santé. Przez lata nie założył sobie telefonu, jeździł najtańszym Citroënem 2 CV, unikał pompy i publicznych wystąpień. Nie pojawił się w Sztokholmie po odbiór Nobla, a uzyskaną nagrodę w ciągu kilku lat rozdał, wspomagając potrzebujących pisarzy i malarzy oraz finansując kilka eksperymentów teatralnych. Z przyjaciółmi i postronnymi spotykał się w Café Français, znajdujące się w hotelu obok jego kamienicy. Ostatni rok życia spędził w domu opieki, dokąd przeniósł się wskutek postępującej choroby żony, starszej odeń o sześć lat Susanne, towarzyski życia od 1938 roku. Jego wydawca niemiecki, który go tam odwiedził, zaniemógł na widok pokoju, który Beckett zajmował do śmierci: cztery metry na cztery, łóżko, komoda i etażerka na książki, stolik z trzema krzeselkami, w rogu aparat tlenowy. Był maj 1989 roku. Beckett tracił równowagę, opadał z sił, coraz wolniej szła mu praca nad przekładem na francuski jednego z ostatnich tekstów. Umarł w grudniu, wskutek niewydolności płuc. Być może była to śmierć przez zaniechanie. Jego pogrzeb odbył się w całkowitej dyskrecji na cmentarzu Montparnasse.

Erudyta, filozof, zamaskowany teolog. Te i inne określenia dotyczące Becketta padają często w rozprawach uczonych. Są bez wątpienia prawdziwe, ale w niewielkim stopniu wyjaśniają zagadkę jego twórczości. Beckett kształcił się w dublińskim Trinity College na wydziale języków nowożytnych. Był następnie wykładowcą angielskiego w Ecole Normale Supérieure w Paryżu. Był człowiekiem wszechstronnie czytany w literaturze światowej, o czym świadczą choćby jego notatki przekazane z innymi archiwami do zbiorów Uniwersytetu w Reading. Jednakże sam pisarz zastrzegał wielokrotnie, aby nie obwoływać go filozofem i aby nie traktować jego sztuk jako ukrytych traktatów teologicznych. Literatura nie była w jego pojęciu tożsama z dyskursem filozoficznym. Tymczasem

niektórzy akademicy mają skłonność do zbytniego przeintelektualizowania i uduchawiania spadku po Beckettzie.

Brytyjski krytyk Eric Griffith należy do nielicznych, którzy każą pamiętać i o komizmie Samuela Becketta, mającym swe źródła w szyderstwie, sceptycyzmie, przenikliwości spojrzenia: „Od wczesnych utworów, jak 'Murphy', do ostanich, takich jak 'Źle widziane, źle powiedziane', Beckett ześrodkowuje się na postaciach, które nie są w pełni żywe, które jakby chwilowo i nieuważnie należą do tego świata. Duchy, zjawy, na pół katatonicy zaludniają jego dzieła. Znamy przynajmniej jeden powód zainteresowania pisarza takimi niedo-żywymi. Otóż Beckett w połowie lat trzydziestych wysłuchał w Londynie odczytu Carla Junga. Szwajcarski mędrzec określając przyczyny kłopotów psychicznych jednej ze swoich pacjentek, powiedział: 'ona się nigdy naprawdę nie urodziła!'. Zdanie to musiało być dla Becketta odkrywcze. Pojawia się po latach w dialogu jego słuchowiska 'Którzy przyjdą'”.

Dla Griffitha jest dużo mniej istotne, że przyjęło się uważać Becketta za „umysł kartezjański”, niż to, że był on rasowym komikiem i że pociągały go zabawy językowe. Pisząc "Godota" szukał dla swojej pary bohaterów jakiegoś wyjątkowo obraźliwego epitetu. Wreszcie wybrał w charakterze riposty słowo „architektura”. Komizm, zauważa Griffith, jest kwestią, którą wielu jego uczonych komentatorów pomija milczeniem, jakby w ogóle nie zauważając jego istnienia. Krytyk brytyjski idzie nawet dalej: filozofowanie pisarza traktuje jako rodzaj rozrywki umysłowej, a nie zabiegów intelektualnych serio, dążących do bezwzględnego poszukiwania prawdy. Humor Becketta polega w znacznej mierze na zachowaniu twarzy pokerzysty w obliczu wszelkich klęsk i cierpień. Ale przede wszystkim w obliczu nadchodzącego końca świata, który to temat, podobnie jak temat „ostatniego człowieka”, należy do głównych motywów w jego twórczości.

Wydaje się, że Beckett traktuje kreowane przez siebie postacie z dużo większą ambiwalencją, niż to interpretują jego apologety. Jest to wypadkowa drwiny i litości, szyderstwa i wyrozumiałości. Jego postacie sceniczne zawsze dostają kopniaka, kiedy zebrażą o współczucie. Uprawiają ciągle grę w poniżenie i wywyższenie, ale w tej grze sekunduje im i sam autor. Szczerość, jaką zaleca w stosunkach międzyludzkich, nie jest zabiegiem bezbolesnym. Pisarz, zdaniem jednego z krytyków, stałe rozwiązywał w swojej twórczości ten sam problem, który można zaliczyć do technicznych: jak osiągnąć maksimum efektu przy minimum środków. Późną sławę, po dziesiątkach lat tworzenia w próżni niemal, przyniosły mu sztuki sceniczne. Są one precyzyjne jak scenopisy, z nadzwyczaj dokładnie sporządzonymi didaskaliami, często odręcznymi rysunkami zaznaczającymi kierunki ruchu na scenie. Teatr to obecność ciałem, wywołanie emocji. Beckett jako dramaturg i wielokrotnie reżyser swoich sztuk nadzwyczaj szybko przyswoił sobie prawo kontrastu, najsilniej działające na zmysły. Poznał siłę punktowej lampy w ciem-

ności, moc ciszy, crescendo i diminuendo. Nie żądał od aktorów zrozumienia tekstu, lecz zastosowania się na scenie dokładnie do jego instrukcji. Był demiurkiem ożywiającem marionety w sztuce, która była nadzwyczaj starannym przemieszczaniem elementów komicznych i tragicznych. Nie była jednak ani kłownadą, ani sentymentalną melodramą. Beckett bezbłędnie przewidział emocjonalny walor rekwizytu w rodzaju pojemnika na śmiecie, góry piasku, pluszowego psa z urwaną nogą, maski z błota, niebieskich okularów ślepego. Stawiając widza na huśtawce emocjonalnej, kazał mu się na koniec śmiać. Ale jest to śmiech podszyty ontologiczną trwogą.

Antoni Libera: „Dlaczego pisał i prozę i dramaty? Można na to odpowiedzieć anegdotalnie. Najpierw napisał pięć powieści, i poczuł się tak zestresowany formą monologu wewnętrznego, że poczuł potrzebę dialogu. I tak powstał 'Godot'. Albo zaczął pisać sztuki, ponieważ uznał, że dialog jest idealną formą dialogowości człowieka. Można też na to odpowiedzieć jeszcze inaczej: wszystkie jego sztuki są rozpisaniem głosów jednej postaci, spersonifikowaniem aspektów świadomości”.

Mędrzec? Demiurg? Może w największym stopniu sztukmistrz słowa. Był Beckett czcicielem słowa, słowa były wedle jego określenia przypuszczalnie jego jedyną niedo-miłością. Po śmierci T.S. Eliota zaczęto go nazywać największym pisarzem języka angielskiego, co było w swoim rodzaju paradoksem, bowiem Beckett po napisaniu powieści „Watt” w 1945 roku zaprzestał na długo pisania po angielsku i przeszedł na francuski. Trylogia „Molloy”, „Mallone umiera” i „Nienazywalny” z końca lat czterdziestych należy już do francuskiego okresu twórczości. Zdaniem pisarza, przez zmianę języka chciał osiągnąć „pisanie bez stylu”, innymi słowy miał być to protest przeciwko gorsetowi formy. Jeśli to rzeczywiście było jego zamiarem, był to trud daremny, bo wkrótce potem został obwołany największym stylistą współczesnej literatury francuskiej. Dwujęzyczność działała jak osmoza. Beckett wprowadził do dramatu francuskiego potoczny język, krótkie frazy, zwroty skatologiczne. Jego *merde* w „Czekając na Godota” wibrowało energią. „Godot” był pierwszą po wojnie sztuką francuską napisaną w zaskakująco świeżej, szorstkiej francuszczyźnie. Za autorem poszły zastępy naśladowców.

Beckett był sam tłumaczem swoich utworów na francuski bądź na angielski. Ich wersje stanowią pole do niezliczonych egzegez akademickich. Ale pisarz zaliczany przez swojego rodaka Anthony'ego Burgessa z całym należnym szacunkiem do autorów języka francuskiego, wcale nie pozostał mu lojalny do końca. Odwrotnie, gdy doszedł do wniosku że już się zbyt domowił we francuskim, wrócił do angielskiego. „Stirring Still”, późną prozę zaliczaną do największych osiągnięć (tytuł można przetłumaczyć jako Podrygi) napisał w swoim rodzinnym języku. Po angielsku jest też napisany ostatni jego utwór przed śmiercią, wiersz „Czym jest słowo”. Jest to raczej lista pytań niż definicji. Pisanie, powiedział Beckett w swojej

ostatniej rozmowie z frankfurckim wydawcą, szefem Suhrkamp, który go odwiedził w domu opieki, jest jedyną prawdziwą działalnością metafizyczną, jak to przed nim ujął Nietzsche.

Mówiąc o maestrii językowej Becketta, krytycy powołują się najczęściej na Jamesa Joyce'a. Choć we wczesniej twórczości Becketta można doszukać się wielu wpływów Joyce'a, łącznie z ironicznym poglądem na życie jako tragikomedię i pewnym aroganckim estetyzmem, i w ogóle wspólnoty ze szkołą irlandzką z jej pochwałą nadmiaru i wielości, jak to głosił Yeates, to drugi okres pisarstwa Becketta, powojenny, charakteryzuje się już ustawieniem wysoce indywidualnego głosu. Fenomenalnie świeżego użycia języka krytycy nie wahają się uznać za wydarzenie na miarę Szekspira, podczas gdy po francusku Beckett, wykorzystując twórczo tradycje wielkiej prozy, zdołał jej nadać nowy kierunek. Wywarł ogromny, choć nie zawsze zauważony wpływ na całą generację pisarzy języka francuskiego. Wreszcie późna twórczość Becketta charakteryzuje się pod względem językowym coraz większym ascetyzmem, aż do niezwyklej wprost ekonomii słowa w ostatnim stadium. Jakby przygotowaniem do zamknięcia.

Interesująco przedstawił swój pogląd na maestrię językową Becketta krytyk brytyjski John Banville. Przypomina on, że dla Joyce'a język był ostateczną rzeczywistością, podczas gdy Beckett widział w nim przede wszystkim narzędzie komunikacji. Joyce przykładał ogromną wagę do wizualnej strony pisarstwa — pod tym kątem komponował zdanie, akapit, nawet stronicę. Proza Becketta jest natomiast partyturą, zapisem dźwięków, to przede wszystkim głos mówiący do siebie. Do jego przodków literackich zalicza Banville Swifta, Racine'a oraz tłumaczy Biblii króla Jakuba. Rozważania nad językiem Becketta prowadzą go do wniosku, że pisarz przypisywany różnym -izmom (od egzystencjalizmu po postmodernizm, cokolwiek ten termin znaczy) był w gruncie rzeczy jednym z najgłębszych realistów we współczesnej literaturze światowej. Jego dzieła są zakorzenione w konkretności, w tym co zwyczajne i codzienne. Oczyszczając XIX-wieczną prozę i dramat z nadmiaru słów, Beckett pragnął zarazem jak najbardziej precyzyjnie nazwać rzeczy. Także rzeczy najpowszedniejsze, rupieciarnię, która stanowi naturalne środowisko stworzonych przezeń postaci.

Przypuszczalnie hierarchia jego dzieł zostanie wkrótce zrewidowana. Zdaniem Szweda, Beppe Arvidssona, zapewne największym jego osiągnięciem pozostanie trylogia prozą, a następnie zbiór prozy „Podrygi”, wydany w 1989 roku, z surową urodą języka na samej granicy milczenia. Krytyk sądzi, że mniejszą estymą będą się cieszyć utwory dramatyczne Becketta, które w latach pięćdziesiątych przyniosły mu sławę i nieco dochodów. Natomiast późna proza ostatnich dwudziestu lat z pewnością zostanie uznana za jedno z kluczowych osiągnięć literatury światowej.

Antoni Libera: „Moim zadaniem jest przełożyć na polski wszystko, cokolwiek Beckett napisał. Tom 'Dzieła dramatyczne' w

edycji PIWu jest dopiero początkiem. Nie zależy mi na pisaniu rozpraw o twórczości Becketta, na intelektualno-krytycznym literaturoznawstwie. Zależy na reakcji uczuciowej, na tym by być poruszonym. Zagadkowość dzieła literackiego jest również jednym z elementów emocjonalnych. Nie należy zbyt interpretować świata. A istotą świata jest zagadkowość. Wybieram dlatego przypis, a nie dysertację”.

Renata GORCZYŃSKA

Nadesłane nowości wydawnicze

- KUNZE (Reiner). *Cudowne lata*. Przeł. z niem. Marek Zybura. Str. 107 i 7 nłb. (Wyd. Księgarnia Polska, Wiedeń 1990).
- BARAŃCZAK (Stanisław). *Tablica z Macondo. Osiemdziesiąt prób wytłumaczenia, po co i dlaczego się pisze*. Str. 254 i 2 nłb. (Wyd. Aneks, Londyn 1990, cena £ 7, \$ 14).
- GUZY (Piotr). *Requiem dla pani Tosi*. Str. 131 i 1 nłb. (Wyd. Aneks, Londyn 1990, cena £ 4, \$ 10.)
- BRANDYS (Kazimierz). *Sztuka konwersacji*. Str. 139 i 3 nłb. (Wyd. Aneks, Londyn 1990, cena £ 4,50, \$ 10).
- WCISŁO (Stanisław). *Spacery nocą*. Str. 127 i 1 nłb. (Wyd. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1989).
- ISTNER (Filip). *To już*. Wiersze. Str. 108 i 8 nłb. (Wyd. Relacje, Stockholm 1989).
- ROSTOCKI (Józef M.). *Warte śmiechu*. Wiersze. Str. 48. (Wyd. OPiM, Londyn 1990).
- NELKEN (Halina). *Pamiętnik z getta w Krakowie*. Str. 384. (Wyd. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1987).
- LIEBERT (Wacław). *Byłe i niebyłe*. Opowiadania. Str. 220. (Wyd. Echo, Toronto 1990).
- Europa i Polska*. Publikacja zbiorowa pod red. Jana Parysa. Str. 93 i 3 nłb. (Instytut Spraw Międzynarodowych, Berno 1989, przedruk Wydawnictwo Wolne Pismo, Warszawa 1989).
- GOMBROWICZ (Witold). *Varia*, część II. Str. 213-472 i 8 nłb. (Wyd. Wydawnictwo Respublika, Warszawa 1990, przedruk wydania Instytutu Literackiego).
- KRAJEWSKI (Andrzej). *Kiedy Polska... Jan Nowak, Andrzej Celiński, ks. Józef Tischner, Timothy Garton Ash, Adam K., Zdzisław Najder*. Str. 99 i 1 nłb. (Wyd. Wydawnictwo Baza, Warszawa 1989).
- WIERZYŃSKI (Kazimierz). *Szkice i portrety literackie*. Str. 284 i 4 nłb. (Wyd. Więź, Warszawa 1990).
- KÓWALSKI (Włodzimierz T.). *1939. Ostatni rok Europy*. Str. 814 i 2 nłb. (Wyd. MON, Warszawa 1989).
- WODECKI (Wiesław). *Nowo-twór. Szkice o Rosji*. Str. 224. (Wyd. Oficyna Niepokornych, Wrocław 1989).
- LOBODOWSKI (Józef). *Kassandra jest niepopularna. Wybór tekstów z „Orla Białego” z lat 1956-1980*. Str. 64. (Wyd. Wydawnictwo im. Lecha Zondka, Poznań 1990).

- Wspomnienia Sybiraków. Tomy I-II.* Str. łącznie 330. (Wyd. Związek Sybiraków - Zarząd Główny, Komisja Historyczna, Wydawnictwo PoMost, Warszawa 1990).
- MURAWIOW (Michał, WIESZATIEL). *Wspomnienia.* Str. 106 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Zebra, Warszawa 1990).
- WIERZBOWSKI (Ryszard). *O szpocie. Studia i szkice.* Wybór i opracowanie Marek Waszkiel. Str. 151 i 1 nlb. (Wyd. Polunima, Łódź 1990).
- BONUSIAK (Włodzimirz). *Kto zabił profesorów lwowskich?* Str. 111 i 5 nlb. (Wyd. KAW, Rzeszów 1989).
- SWANIEWICZ (Stanisław). *W cieniu Katynia.* Str. 373 i 3 nlb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1990).
- Historia o Męce Najświętszej i Chwałebnym Zmartwychwstaniu Pańskim. Misterium ludowe w czterech częściach w układzie Leona Schillera.* Str. 178 i 22 nlb. (Wyd. PAX, Warszawa 1990).
- WOROSZYLSKI (Wiktor). *Dziennik węgierski 1956.* Str. 71 i 9 nlb. (Wyd. Więź, Warszawa 1990).
- IWANIUK (Wacław). *Powrót.* Wybór wierszy. Str. 188. (Wyd. Więź, Warszawa 1989).
- Stosunki polsko-ukraińskie 1917-1947. Od tragedii do współpracy.* Str. 124. (Wyd. Wydawnictwo „Perturbancji” w serii Biblioteka Perturbancji, 1, oraz Wydawnictwo Wolne Pismo, Warszawa 1990).
- SACHAROW (A.D.). *Rozmyślenia, wywiady, propozycje, artykuły.* Przeł. Wiesława Zagórska. Str. 158. (Wyd. Wydawnictwo Myśl).
- NABOKOV (Władimir). *Skośne w lewo.* Przeł. Maciej Słomczyński. Str. 168. (Wyd. CDN, Warszawa 1990).
- SMOLAR (Aleksander), KENDE (Pierre). *Le rôle des groupes d'opposition la veille de la démocratisation en Pologne et en Hongrie, 1987-1988.* Str. 85 i 3 nlb. (Wyd. INDEX, Kolonia 1990).
- RIVES-KOSKO (Anne). *Ce que je savais d'Allan.* Str. 100 i 2 nlb. (Wyd. nie podane).
- POMIAN (Krzysztof). *L'Europe et ses nations.* Str. 251 i 11 nlb. (Wyd. Gallimard, Paryż 1990, cena F. 100).
- OST (David). *Solidarity and the Politics of Anti-Politics. Opposition and Reform in Poland since 1968.* Str. 279 i 5 nlb. (Wyd. Temple University Press, Philadelphia 1990).
- BAUMAN (Zygmunt). *Freedom.* Str. 106. (Wyd. University of Minnesota Press, Minneapolis 1990).
- KAMENETSKY (Ihor). *The Tragedy of Vinnytsia. Materials on Stalin's Policy of Extermination in Ukraine during the Great Purge 1936-1938.* Str. 265 i 9 nlb. (Wyd. Ukrainian Historical Ass., Bahriany Foundation Inc. i Ukrainian Research and Documentation Center, Toronto-New York 1989).

O religii bez namaszczenia

Opus Dei

Opus Dei jest organizacją, która od początku swego z górą 60-letniego istnienia budziła kontrowersje. Literaturę przedmiotu można by dość jednoznacznie podzielić na prace propagandowo-apologetyczne i oskarżycielsko-krytyczne. Dziwne to, skoro idea przewodnia Opus Dei, jasna i prosta, nie powinna budzić sprzeciwów nawet ze strony ludzi niewierzących. Jest nią myśl, że każdy chrześcijanin powinien dążyć do świętości, i to właśnie w swoim normalnym świeckim życiu, poprzez pracę, tj. sumienne wykonywanie swego zawodu. Myśl oczywiście wcale nie jest nowa, jest nawet *implicite* zawarta w samym powołaniu chrześcijanina od momentu jego chrztu, choć prawdą jest również, że praktyka wielu wieków wytworzyła zgoła apatyczne przekonanie, że droga do świętości jest otwarta tylko dla niewielu wybranych, głównie członków stanu duchownego. Ale Simone Weil, chrześcijanka z przekonania, choć nieochrzczona, powiedziała kiedyś, że tak jak obowiązkiem fachowca jest zdobywanie pełnej sprawności w swoim fachu, tak minimalnym obowiązkiem chrześcijanina jest dążenie do świętości. W przypadku Opus Dei dziwi raczej to, że droga do świętości jego członków jest naszpikowana tyłoma szczegółowymi przepisami: codzienny udział w mszy świętej, przynajmniej pół godziny modlitwy myślnej rano i tyleż wieczorem, plus czytanie Pisma św. i odmawianie całego różańca, spowiedź co tydzień, jeden dzień rekolekcji w miesiącu, kilkudniowy okres rekolekcji w ciągu roku, codzienne fizyczne umartwianie się choćby tylko przez krótki czas. Zostawia to stosunkowo niewiele czasu, a zwłaszcza niewiele wolnej myśli na pracę zawodową (która przecież ma być głównym środkiem uświęcenia), nie mówiąc już o czasie wolnym dla rodziny czy o rozrywce. Ale to nie może być powodem wrogości wobec organizacji. Z górą 70.000 członków Opus Dei na całym świecie uważa tę dyscyplinę za pożyteczną dla siebie, nawet zbawienną.

Podążają ją dobrowolnie i trudno zaprzeczyć, że może ona być drogą do pogłębionego życia wewnętrznego — tak jak każda dyscyplina zakonna. Ale Opus Dei nie jest zakonem, członkowie nie składają ślubów a tylko uroczyste przyrzeczenie, zwane także kontraktem, że w zamian za opiekę i kierownictwo duchowe ze strony organizacji będą dążyli do osobistej świętości i wspierali w miarę swych możliwości cele organizacji. Członkowie dzielą się na kilka grup, które układają się w pewną hierarchię, choć o przynależności do tej czy innej grupy decydują raczej okoliczności ich życia. Jedni mieszkają wspólnie i zachowują celibat, inni, zachowując celibat, mieszkają indywidualnie i trudnią się swoim zawodem, a jeszcze inni mogą być żonaci. W grupie pierwszej oprócz świeckich są księża; charakterystyczne jest, że wszyscy księża Opus Dei rekrutują się spośród świeckich członków organizacji. Są również grupy kobiece, które w dużej mierze pełnią funkcje usługowe w rozlicznych instytucjach Opus Dei, przy czym obowiązują je jednak dość ścisła separacja płci. Tak, rola kobiet w Opus Dei może budzić zastrzeżenia.

Więcej zastrzeżeń budzi stopień integracji członków w struktury Opus Dei i stopień podległości moralnej kierownictwu duchowemu organizacji. Bo niezależnie od cotygodniowej spowiedzi każdy członek jest zobowiązany do odbycia raz w tygodniu szczerej rozmowy ze swoim bezpośrednim przełożonym, tak zwanego „otwarcia duszy” czyli przeglądu duchowego postępu, dotyczącego nawet najmniejszych drgnień duszy, w tym także intymnych przeżyć natury seksualnej. Oprócz tego odbywają się tak zwane kółka, w których członkowie są zobowiązani najpierw krytykować siebie samych, a następnie upominać się wzajemnie. Rzecznicy Opus Dei twierdzą, że ta drobniagowa reglamentacja życia duchowego dotyczy tylko właśnie życia duchowego czyli sfery religijnej, a nie życia zawodowego, w którym członkowie mają jakoby pełną swobodę podejmowania osobistych decyzji. Ale granica między jedną a drugą sferą jest oczywiście płynna; jest podstawową zasadą moralności chrześcijańskiej, że religia powinna kształtować całość życia jednostki, a Opus Dei szczególnie (i słusznie) upatruje właśnie w świeckim życiu zawodowym drogę do wewnętrznego uświęcenia. Tu zatem trudno oprzeć się podejrzeniom, że drobniagowa inwigilacja życia religijnego członków w praktyce nieuchronnie wychodzi poza sferę czysto religijną i prowadzi do ingerencji w życie zawodowe członków, nawet jeśli tego rodzaju ingerencje są *sensu stricto* niezamierzony. Chyba to przede wszystkim jest źródłem oskarżeń o mafijny charakter organizacji. Opus Dei, jakkolwiek ma wśród członków ludzi wszystkich warstw i zawodów, w tym i robotników, rekrutuje się głównie z szeregów katolickiej inteligencji i ma ludzi na kierowniczych stanowiskach w handlu, prze-

myśle i polityce. W Hiszpanii, kolebce Opus Dei, gdzie ma ono największą liczbę członków, przynajmniej trzech z nich za czasów generała Franco sprawowało wysokie funkcje ministerialne w rządzie i zarzutu ingerencji Opus w życie polityczne kraju nie zmniejsza fakt, że czwarty wybitny członek Opus Dei, redaktor pisma *ABC* Calvo Serer, znalazł się w opozycji wobec rządów generała Franco, został aresztowany i wydalony z kraju. Nie brak danych o dużych wpływach Opus Dei, w prawicowych dyktaturach wojskowych Ameryki Łacińskiej, między innymi w Chile gen. Pinocheta. Jest to tym bardziej znamienne, że Opus Dei z zasady nigdy i nigdzie nie występuje pod własną firmą. Różne instytucje i przedsięwzięcia Opus Dei w wielu krajach świata, mniej lub bardziej ściśle z organizacją związane — uniwersytety, domy akademickie, szkoły, instytucje charytatywno-wychowawcze — z reguły nie mają słów „Opus Dei” w nazwie, nie ma nawet żadnego oficjalnego organu czy publikacji Opus Dei, nawet kolejne statuty organizacji były (przynajmniej do niedawna) niedostępne dla szerszej publiczności, a niejednokrotnie nawet wybitni członkowie Opus ich nie znali. Rzecznicy Opus Dei twierdzą, że organizacja jako taka nie ma żadnych korporatywnych poglądów — religijnych, politycznych czy społecznych — poza wiernością religii katolickiej, hierarchii i zwłaszcza papieżowi. Wszystko inne, twierdzi się, jest sprawą osobistych poglądów i decyzji indywidualnych członków. Wobec wspomnianej wyżej inwigilacji sumień, jaka ma miejsce na wszystkich szczeblach, wydaje się to mało wiarygodne.

Czytelnik zorientował się zapewne, że informacje, które tutaj streszczam, pochodzą ze źródeł niezbyt Opus Dei przychylnych. Tak jest — ale nie tylko. Głównym moim źródłem jest wydana w ub. roku książka Michaela Walsh pt. *The Secret World of Opus Dei* (Grafton Books, London 1989). Od razu trzeba zaznaczyć (na wypadek, że w oczach czytelnika podważa to jego wiarygodność), że Michael Walsh jest byłym jezuitą, formalnie zlaicyzowanym, ale pozostaje nadal w bliskich stosunkach ze swoim zakonem; jest obecnie bibliotekarzem wchodzącego w skład Uniwersytetu Londyńskiego, prowadzonego przez jezuitów Heythrop College. Książka wydaje mi się wiarygodna, tym bardziej że pokrywa się w treści z dwiema innymi, wyraźnie przychylnymi Opus Dei, z tym że jest bez porównania bardziej szczegółowa. Te dwie inne książki to dziełko francuskiego księdza Dominika Le Tourneau pt. *What is Opus Dei* (Mercer Press, Dublin 1987; oryginał francuski *L'Opus Dei*, Presses Universitaires de France, 1984) i *Opus Dei — Exploding a Myth* australijskiego dziennikarza W.J. Westa (Little Hills Press, Crows Nest NSW, Australia). Pierwsza jest dość rzeczowym, choć wyraźnie apologetycznym wprowadzeniem w organizację i

duchowość Opus Dei, starannie omijającym wszelkie punkty sporne. To samo da się powiedzieć o drugiej książce, mimo zapowiedzianego w tytule zamiaru (*Exploding a Myth*) rozprawienia się z wysuwanymi wobec Opus Dei zarzutami. Jest to w gruncie rzeczy szereg relacji z rozmów autora z członkami Opus Dei w 10 krajach świata, od Japonii poprzez kilka krajów Europy i Ameryki oraz Filipiny na powrót do Australii. Wszyscy mówią z entuzjazmem o działalności Opus Dei w swoich krajach, są dumni i szczęśliwi — więc czego chcecie? Książka, szczerze mówiąc, irytująca.

Linia przewodnią książki Michaela Walsha jest historia i rozwój Opus Dei od momentu, kiedy w dniu 2 października 1928 roku księdzu José Maria Escriva de Balaguer objawiło się dzieło jego życia (które miał nazwać Dziełem Boga) aż po jego obecny kształt, nadany mu 19 marca 1983, gdy papież Jan Paweł II ustanowił Opus Dei pierwszą w dziejach Kościoła osobistą prelaturą, *prelatura personalis*. W przeciwieństwie do tamtych prac uderza niezmiernie ścisła dokumentacja tej historii w książce Walsha. Ma ona, z grubsza mówiąc, dwa nurty. Nurt duchowy reprezentują głównie wypowiedzi założyciela organizacji ks. Escriva de Balaguer (1902–1975), nade wszystko zbiór 999 maksym, wydanych dość wcześniej pod tytułem *El Camino* (Droga), przetłumaczoney potem na wiele języków i stanowiący odtąd pewnego rodzaju katechizm członków Opus Dei. Drugi nurt to kilka kolejnych statutów Opus Dei i cały zespół dokumentów prawnych, określających status Opus Dei w ramach Kościoła katolickiego. Ta ewolucja prawna jest bardzo znaczącym aspektem organizacji i jej dziejów. Na czym dokładnie polegało „objawienie”, jakiego ks. Escriva miał doznać owego dnia w 1928 roku, nie bardzo wiadomo, co nie przeszkadza, by w mitologii Opus Dei dzień ten został uznany za nadprzyrodzony początek organizacji. Nie ulega jednak wątpliwości, że zaledwie 26-letni podówczas ks. Escriva był osobowością charyzmatyczną, która szybko potrafiła skupić dokoła siebie grupę oddanych zwolenników, wprzęgając do roboty również własną rodzinę. Zrazu Opus Dei zostało uznane przez biskupa Madrytu jako zwykłe pobożne stowarzyszenie, ale wkrótce nastąpił okres niebywałej ekspansji, dla której status pobożnego stowarzyszenia już nie wystarczał. Przyczyniła się do tego niewątpliwie narodowo-katolicka atmosfera frankistowskiej Hiszpanii w latach bezpośrednio po wojnie domowej, które były również latami wojny światowej. (Choć Escriva nie był pełnej krwi frankistą; był raczej rojalistą, jak o tym świadczą jego zabiegi o uzyskanie starego tytułu szlacheckiego, należnego podobno jego rodzinie, co mu się ostatecznie udało). Opus Dei potrafiło stworzyć swoje ośrodki w neutralnej Portugalii, potem w niektórych

krajach Ameryki Łacińskiej i uzyskać *pied à terre* w papieskim Rzymie. W samej Hiszpanii spektakularnym osiągnięciem było założenie uniwersytetu Navarra w Pamplonie. Jakkolwiek Opus Dei miało być organizacją świecką dla uświęcenia świeckich poprzez pracę zawodową, formacja religijna świeckich musiała spoczywać w rękach księży (maksyma 61: „Świeccy mogą być tylko uczniami”) i to nie zwykłych księży diecezjalnych, lecz księży wychowanych w duchu Opus Dei. Ten stosunek zawsze był terenem pewnej dwuznaczności i niekiedy napięć: jeśli Escriva z jednej strony stale deklarował absolutną lojalność wobec biskupów, na których terenie Opus Dei działa, to jednak jego postawę cechowała pewna nieufność i Escriva dążył równocześnie do jak największego uniezależnienia organizacji, zwłaszcza swoich księży, od struktury diecezjalnej.

Alvaro uzyskał na ogół zadowalające odpowiedzi na swoje pytania i status instytutu świeckiego wystarczył Opus Dei na mniej więcej trzydzieści lat. Ale podległość Kongregacji dla Spraw Zgromadzeń Religijnych plasowała Opus Dei niejako na marginesie struktury hierarchicznej Kościoła. Zgromadzenia religijne i zakony mają przydzielone sobie specyficzne strefy działania. Wiele wskazuje na to, że Escriva widział swoją organizację — zarówno Kapłańskie Stowarzyszenie Świętego Krzyża jak i właściwe Opus Dei — jako załączek nowego ducha, nowej dyscypliny w strukturze hierarchicznej Kościoła jako całości, i to zarówno duchownych jak i świeckich wiernych. Wydaje się, że taka właśnie koncepcja leżała u podstaw ostatniej metamorfozy prawnej Opus Dei, przekształcenia organizacji w prelaturę osobistą, *prelatura personalis*. Stworzenie struktur o tej nazwie było przewidziane w jednym z dekretów Soboru Watykańskiego, ale w celach znacznie skromniejszych niż te, jakie Escriva de Balguer zdawał się sobie stawiać.

Symptomatycznym, jeśli nie głównym rysem nowego statusu Opus Dei jest fakt, że podlega ono teraz Kongregacji dla Spraw Biskupów, czyli Opus Dei znalazło się w głównym pionie struktury hierarchicznej Kościoła. Charakterystyczna jest oficjalna nazwa nowego statutu czy raczej konstytucji: *Codex Iuris Particularis Operis Dei*. Konstytucja jest istotnie wzorowana na nowym kodeksie prawa kanonicznego. Czyżby miała z kolei stanowić wzór dla jeszcze nowszego prawa całego Kościoła w przyszłości?

Czymże więc jest Opus Dei dzisiaj? Jest w pierwszym rzędzie formą życia duchowego kilkudziesięciu tysięcy chrześcijańskich katolików na wszystkich kontynentach, wybraną przez nich drogą duchowego rozwoju. Powaga i intensywność ich religijnego zaangażowania zasługuje na szacunek, a stworzone przez nich wielkie nieraz instytucje w wielu krajach globu budzą zgoła

podziw. Nawet jeśli zaakceptowana przez nich surowa dyscyplina duchowa może dla postronnego obserwatora być odpychająca (jaką jest dla piszącego te słowa), to trzeba pamiętać, że została przyjęta przez nich dobrowolnie. Ta forma pobożności zasługuje przynajmniej na tolerancję. Kościół powszechny jest wielką rodziną i jest w nim miejsce dla różnych typów umysłowości, charakterów i temperamentów. Jeśli modlimy się o zjednoczenie rozbitego chrześcijaństwa, o jedność, która, jak już dzisiaj wiemy, musi być jednością w różnorodności, to nie wolno nam wybrzydzać na formy pobożności, które nam akurat nie odpowiadają — pod warunkiem oczywiście, że istota ewangelicznego postania pozostaje w nich nienaruszona. Formy pobożności Opus Dei są bardzo konserwatywne, autorytarne, innymi słowy raczej przedsoborowe. Wiadomo, że założyciel Opus Dei z wielką obawą w sercu patrzył na reformy soborowe i ich realizację w swoim ruchu ograniczał do niezbędnego minimum; jest to najbardziej widoczne w liturgii, w której nadal dominuje łacina. Dla ruchu ekumenicznego Escriva nie wykazywał żadnego zainteresowania. Ale wiadomo, że nie był pod tym względem jedyny. Po dziś dzień wielu z nas tęskni jeszcze do twardych form nauczania przedsoborowego Kościoła i do tajemniczego mruzcando mszy trydenckiej. Piszący te słowa co niedziele, idąc do kościoła, łapie się na odmawianiu „Introibo ad altare Dei” aż po „Et tu conversus vivificabis nos”. Odmawiam te słowa z miłością. Były one cztery wieki obowiązkową modlitwą Kościoła, więc wolno mi chyba odmawiać je dobrowolnie i prywatnie. Wolno i członkom Opus Dei dawać upust swoim tęsknotom.

To samo można by powiedzieć o opcjach politycznych ludzi z Opus Dei, które dałoby się z grubsza określić jako konserwatywno-prawicowe. Takie były niewątpliwie poglądy założyciela. Michael Walsh w swej książce lojalnie zaznacza, że nie ma żadnych dowodów na wywieranie presji na członków Opus Dei, jak powinni głosować; niemniej główne pole rekrutacji członków — intelektualści, businessmeni, politycy — z natury rzeczy nadało organizacji dość określone oblicze społeczno-polityczne. Escriva de Balaguer odnosił się bardzo krytycznie do rodzącej się pod koniec jego życia teologii wyzwolenia i przelomowej dla tego ruchu konferencji biskupów latynoamerykańskich w Medellin w r. 1968. Ale przy całym szacunku do społecznego apostołstwa teologów wyzwolenia pozostaje faktem, że Ewangelia nie dyktuje żadnych konkretnych społeczno-politycznych rozwiązań i opcje polityczne chrześcijan są sprawą indywidualnych ludzkich sumień. Michael Walsh poświęca cały rozdział poczynaniom Opus czy jego członków w świecie polityki i biznesu, w którym jest kilka notorycznych skandali (w tym sprawa tragicznego załamania Banco Ambrosiano, w którą zamieszany

był sam Watykan), ale to nie jest materiał pozwalający na oskarżenie całego ruchu o działalność mafijną na wielką skalę w określonych celach politycznych. Michael Walsh też tego nie twierdzi. Ludzie są grzeszni, choć władze Opus Dei są zapewne zbyt skore do umywania rąk, ilekroć poczynania indywidualnych członków spotykają się z publiczną krytyką. Nawet pewne zalecenia samego mistrza zawarte w jego *El Camino* są z chrześcijańskiego punktu widzenia wprost gorszące. Na przykład maksyma 463 mówi, że miłosierdzie polega nie tyle na dawaniu co na okazywaniu zrozumienia, a maksyma 979, że nie należy nic robić bez należnej zapłaty, bo co jest dawane za darmo, nie jest należycie cenione. Natomiast wiadomo, że członkowie mają obowiązek nie tylko pracowania za darmo, ale i dawania na cele organizacji. Jak powstały ogromne fundusze na sfinansowanie rozlicznych instytucji Opus Dei, tego zapewne najskrupulatniejszy historyk nigdy nie dociecze.

A jednak Opus Dei jest pewnego rodzaju mafią, w tym sensie mianowicie, że jest organizacją, której dalekosiężne cele są tajemnicą ścisłego kierownictwa, w najlepszym przypadku tylko czołowej grupy członków, księży i bezzennych mężczyzn, tak zwanych *numerarii*. Masy członkowskie są świadome najwyżej pewnych konsekwencji tego zasadniczego zaangażowania w formie narzuconych im wymagań, między innymi (ale nie tylko) wspomnianej „dyskrecji”. To właśnie ma na myśli Michael Walsh, mówiąc w tytule swojej książki o „tajnym świecie Opus Dei” i to zdaje się być główną przyczyną, dla której wielu członków, nieraz wysoko postawionych w organizacyjnej hierarchii, z organizacji odeszło. Jest wśród nich wybitny teolog hiszpańsko-indyjskiego pochodzenia, Raimundo Pannikar, jest była przewodnicząca sekcji kobiecej Opus Dei w Venezueli, Maria del Carmen Tapia, jest kierownik duchowy jednego z ośrodków Opus Dei w Londynie, ks. Vladimir Felzman (Czech z pochodzenia) i wielu innych. Odejście nie jest rzeczą łatwą, nie tylko ze względu na stawiane przez władze Opus przeszkody natury formalnej, a nawet fizycznej (jak w przypadku pani Tapia wielomiesięczny areszt domowy). Trudności są nade wszystko natury psychologicznej, bo członkowie Opus Dei na skutek wieloletniej indoktrynacji są przekonani, że opuszczając Opus Dei porzucają jedyną drogę osobistego zbawienia. Bo Opus w swej najgłębszej istocie jest wewnętržno-kościelną sektą ludzi przekonanych, że są wybranymi przez Boga stróżami prawdziwej katolickiej ortodoksji i dalekosiężnym celem organizacji jest przerobienie całego Kościoła katolickiego od środka na swoją modłę. Oczywiście nie mówi się tego otwarcie — i na tym polega konspiracyjny charakter organizacji — ale pisma Escriva de Balaguera, zwłaszcza *El Camino*, roją się od wypo-

wiedzi, które nie pozostawiają co do tego żadnych wątpliwości. Escriva uważał sam siebie i jest uważany przez swoich „wiernych” za depozytariusza nowego i ostatecznego objawienia. Jędrnie to ujmując powieść jednego z „wiernych” (Michael Walsh, *op. cit.*, str. 180):

Jesteśmy resztką ludu Izraela. Jesteśmy jedynymi, którzy pozostają wierni Bogu i mogą jeszcze uratować dzisiejszy Kościół. Wygląda dziś na to, jak gdyby Kościół został przez Ducha Świętego opuszczony. My jesteśmy tymi, którzy mogą Kościół uratować przez naszą wierność dla Ojca.

Nie chodzi tu o Boga Ojca, lecz o „ojca” Escriva; tego rodzaju pomieszanie czy dwuznaczności są w wypowiedziach członków Opus Dei dosyć częste. Escriva i po śmierci jest nadal motorem i duszą organizacji, jej nieomylnym prorokiem. O jego odejściu w roku 1975 mówi się w kołach Opus Dei jako o jego „przeniesieniu do nieba” i natychmiast potem rozpoczęto oficjalne starania o jego kanonizację. W rzeczy samej kanonizacja zabójcy jest dla Opus Dei *conditio sine qua non* ostatecznej realizacji wewnętrzno-kościelnej misji jego wybranych, tak jak ją Escriva pojmował, a na krótką metę stanowiłaby przypięczętowanie, już nie tylko formalno-prawne ale zgoła teologiczne, katolickiej ortodoksji tej wewnętrzno-kościelnej sekty.

Jest wiele podobieństw między Opus Dei a rebelianckim ruchem arcybiskupa Lefebvre. Lefebvre też uważa swój ruch za jedynego kontynuatora zagrożonej jakoby katolickiej ortodoksji. Różnica polega na tym, że Lefebvre działa z otwartą przybyłą i dlatego jest właśnie ruchem rebelianckim, obecnie już ekskomunikowanym (ze względów dyscypliny jurysdykcyjnej raczej niż z powodów doktrynalnych), natomiast Opus Dei działa konspiracyjnie i jest dzięki temu nadal uznana częścią katolickiego Kościoła, jest jako pierwsza w dziejach i jedyna do tej pory *prelatura personalis* organizacją nawet uprzywilejowaną. Tylko konspiracyjnym charakterem Opus Dei i deklarowaną stale, wbrew faktom, lojalnością wobec papieża i hierarchii można wytłumaczyć ten, składnąd niezrozumiały sukces. Korespondent spraw religijnych londyńskiego *Times*², Clifford Longley, poleca ją uważnie wszystkim katolikom, zwłaszcza biskupów i księży, i apeluje do samego papieża, by tę książkę osobście przeczytał. Autor niniejszej recenzji jak najusilniej do tego apelu się przyłącza.

Antoni POSPIESZALSKI

Według wiadomości z Rzymu ma nastąpić wkrótce beatyfikacja ks. José de Balaguer.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

16.2.90

W Straduni odbyło się pierwsze walne zebranie zarejestrowanego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Mniejszości Niemieckiej na Śląsku Opolskim. Wzięło w nim udział 210 osób reprezentujących 170 kół. Przewodniczącym zarządu został wybrany Jan Król. Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza w Warszawie nadało Tymonowi Terleckiemu członkostwo honorowe.

31.3.90

Prymas Polski Kardynał Glemp delegował ks. Tadeusza Pikusa do pracy duszpasterskiej na terenie Związku Sowieckiego z siedzibą w Moskwie.

8.4.90.

Jak donosi *Życie Warszawy*, z zakopiańskiego cmentarza usunięto tablicę oznaczającą rzekomy grób Stanisława Ignacego Witkiewicza, a prochy pochowanego tam anonimowego Poleszuka przeniesione zostaną na inne miejsce. Makabryczna groteska trwa: wspomina się o następnej wyprawie do Jezior, przywiezieniu stamtąd urny ziemi, jeszcze jednej uroczystości w Zakopanem itd., itd.

1.5.90.

Profesorem zwyczajnym nauk humanistycznych został mianowany Adam Bromke z Instytutu Nauk Politycznych P.A.N. w Warszawie. Był on dość znany na terenie Kanady ze swej działalności polityczno-naukowej.

14.5.90

Została zawarta spółka między koncernem Hersanta we Francji a dziennikiem *Rzeczpospolita* w Warszawie (jest to oficjalne pismo rządu R.P. o nakładzie 250 tys. egz., redagowane przez Dariusza Fikusa). Koncern Hersanta rozpoczął nadto wydawanie czasopisma ekonomicznego w Moskwie pt. *Business in the USSR*, ukazującego się w języku rosyjskim i angielskim.

17.5.90

Z okazji 15-lecia Centre du Dialogue w Paryżu w Nuncjaturze Apostolskiej w Warszawie odbyło się jubileuszowe spotkanie z prelegentami. Na tę bardzo udaną uroczystość przybyło około 200 osób z całej Polski.

ZACHÓD — EMIGRACJA

28.4.90

Na Uniwersytecie w Lille (Francja) Jerzy Mond wygłosił odczyt na temat udziału Polaków we wszystkich frontach drugiej wojny światowej. Jerzy Mond został ostatnio wybrany wiceprezesem Wspólnoty Polsko-Francuskiej i członkiem Zarządu Koła A.K. w Paryżu.

4.5.90

Alain Bry, b. ambasador Francji w Etiopii (1980-1984) i na Madagaskarze (1984-1988) został mianowany ambasadorem Francji w Warszawie na miejsce amb. Claude Harel. Bry był już w Warszawie na początku swej kariery dyplomatycznej w latach 1957-1960, później zajmował różne stanowiska w Bangkoku, Hong-Kongu, Algierze, Tunisie i w administracji centralnej.

6.5.90

W Domu Kombatanta w Paryżu odbyło się spotkanie z Prezydentem R.P. na wygnaniu, Ryszardem Kaczorowskim. Poza tym w lokalu S.P.K. ks. Maj wygłosił odczyt o masowych grobach ofiar reżimu z okresu stalinowskiego, odkrytych na cmentarzu służewskim, oraz o problemach Polaków w Związku Sowieckim. Ponadto 18 maja br. odbył się odczyt Jacques Cheminade, dyrektora Instytutu Schillera w Paryżu, pt. „Zabiegi ekonomiczne dla Polski”. ■ Agencja Reutera podaje, że Papież w czasie pobytu w Meksyku oświadczył, że jakkolwiek dążenie Litwy do niezależności jest usprawiedliwione, to jednak należy unikać podważania pozycji Gorbaczowa.

10.5.90

W warszawskim Instytucie Polskim w Paryżu Jacek Woźniakowski, dyrektor Wydawnictwa „Znak”, wygłosił odczyt pt. „Dobre i złe niespodzianki na polskiej drodze do wolności”.

16.5.90

Ożywiona działalność Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu: zorganizowano wspólnie ze Stowarzyszeniem Architektów Polskich we Francji odczyt Bohdana Lisowskiego pt. „Człowiek, architektura i środowisko 'Solidarności' w Polsce”; 22.5.br. dyrektor Biblioteki Polskiej, p. Andrzej Krzeczunowicz, wygłosił odczyt pt. „Jaka konstytucja dla odrodzonej Rzeczypospolitej”; 16.5.br. została otwarta w gmachu Biblioteki Polskiej wystawa prac Aliny Szapocznikow; 26 maja br. miał miejsce odczyt prof. dr. Edmunda Chrościelewskiego b. kierownika Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Poznaniu, pt. „Katyń — rekonstrukcja sądowo-lekarska”.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

W drugiej połowie stycznia 1990 roku amerykański Urząd Imigracyjny przeprowadził w Chicago szereg akcji skierowanych przeciwko nielegalnie pracującym Polakom. W USA przebywa wiele tysięcy Polaków, którzy po wygaśnięciu ważności wizen amerykańskiej — najczęściej bez zezwolenia — pracują i przebywają na terenie kraju przez wiele jeszcze lat. Akcja deportacyjna, która nastąpiła po aresztowaniu nielegalnie pracujących, była wyjątkowo łagodna, zważywszy olbrzymią liczbę Polaków mieszkających i pracujących tu nadal nielegalnie. Z drugiej strony wykazała absolutną bezsilność polskiej grupy etnicznej; w podobnych sytuacjach rzecznicy innych grup energicznie protestują i wykorzystują swe możliwości nacisku. ■ Chicago odwiedził Andrzej Drawicz, który spotkał się

z dość ostrą krytyką ze strony dziennikarzy pracujących w niezależnych polonijnych środkach przekazu. Potępiono politykę personalną oraz manipulowanie informacjami uprawiane przez „odnowioną” telewizję. ■ W Chicago bawił z serią występów Jacek Fedorowicz, którego satyra straciła jednak dawną ostrość i stała się bardziej „dworska”. ■ W styczniu i w lutym odbywały się przesłuchania polskich marynarzy w Urzędzie Imigracyjnym w stanie Colorado. W sierpniu 1989 r. dziewięciu polskich marynarzy poprosiło o azyl polityczny w Anchorage na Alasce, skąd zostali przewiezieni do więzienia w Colorado. Oprócz niezależnych polonijnych dziennikarzy i działaczy niezrzeszonych w żadnych polonijnych organizacjach nikogo nie zainteresował los marynarzy. ■ W największym polskim skupisku w USA — Chicago — do walki o urząd przewodniczącego dystryktu, w skład którego wchodzi to miasto, przystąpiło między innymi dwóch kandydatów o polskich korzeniach. Niestety nie mieli oni niczego do zaproponowania polskiej społeczności, poza apelem o głosy. Rozłożenie głosów polskich wyborców na obu kandydatów oraz powszechny indyferentyzm polskich mieszkańców Chicago spowodował przegraną obu kandydatów. ■ W ślad za Stowarzyszeniem Polskich Kombatantów w USA także inne organizacje potępiły wizytę niektórych przywódców Kongresu Polonii Amerykańskiej w Polsce. Mówiono o potrzebie wstrzeźliwości przy uznawaniu rządu w Polsce jako rządu demokratycznego. ■ Zmiany w obsadzie polskich placówek konsularnych nie objęły Chicago, Nowego Jorku ani Waszyngtonu, gdzie w dalszym ciągu pracują ludzie reżimu, których charakteryzuje przede wszystkim nieznanostwo języka angielskiego oraz niekompetencja właściwie we wszystkich istotniejszych sprawach. ■ Arcybiskup Chicago, kardynał Joseph Bernardin, postanowił zamknąć wiele kościołów, w tym kilka polskich i zabytkowych. Spowodowane jest to stratami finansowymi, jakie te kościoły przynoszą archidiecezji, a wynika ze zmian, jakie zachodzą w składzie narodowościowym poszczególnych parafii i częstych migracji tych grup. Polacy podjęli natychmiastową kontrakcję, która chyba jest skazana na niepowodzenie zarówno ze względu na nieugiętą postawę kardynała, jak i na fakt, że utrzymanie parafii wymaga systematyczności, a nie jednorazowych akcji. ■ Ogłoszenie niepodległości przez Litwę spotkało się z bardzo dużym poparciem Polonii amerykańskiej. Niestety okazało się również przy okazji, że z niewiadomych względów *Dziennik Związkowy*, organ Związku Narodowego Polskiego — towarzystwa ubezpieczeniowego, na którego czele stoi Edward Moskał — odmówił opublikowania pięknego apelu poety Tymoteusza Karłowicza, który domagał się szybkiego uznania niepodległości Litwy przez rząd Polski. ■ Niezależny *Dziennik Chicagowski* oraz *Relax* opublikowały artykuły dotyczące niejasnych spraw związanych z Fundacją Solidarności, organizowaną kilka lat wcześniej przez Teda Kontka i Piotra Mroczyka, obecnie właściciela najstar-

szego polonijnego tygodnika *Gwiazda Polarna* oraz dyrektora sekcji polskiej RWE. Również pismo *Radical* podjęło ten dla wielu niejasny problem rozliczeń i zależności finansowych oraz politycznych. *Radical* jest pismem organizacji „Drugie Pokolenie”, która postanowiła utworzyć nowe niezależne polskie lobby, mogące kształtować politykę USA wobec Polski i grupy polskiej. ■ Sekretarz Stanu Illinois, Jim Edgar, kandydat na gubernatora w najbliższych wyborach, zainicjował akcję zbierania książek przeznaczonych do wysłania do Polski. ■ Amerykańskie media poświęcają wiele uwagi sprawom Polski. Ostatnio jeden z ważniejszych kanałów telewizji pokazał program dyskusyjny, w którym udział wzięli Jeffrey Sachs z Uniwersytetu Harvarda oraz Lawrence Kudlow, związany z finansjerą z Wall Street. Pierwszy podziwiał tempo polskiej reformy gospodarczej, drugi jest bardzo sceptycznie nastawiony do planu Balcerowicza, twierdząc że zamrożenie płac oraz zbyt wysokie podatki nie wpłyną pobudzająco na przechodzenie do systemu kapitalistycznego. ■ Ukazało się nowe, rozszerzone wydanie książki Zbigniewa Brzezińskiego „The Grand Failure; the Birth and Death of Communism in the Twentieth Century” (tłum. polskie Instytut Literacki 1990). Również książka „Lost in Translation. A life in a New Language”, pióra Ewy Hoffman, redaktorki z *New York Timesa*, pochodzącej z żydowskiej rodziny z Polski wzbudziła wielkie zainteresowanie Polką. Autorka jest bardzo pozytywnie nastawiona do Polski, Polaków i polskiej kultury. Powieść Andrzeja Szczypiorskiego „Początek”, znana w USA pod tytułem niemieckiego jej tłumaczenia „Piękna pani Seidenman”, robi wielką furorę w Stanach i ma być sfilmowana w Hollywood.

Mariusz SZAJNERT

KRONIKA KANADYJSKA

29 kwietnia br. odbyło się w Montrealu walne zebranie Polskiego Instytutu Naukowego i Biblioteki Polskiej im. Wandy Stachiewicz. Ze sprawozdania finansowego wynika, że dochody za rok 1989 wyniosły ogółem Dol.can. 55.900, na co złożyły się m.in. dotacja miasta Montreal — Dol.c. 14.200, dotacja funduszu Wieczystego Millenium — Dol.c. 7.000, dotacja Fundacji Społeczno-Kulturalnej — Dol.c. 7.000 oraz inne dary i subwencja — Dol.c. 13.000. Składki członkowskie wyniosły Dol.c. 3.000, a wpływy na Bibliotekę — Dol.c. 7.000. Wydatki wyniosły w 1989 r. Dol.c. 66.089, w tym wynagrodzenia stałych pracowników — Dol.c. 38.288, poważne kwoty wydano na nowy sprzęt bibliotekarski — kompute-

ry i półki biblioteczne; oprawa książek i zakup nowych kosztowały Dol.c. 5.000. ■ Minister Wielokulturowości i Obywatelstwa przeznaczył Dol.c. 400.000 na utworzenie katedry historii i kultury słowackiej na Uniwersytecie w Ottawie. Suma ta uzupełnia wkład społeczności słowackiej i samego uniwersytetu. Na uczelniach kanadyjskich są już m.in. katedry studiów ukraińskich, węgierskich, niemieckich, estońskich — ale brak polskich. Nie ze złości jednak woli Ottawy lub uniwersytetów. ■ W ostatnich miesiącach ukazały się dwie nowe publikacje prasowe: ilustrowany miesięcznik z tekstami w języku angielskim i i polskim *Polonia Voice* — *Głos Polonii* w Winnipegu (redaktor: Tadeusz Sosnowski; cena egzemplarza Dol.c. 2,00; redaktor wywodzi m.in., że pismo to jest unikalne, gdyż stara się trafić nie tylko do imigrantów polskich, ale również do ich dzieci i wnuków... będzie publikować w języku angielskim o naszej bogatej historii i kulturze); w Toronto dwutygodnik społeczno-kulturalny *Przełom*, którego redaktorem naczelnym jest Roman Buczek.

B.H.

KRONIKA SZWEDZKA

Coraz wyraźniej obserwujemy obecnie w Szwecji kryzys socjalizmu. W bieżącym roku jesteśmy świadkami prawdziwej pielgrzymki polskich posłów na Sejm do Szwecji, szukających natchnienia w socjaldemokracji szwedzkiej, gdy tymczasem ustroj szwedzki przekroczył swoje apogeum w latach siedemdziesiątych i odtąd zmierza ku kryzysowi. Czy nie mądrzej byłoby szukać natchnienia w Niemczech Zachodnich, które po wojnie znalazły się w stanie całkowitego rozbitcia i w stanie tak zdewastowanym, w jakim nigdy nie była Polska, a dzisiaj są największą potęgą gospodarczą Europy? Przykładem mogą także służyć Austria, Holandia, Belgia, które również były zdewastowane wojną, a dzisiaj mają kwitnącą gospodarkę przy ustroju demokratycznym i wolnorynkowym. Jeszcze lepszym przykładem dla Polski są Włochy, naturalnie nie papieski Rzym — gdzie finanse Watykanu znajdują się w chronicznym kryzysie — lecz Mediolan, ośrodek produkcji, nowoczesności i postępu. Ta północna część Włoch, niedawno jeszcze pogrążona w biedzie po wojnie i rewolucyjnej zmianie ustroju, wydzwignęła ten kraj do rangi piątej potęgi gospodarczej świata. Nawet Hiszpania — w nędzy po wojnie domowej i upadku faszyzmu, która jak Polska przeżyła bezkrwawą rewolucję po śmierci generała Franco — jest już krajem kwitnącym, a to w pewnej mierze dzięki mądrym pretendentowi do tronu, a obecnie królowi, posiadającemu sztukę kompromisu i

współrzędzenia z różnymi zwaśnionymi stronnictwami. W Hiszpanii — jak dotychczas — socjaldemokracja wykazuje jeszcze żywotność.

W pierwszym okresie powojennym Szwecja słusznie wzbudziła zainteresowanie nawet socjologów amerykańskich, którzy stworzyli wtedy terminologię „trzeciej drogi”. Strajki były nieznanne. Spory między pracodawcami a pracownikami załatwiano polubownie, przy swego rodzaju okrągłym stole. Socjaldemokracja miała przywódców tej miary co Hjalmar Branting, Per Albin Hansson i być może jeszcze Erlander. Jego następca, Olof Palme, wybitny aczkolwiek kontrowersyjny polityk, próbował wprowadzić Szwecję na wielką arenę polityki światowej. Następca Palmego Ingvar Carlsson — rozpoczął epokę rządów aparatczyków ze wszystkimi konsekwencjami takiego rządu. Mieliśmy już w ubiegłym miesiącu kryzys i upadek gabinetu. Carlsson mógł ponownie utworzyć gabinet jedynie dzięki zdradzie liberałów, którzy złamali współpracę opozycji i wbrew innym dwóm stronnictwom mieszczańskim — poparli kryzysowy program socjalistów ratowania gospodarki przy zaciskaniu pasa. Wprowadza się drastyczne oszczędności w sektorze opieki społecznej, służby zdrowia, szkolnictwa i kultury. Chcą zabronić strajków i wprowadzić jeszcze inne zaostżenia. Po raz pierwszy poróżniło to zasadniczo rządzących socjalistów z Centralą Związków Zawodowych LO. Program ten zaczyna przypominać program Balcerowicza w Polsce. Sondaż opinii społecznej z przełomowego okresu kwiecień-maj wykazał rekordowy i katastrofalny spadek poparcia społecznego. Socjaldemokracja liczyć może tylko na 31,2% głosów (najniższy procent okresu powojennego), natomiast umiarkowana prawica — czołowe stronnictwo opozycji — ma już poparcie społeczne 25,5% wyborców.



Krytyce została poddana polityka zagraniczna. Sten Andersson, minister spraw zagranicznych, były wybitny działacz partyni, popełnił gafkę. Tym razem wobec Litwy: niedawno wyraził opinię, że kraje bałtyckie — a w tym i Litwa — właściwie nie były okupowane przez Sowiety. Wywołało to nie tylko oburzenie opinii społecznej, ale również ostrą reakcję prezydenta i ministra spraw zagranicznych Litwy. Sten Andersson uważa, że Sowiety zachowały się wstrzemięźliwiej wobec Litwy w porównaniu z postępowaniem Ameryki z Panamą. Landsbergis nazwał to porównanie „skandalem”, a minister spraw zagranicznych, Kazimiera Prunskiene, na tradycyjnym wiecu społeczeństwa szwedzkiego powiedziała publicznie, że „naród szwedzki swym poparciem może naprawić błąd popełniony przez rząd, który uznał aneksję Litwy przez Sowiety”. Warto tu wspomnieć fakt oddania okupantom sowieckim zapasu złota państw bałtyckich, zdeponowanego w Szwecji. Miało to miejsce zanim Szwecja uznała aneksję trzech krajów bałtyckich. Z takim wnioskiem wystąpił w końcu kwietnia br. Andreas Küng,

działacz i publicysta szwedzkiego stronnictwa liberalnego oraz przewodniczący Kongresu Estonii w Szwecji. Na skutek nacisku stronnictw opozycyjnych, a nawet części działaczy socjaldemokratycznych, Komisja Spraw Zagranicznych Parlamentu uchwaliła bardziej stanowczy protest wobec Moskwy od początkowo projektowanego przez rząd. Tym niemniej na prośbę delegacji parlamentarzystów litewskich o poparcie ze strony Szwecji, Sten Andersson — jak stwierdzili — udzielił odpowiedzi „wykrętnej”. Zupełnie inne stanowisko zajmują społeczeństwo i prasa szwedzka. Od szeregu tygodni na centralnym placu Sztokholmu w każdy poniedziałek w południe odbywają się manifestacje na rzecz Litwy z udziałem kilkunastu tysięcy ludzi, popierane przez Estończyków, Łotyszów i polską „Solidarność” ze sztandarami o barwach narodowych i transparentami. Podobne demonstracje odbywają się jednocześnie w trzynastu innych miastach Szwecji.



Zgodnie z oficjalnym komunikatem Szwedzkiej Agencji Prasowej TT w dniach 29-31 maja ma przybyć do Sztokholmu z oficjalną wizytą Lech Wałęsa, zaproszony przez Centralę Szwedzkich Związków Zawodowych LO. Według TT wizyta ta miała mieć miejsce w lutym br., ale została odwołana przez Wałęsę z motywacją, że program nie był na dostatecznie wysokim poziomie; nie przewidywał mianowicie spotkania z premierem Ingvarem Carlssonem. Strona szwedzka była zgorzonna formą depechy anulującej przyjazd Wałęsy w lutym. Podpisana przez Bogdana Lisa, rzecznika „Solidarności”, depecha odbiegała od obyczajów przyjętych w oficjalnych stosunkach międzynarodowych. Nadto podkreślała, że Wałęsa jest „osobą ważną”. Prawdziwie ważne osoby nie podkreślają swojej „ważności”. Miejmy nadzieję, że tym razem Wałęsa oszczędzi nam przejawów swojego samodurstwa.



Okres sprawozdawczy obfitował w wizyty polskich polityków, literatów i przedstawicieli kultury polskiej. Jeśli chodzi o posłów na Sejm, to za szczególnie udane uważam spotkanie z p. Józefą Hennełową, pp. Dowgiałło, Kraszewskim, Chrupkiem, Królem i Iwanem oraz z senatorem Madejem. Na wszystkie pytania odpowiadali sensownie i rzeczowo, a przede wszystkim obiektywnie, nie zadowolając się propagowaniem własnego środowiska. Najwięcej słuchaczy zebrał Adam Michnik, który wystąpił w dwóch ośrodkach: w Instytucie Szwedzkim i w Instytucie Polskim przy ambasadzie R.P. Wystąpienia Michnika były jednak kontrowersyjne i wywołały dyskusje nie zawsze dla niego przychylnie.

Zawsze udane są czwartki literackie Stowarzyszenia Polek, popierane przez Towarzystwo Przyjaciół *Kultury* paryskiej i Przyjaciół Biblioteki Polskiej przy OPON (Ośrodku Polskich Organizacji Niepodległościowych). Specjalnie chciałbym tu wymienić prelekcję dr. Leonarda Neugera, doskonałego tłumacza literatury szwedzkiej. Interesujący był wieczór literacki (26 kwietnia br.) na temat twórczości Wisławy Szymborskiej, wygłoszony po polsku przez znakomitego znawcę i miłośnika polskiej literatury, Andersa Bodegarda. Mówił on również o „Dzienniku” Witolda Gombrowicza. Janina Ludawska, teatrolog, zapoznała miejscową Polonię z Gombrowiczem na scenie szwedzkiej i jego wpływem na współczesną szwedzką dramaturgię. Zasłużoną popularnością cieszą się wykłady dr. Andrzeja Uggia, docenta Uniwersytetu w Uppsali, który jest propagatorem wiedzy o kulturze polskiej w Szwecji i kultury szwedzkiej wśród Polaków. Kilka razy w roku ma też wykład w Stowarzyszeniu Polek. Korzystam z okazji, aby wyrazić tu żal z powodu braku zainteresowania młodzieży polskiej tematyką kulturalno-literacką. Dotyczy to zresztą nie tylko kultury szwedzkiej, ale i polskiej. Szkoda!



Akademia Szwedzka przyznała dwie zaszczytne nagrody: tłumaczowi literatury szwedzkiej na język polski Leonardowi Neugerowi (25 tys. koron) i Maciejowi Zarembie, publicyście zamieszkałemu w Szwecji od 1969 r., którego wnikliwie i zawierające doskonale informacje reportaże i artykuły o Polsce publikowane są na łamach poczytnego pisma *Dagens Nyheter* (20 tys. koron).



Sytuacja na rynku pracy i poważny niedobór budżetowy zmuszają rząd do zajęcia bardziej rygorystycznego stanowiska wobec fali imigracyjnej z całego świata. Przynajmniej 10% ludności urodziło się poza granicami Szwecji. Mamy tu imigrantów z 21 krajów, nie licząc krajów nordyckich (Finlandia, Norwegia, Dania, Islandia). W samym Sztokholmie jest już ponad 50 tys. uchodźców. Najliczniejsi są Turcy (14 tys.), na drugim miejscu Niemcy (11.391), a na trzecim Polacy (10.500). Następnie idzie Chile, Jugosławia, Grecja i inni. Wobec normalizacji stosunków w Polsce nie będzie się przyznawać azylu nowym uchodźcom. Do wyjątków należeć będzie m.in. łączenie rodzin. Przemyt uchodźców z Bliskiego Wschodu i innych krajów przez Polskę zostanie wstrzymany przez odsyłanie ich tam, skąd przybyli — do Polski. Międzynarodowe szlaki zajmujące się za wysoką opłatą fałszowaniem paszportów i wiz, które mają swoje powiązania w różnych krajach, począwszy od Szwecji a skończywszy na emiratach Zatoki Perskiej, szybko stracą wielkie dochody płynące z tego procederu. Biorą w tym udział również

Szwedzi i Polacy (chyba niezbyt uczciwi urzędnicy konsulatów, których z niewiadomych powodów się nie usuwa).



2 maja odbyło się inauguracyjne spotkanie części Polonii z Tomaszem Jastrunem (Witoldem Charłampem), nowomianowanym dyrektorem Instytutu Polskiego przy Ambasadzie R.P. w Szwecji. Odpowiadał chętnie na „sto pytań”. Obecnych było około 200 osób — wstęp za zaproszeniami. Spotkanie połączone było ze skromnym — jak na państwo w kryzysie przystało — przyjęciem bezalkoholowym. Natomiast na pożegnaniu dotychczasowego kierownika Instytutu, płk. Wilka, było również ok. 200 osób, ale przyjęcie było wystawne i trunki obfite. Tak mi mówili ludzie, którzy tam byli, ale nas tam nie było.



Na zakończenie słów kilka o fundacji Polska Kulturfonden, kierowanej przez Andrzeja Ekwińskiego. Ostatnia impreza poświęcona była pamięci tłumacza, Zygmunta Lanowskiego, doktora *honoris causa* Uniwersytetu w Uppsali. Lanowski był ranny w czasie wojny, był więźniem łagrów sowieckich, a w Szwecji był leczony z ciężkiej, nieuleczalnej choroby. W szpitalu nauczył się szwedzkiego i dokonał wielkiego dzieła: tłumaczył na język polski szwedzką literaturę klasyczną i nowożytną. Z. Lanowski zmarł w ub. roku. W Bibliotece Miejskiej w Szokholmie odbyła się w marcu-kwietniu br. poświęcona mu wystawa, która odbiła się głośnym echem w prasie. Polska Kulturfonden wydała ilustrowany katalog, zawierający monografie wybitnych polskich i szwedzkich uczonych i pisarzy.

Norbert ŻABA

5 maja 1990 r.

UCHWAŁA RADY NACZELNEJ NiD

Uchwała Rady Naczelnej z 21 maja 1989 stwierdza, że NiD (Niepodległość i Demokracja) uznaje urząd Prezydenta R.P. na emigracji jako historyczny symbol niepodległego Państwa Polskiego.

Uchwała ta będzie ważna aż do czasu przeprowadzenia w Polsce całkowicie wolnych i demokratycznych wyborów na ten urząd.

Rząd Tadeusza Mazowieckiego sprawuje swoje funkcje już od ponad pół roku. Ma on na swoim koncie szereg sukcesów tak w polityce wewnętrznej jak i międzynarodowej. Jest w trakcie przeprowadzania śmiałej i bardzo radykalnej reformy gospodarczej, która z natury rzeczy nałożyła na społe-

czeństwo konieczność poniesienia ciężkich ofiar i dalszego obniżenia i tak już bardzo niskiej stopy życiowej.

Mimo tego rząd ten ma poparcie 38-milionowego narodu, poparcie tak powszechne, jakiego nie miał dotychczas żaden rząd w demokratycznych krajach świata.

Rząd Tadeusza Mazowieckiego ma też poparcie przytłaczającej większości emigracji politycznej.

W tej sytuacji dalsze istnienie rządu na emigracji nie ma uzasadnienia ani praktycznego ani symbolicznego. Jego utrzymanie powoduje dezorientację tak wśród Polaków w Kraju jak i na emigracji, a także w obcych środowiskach politycznych.

Prezydentowi R.P. na emigracji w wykonywaniu obowiązków są potrzebni doradcy, a nie ministrowie.

PRW NiD apeluje do Prezydenta R.P. i rządu emigracyjnego o wyciągnięcie wniosków z obecnej sytuacji i dokonanie zmian organizacyjnych dostosowanych do realnych warunków politycznych.

Londyn, 30 marca 1990.

Czy nie za wcześnie? Wystarczy przypomnieć dramatyczny apel Jana Nowaka w przededniu wyborów do sejmu w 1956 r., by głosować bez skreśleń. Wiemy, jak to się skończyło. — Redaktor.

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE □ KSIAŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Listy do Redakcji

4 maja 1990

Szanowny Panie Redaktorze,

Zauważyłem w gazetach i w czasopiśmie polskich (łącznie z *Kulturą*) inflację artykułów w formie wywiadów. Wydaje mi się, że dawniej ta forma publicystyki była rezerwowana dla wybitnych osób ze świata polityki czy kultury, aby oddać jak najbardziej dokładnie intencje osoby udzielającej wywiad. Dziś ta forma jest stosowana zbyt często, nie chcę podawać tytułów pism, ale nieraz wypełnia połowę treści niektórych pism.

Wydaje mi się, że autorzy wywiadów zbyt upraszczają sobie formę publicystyki i przy wielu okazjach można by lepiej opracować temat artykułu na podstawie rozmów z osobami przedstawionymi w rozmowie. W dodatku wywiady przeprowadzone są w formie „na ty” i wydaje mi się nieraz, że autor przy okazji chce pochwalić się czytelnikom swoim stosunkiem towarzyskim z osobą udzielającą wywiadu.

Gdyby Pan Redaktor uznał, że moje uwagi mają jakiś sens, proszę o zamieszczenie w rubryce listów do redakcji.

Z poważaniem

Wiesław GRUSZCZYK

Szanowny Panie Redaktorze,

W kwietniowym numerze Pańskiego pisma opublikowany został list mojej żony, zatytułowany „Przeskoczyć plot we właściwym miejscu i czasie”.

Powstała sytuacja dla mnie żenująca. Zawsze bowiem starałem się unikać reklamy i rozgłosu wokół mojej osoby, o czym najlepiej wiedzą liczni dziennikarze krajowi i zagraniczni, zabiegający o wywiady ze mną. Tym bardziej nie oczekiwałem, by czynił to ktoś za mnie, a już zwłaszcza osoba mi bliska.

Ale niestety stało się. Staram się zrozumieć, iż intencją żony było przypomnienie lub stworzenie mojego, bardzo subiektywnie przez nią widzianego wizerunku na użytek publiczny. Uczyniła to jednak bez mojej wiedzy i

zgody. Świadczy o tym dobitnie wiele elementarnych nieścisłości i oczywistych pomyłek w warstwie faktograficznej.

I tak:

1. Obejmując w kwietniu 1979 roku stanowisko Szefa Wojskowej Służby Wewnętrznej MON, nie pełniłem równocześnie — jak sugeruje się w liście — funkcji zastępcy szefa Sztabu Generalnego WP. Funkcja ta w Sztapie Generalnym WP została, niejako *ad personam*, po raz pierwszy połączona ze stanowiskiem szefa Zarządu II Sztabu Generalnego. Wraz z nominacją na szefa WSW MON przestałem być zastępcą szefa Sztabu Generalnego WP.

2. Oczywiście jest, że zanim zostałem zastępcą członka Biura Politycznego, co nastąpiło w 1982 roku, byłem wcześniej, od 1980 roku, zastępcą, a następnie członkiem Komitetu Centralnego PZPR, a nie odwrotnie, jak przedstawiono w liście.

3. Trudno mi zgodzić z zaprezentowaną oceną sytuacji społeczno-politycznej i gospodarczej Polski lat 70-tych. Jest ona nadzbyt uproszczona. Oprócz ludzi niekompetentnych i niewłaściwych w ówczesnym *establishment*-cie oraz popełnianych błędów, do których i ja miałem krytyczny stosunek, były również istotne osiągnięcia, a także ludzie, którzy dobrze się zasłużyli krajowi. Jak każde życie, tak i każdy okres nie składa się z samego pasma nieścisłości. Podobnie było z tamtą dekadą.

4. Daleko nieścisłe została określona w liście wysokość zadłużenia zagranicznego Polski, które w 1980 roku wynosiło około 23 mld dolarów, a nie 32 mld, jak podaje się w liście.

5. Prawdą jest, że już w pierwszych dniach stanu wojennego nawiązywałem kontakty z wieloma internowanymi. Starałem się naprawić błędy wynikłe z działania w pośpiechu, bez możliwości wcześniejszego zweryfikowania nazwisk i zdecentralizowanych decyzji, przyjmowałem rodziny i — jak mogłem — wychodziłem naprzeciw ich prośbom, spotykałem się również z samymi internowanymi. Natomiast nie jest prawdą, że z Lechem Wałęsą spotkałem się zaraz po internowaniu. Spotkanie to miało miejsce dopiero jesienią 1982 roku w Arłamowie. W efekcie prowadzonych z nim rozmów politycznych została podjęta, na mój wniosek, decyzja o zwolnieniu go z internowania.

6. Potwierdzam zawartą w liście konstatację, iż w owych dniach utrzymywałem ożywione kontakty z przedstawicielami hierarchii kościelnej, a zwłaszcza z Jego Eminencją Księdzem Kardynałem Franciszkiem Macharskim, Ekscelencją Księdzem Arcybiskupem Bronisławem Dąbrowskim oraz Ekscelencją Księdzem Biskupem Alojzym Orszulikiem oraz wieloma innymi dostojnikami Kościoła. Prowadzone długie i ciekawe, bardzo ożywione rozmowy dotyczyły przede wszystkim poszukiwania dróg wiodących do porozumienia i pojednania narodowego.

Szacunek i uznanie, jakim darzę te osoby, nie pozwalają mi jednak interpretować okazywanej mi życzliwości jako wyrazu osobistej przyjaźni, jakkolwiek poczytywałbym to sobie za niewątpliwy zaszczyt.

7. Co do kruszenia przeze mnie „betonowego muru” to muszę stwierdzić, iż ocena zaprezentowana w liście jest nieścisła, zwłaszcza gdy usiłuje przypisać mi wyłączność na reformatorstwo wśród ówczesnych władz. Na szczęście oprócz wielu ludzi nie rozumiejących zachodzących zjawisk, i konieczności reform, byli także myślący podobnie jak ja. Brzemienne w skutki X Plenum KC PZPR, w trakcie którego — co jest faktem powszechnie znanym — Wojciech Jaruzelski, Florian Siwicki, Mieczysław F. Rakowski i ja zagroziliśmy praktycznie dymisją, w obliczu nie w pełni zrozumienia naszych

intencji i działań, było zwycięstwem nurtu reformatorskiego w partii, a nie tylko moim.

Nawiązując zaś do opinii zawartej w treści listu o rzekomym pomniejszeniu mojej roli w zaistnieniu „okrągłego stołu”, pragnę przypomnieć, iż idea ta została wysunięta i ogłoszona przez Wojciecha Jaruzelskiego, 27 sierpnia 1988 roku, o czym wielokrotnie wypowiadałem się publicznie. „Ojciec” jest więc znany. Osobiście nie czuję się niedoceniony. Mam świadomość, iż będąc gospodarzem tego historycznego zdarzenia przypadła mi rola pierwszoplanowa, choć — jak podkreślałem to wielokrotnie — działaniem zawsze w ramach danego mi upoważnienia.

9. I ostatnia kwestia dotycząca mojej rezygnacji z funkcji premiera. Przy całym szacunku dla Pana Tadeusza Mazowieckiego, którego miałem możliwość i przyjemność poznać bliżej przy okazji przygotowań do „okrągłego stołu” w Magdalence, pragnę podkreślić, iż moja rezygnacja nie była wyłącznie na jego rzecz, ale na rzecz trzech, znanych mi z imienia i nazwiska kandydatów z ówczesnej opozycji, wśród których był również Pan Tadeusz Mazowiecki. Zgodnie z procedurą kandydaturę Tadeusza Mazowieckiego zarekomendował prezydent Wojciech Jaruzelski, Sejm zaś powołał na premiera.

Kończąc ten list, wymuszony niespodziewaną dla mnie publikacją, chciałbym jeszcze raz wyrazić ubolewanie z powodu jej ukazania się w Pańskim poczytnym piśmie. Tym bardziej jest dla mnie przykre, że przyszło mi prostować nieścisłości mojej żony i dezawnować pewną część politycznego sensu jej wypowiedzi.

Mam nadzieję, że ten prasowy „małżeński pojedynek” czytelnicy Pańskiego pisma przyjmą ze zrozumieniem i wyrozumiałością dla ludzkiej natury, która — jak wiadomo — do końca jest nieodgadniona i zaskakuje niekiedy nawet najbliższych.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Czesław KISZCZAK

Na tym zamykamy dyskusję między pp. Kiszczakami — Red.

Londyn, 2.2.1990

Szanowny Panie Redaktorze,

W liście do Redakcji zamieszczonym w lipcowym numerze (nb.r.) *Kultury*, Szymon Szyszman podaje: *Przed trzydziestu laty opuścił ten padół profesor Stanisław Kościatkowski. Nie uczyniono dotychczas niczego dla uczczenia tej świetlanej postaci...*

Nie jest sprawiedliwą oceną, że „dotychczas niczego nie uczyniono” u emigracji by przypomnieć życie i działalność prof. S. Kościatkowskiego. Zrobiono to w skromnej formie, ale może najbliższej sercu profesora: udostępniając nowemu pokoleniu czytelników pracę jego pióra, zawierającą zarys wiadomości z dziejów Polski (od Piastów do 1945 roku), „Poznajemy naszą przeszłość”. Autor ofiarował ją przed laty młodzieży polskiej za pośrednictwem miesięcznika *Ogniw*, wydawanego w Londynie przez Zw. Harcerstwa Polskiego, na prośbę redakcji tego pisma, rekrutującej się wówczas z

przedstawiciele młodego pokolenia, które znalazło się w Anglii po wojnie przebytej w kraju pod okupacjami, po Powstaniu Warszawskim i przymusowym wysiedleniu z Wilna i Lwowa. W ramach Biblioteczki Ogniw wyszły dwa wydania rozprowadzone na siatce ZHP dzięki funduszom zebranym przez samą młodzież i finansowej pomocy Polskich Oddziałów Wartowniczych w Niemczech Zach., które kilkaset egzemplarzy książeczki (ozdobionych pamiątkowym *ex libris*) przeznaczyły „na nagrodę pilności (...) i postępy na kursach podstawowych i ogólnokształcących” dla wartowników.

W lecie 1988 roku, w 70-tą rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości, z inicjatywy Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie poświęconego badaniom najnowszej historii Polski i z finansowym poparciem Rządu R.P. ukazało się *nowe wydanie* (uzupełnione tabelami chronologicznymi, zestawami fotografii i map) pracy prof. S. Kościałkowskiego „Poznajemy naszą przeszłość”, stanowiącej materiał pomocniczy w nauce i nauczaniu historii Polski. We wstępie do tego wydania podany został obszerny życiorys prof. S. Kościałkowskiego, przypominający jego działalność pedagogiczną i naukową w Wilnie, w Tow. Przyjaciół Nauk i na katedrze historii w USB przez cały okres niepodległości do chwili aresztowania przez Sowietów i zesłania do obozu pracy niewolniczej w Rosji *za to, że gorliwie kochał Polskę i jej przeszłość, że zbyt żarliwie wpajał tę miłość w młodzież*, kontynuowaną na obczyźnie po uwolnieniu z łagru do chwili zgonu w Anglii.

Skromne fundusze zebrane na to wydanie pokryły koszty druku ofiarowane przez drmkarnię Caldera Honse, odpowiedzialną również za niezwykle staranną formę wykonania całości. Cena tej ślicznej książeczki jest dostępna wszystkim, omówienia jej ukazały się w szeregu pism (m.m. *Dzienniku Polskim*, *Tygodniu Polskim*, *Niepodległości*) a zapowiedź w licznych ogłoszeniach dzięki PFK. Celem i zadaniem nowego wydania „Poznajemy naszą przyszłość” jest szerzenie na emigracji i w kraju prawdy o dziejach Polski, kierując się myślą prof. S. Kościałkowskiego, który w słowie wstępnym przedrukowanym w pierwszego wydania sformułował swój stosunek do historii ojczyzny, przekazując postawnictwo płynące z jej przeszłości nowym pokoleniom. Przypomnienie tego postawnictwa w chwili obecnej jest dowodem dochowania „żywej” pamięci prof. S. Kościałkowskiemu.

Z wyrazami poważania.

Barbara MĘKARSKA-KOZŁOWSKA

9 kwietnia 1990

Szanowny Panie Redaktorze,

Stosunkowo niedawno otrzymałem marcowy numer *Kultury*. Nie jest to ważna sprawa, ale we wpłatach na Fundusz *Kultury* nastąpiła pomyłka w moim imieniu. Powinno być „Jan” a nie „Józef”.

I jeszcze druga sprawa, też niezbyt ważna. 6 grudnia ub. r. w liście do Pana Redaktora podałem swoje wrażenia po przeczytaniu artykułu Kazimierza Brauna pt. „Poza marginesem” (*Kultura* Nr 11, 1989).

Pomimo wyrzekania się komunizmu, sowietyzacja młodego pokolenia jest widoczna w Chicago wśród nowoprzybyłych z Kraju. Jest to poważna bolączka w naszym życiu społecznym i na to chciałbym zwrócić uwagę.

Jest dla mnie niespodzianką, że taki komentarz nie mógł ukazać się w „Listach do Redakcji”.

Łączę wyrazy poważania

Jan F. MORELEWSKI

OD REDAKCJI

Serdecznie przepraszamy p. Z. Michała Legutko za fatalną pomyłkę w jego ogłoszeniach zamieszczonych w marcowym i kwietniowym numerze *Kultury*. Niestety nie przyszło nam do głowy, że duża drukarnia, w której drukuje się *Kultura* może popełnić taki błąd, mając przecież makietę każdego numern. Zamiast nowego ogłoszenia dotyczącego majowej aukcji, które było złożone, skorygowane i doręczone drukarni, zamieścili bardzo graficznie podobne ogłoszenie dotyczące aukcji styczniowej! Pierwszy raz zdarzyła nam się taka historia. Ale od czasu kiedy zmuszeni zostaliśmy — z powodu zlikwidowania naszej dawnej drukarni, z którą pracowaliśmy około 40 lat — do przejścia na skład komputerowy i pracę z francuską drukarnią, w której nie ma nikogo kto znałby język polski, stale znajdujemy jakieś okropne błędy, których nie było w korektach.

REDAKCJA

POLONIA BOOKSTORE

Największa Księgarnia Polska w Ameryce

2886 Milwaukee Ave.
Chicago, IL 60618

tel. (312) 489-2554

Polecamy szeroki wybór książek w języku polskim: Literatura Piękna, Społeczno-Historyczna, Poezja, Książki dla Dzieci i Młodzieży, Książki o Tematyce Religijnej, Słowniki, Podręczniki do Nauki Języków Obcych, Poradniki, Książki Kucharskie.

●
Bogaty wybór książek o tematyce polskiej w języku angielskim. Czołpisma emigracyjne i z Polski, płyty gramofonowe, kasety muzyczne.

Nasz katalog wysyłamy bezpłatnie

Książka to kultura w domu

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 454 — PAWEŁ SMOLEŃSKI (T. JERZ)
POKOLENIE KRYZYSU

Obraz współczesnego pokolenia młodych Polaków.

Str. 136.

Cena F. 75,00.

TOM 456 — ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI
WIELKIE BANKRUCTWO

Narodziny i śmierć komunizmu w XX wieku

Nowa książka Zbigniewa Brzezińskiego składa się z jego *Wstępu*, sześciu części: *Wielkie bankructwo*. — *Rozpad*. — *Odrzut organizmu*. — *Komunizm handlowy*. — *Kompromitacja praktyki*. — *Agonia komunizmu*; oraz *Postowie*.

Str. 276.

Cena F. 145,00.

TOM 457

**POLSKA POLITYKA ZAGRANICZNA
W LATACH 1926-1939**

Na podstawie tekstów min. Józefa Becka
opracowała Anna M. Cieniała

Str. 448.

Cena F. 220,00.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Nnpoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 2^e trimestre 1990.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 2832-1990

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
 Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
 par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
 FAX: 33-1-39-62-57-52

| PRZEDSTAWICIELSTWA | Egz. poj. | Prenumerata | |
|--|-------------|-------------|--------------|
| | | 1/2-roczna | roczna |
| Ceny na rok 1990 | | | |
| AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str, New Muckleneuk, Pretoria 0181 | F. 47,00 | F. 260,00 | F. 500,00 |
| ARGENTYNA: «Liberia Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires | F. 47,00 | F. 260,00 | F. 500,00 |
| AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248 | \$ A. 10,00 | \$ A. 60,00 | \$ A. 110,00 |
| AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222 | F. 47,00 | F. 260,00 | F. 500,00 |
| BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» | F. 47,00 | F. 260,00 | F. 500,00 |
| BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» | F. 47,00 | F. 260,00 | F. 500,00 |
| DANIA: O.T. Zalewska, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd | F. 47,00 | F. 260,00 | F. 500,00 |
| FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu | F. 47,00 | F. 260,00 | F. 500,00 |
| HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382BL Vlieningen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176 | F 1h 20,00 | F 1h 95,00 | F 1h 175,00 |
| IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311 | F 47,00 | F. 260,00 | F. 500,00 |
| KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopaszkański, 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; «Police Voice Publishing» Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. («Związkowiec»), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8 | Scan. 10,00 | Scan. 50,00 | Scan. 98,00 |
| NIEMCY: Renata Rosenbusch, Ludwig-Thoma-Str. 36, D-8025 Unterhaching. Tel.: (89) 611-36-57; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60 | DM 14,00 | DM 85,00 | DM 160,00 |
| NORWEGIA: Zh. Tyszk, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55 | F. 47,00 | F. 260,00 | F. 500,00 |
| SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431 | F.S. 13,00 | F.S. 70,00 | F.S. 135,00 |
| SZWECJA: Norbert Żaba, Kalskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 4882346 | K.S. 47,00 | K.S. 260,00 | K.S. 500,00 |
| U.S.A.: S. Dobyżyński, Alma Shipping Co., 110 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dzielanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Rościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MD 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492 | \$US 7,50 | \$US 40,00 | \$US 78,00 |
| WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210 | F. 47,00 | F. 260,00 | F. 500,00 |
| WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241 | F. 47,00 | F. 260,00 | F. 500,00 |

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 500; półroczna — F. 260.
 Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
 INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
 par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
 lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 459 — BERNARD NOWAK
CZTERY DNI ŁAZARZA

Opowiadanie o podziemiu wydawniczym

Str. 144.

Cena F. 75,00.

TOM 460 — ZBIGNIEW HERBERT
ELEGIA NA ODEJŚCIE

Nowy tom poezji

Str. 48.

Cena F. 50,00.

TOM 461 — ZESZYTY HISTORYCZNE
ZESZYT DZIEWIĘDZIESIĄTY DRUGI

zawiera opracowania: Andrzej Friszke: *Z dziejów Stronnictwa Narodowego na emigracji w latach 1939-1942*; Leszek Brzoza: *Niedoszła konferencja dyplomatów polskich w 1953 r.*; Karolina Lanckorońska: *O powstaniu i organizacji studiów wyższych dla żołnierzy Drugiego Korpusu*; Krystyna Jaworska: *Ośrodki akademickie Drugiego Korpusu na terenie Włoch*; Piotr Wandycz: *Wspomnienie o Henryku Wereszyckim*; Jacek Kubiak, Iwona Kubiak-Burszta: *De Gaulle, Polska i dyplomacja epoki Października (rozmowa z ambasadorem St. Gajewskim)*; Gen. Izydor Modelski: *Wojskowe przyuczyny kłeski wrześniowej (cz. I)*; Konstanty St. Kamiński: *Polacy w Szwajcarii (1832-1863)*; Bogdan Stachewicz: *O przygotowaniu wojny raz jeszcze*; Dr Marian Woźniak: *W odpowiedzi na „Konspirację poznańską”*; Jerzy Korczak: *Odpowiadam dr. M. Woźniakowi*; Piotr Wandycz: *Nowe książki*; Janusz Rakowski: *E. Kwiatkowski — OZN — Rydz-Śmigły*; Maksym Boyko: *Ukraińskie wołyniana na emigracji oraz bogaty dział LISTÓW.*

Str. 240.

Cena F. 90,00.

Cena

ZBIORY OŚRODKA KARTA